

Wojciech Bauer

POWRÓT

Transporter z ciężkim jazgotem mielących skalne rumowisko gaśienic wolno sunął wzdłuż stoku. Jego płaski dziób co chwila zapadał się w pokrywających rozpadliny łątach śniegu i wtedy, tracąc przyczepność, pojazd pluł za siebie chmurą białego pyłu. Krick, przyklejony do wizjera, lustrował okolice, Zbliżali się do linii zarośli. Tak, to powinno być tutaj. Zend podczas ostatniego zwiadu właśnie gdzieś w tej okolicy spotkał muty.

Trzask łamanych gaśienicami gałęzi wypłoszył ze skalnego załomu jaszczura. Gad zwinnie przemknął między kamieniami i zniknął w kępie karłowatych sosenek. Płatanina krzewów utrudniała jazdę. Oti zwiększył obroty i pojazd z wyciem silnika wbił się w gąszcz poskręcanych gałęzi. Gwałtowne szarpnięcie rzuciło Krickiem o tylną ścianę wieżyczki. Skrzywił się, czując wbijający się między łopatki uchwyt zaworu.

Pogoda była dobra, chwilami widać było słońce: czerwony, rozmyty krąg prześwitywał przez mgłę zasnuwającą niebo. Ciężkie chmury, zazwyczaj wiszące nisko nad ziemią, dziś odsłaniały znaczne połacie żółtoszarej przestrzeni. Nagle, jakieś sto metrów przed nimi, spomiędzy zarośli poderwały się ciemne sylwetki. W panice pognały przed siebie na oślep; skakały przez splecione konary, usiłując uciec przed pełznącym ich śladem transporterem.

Krick rzucił się do celownika. Wprawnym ruchem zapiął zaciski wzornika na skroniach i chwycił w dłonie dźwignię spustu. Szczęk zamka i huk wystrzałów nastąpiły niemal równocześnie. Wieżyczka rzygnęła ogniem. Trzy lufy działka, raz po raz wstrząsane seriami, słały świetne smugi w ślad za umykającymi cieniami.

Muty były zwinne. Krick kłął głośno, wodząc śmiercionośną smugą po rozchwianych gałęziach, jednak zgarbione sylwetki wciąż umykały wśród skałek i porastającej je kosodrzewiny.

- Oti, gaaaz! - Komunikator ryczał w sterówce tuż nad głową prowadzącego transporter kierowcy. Pojazd wyskoczył z krzaków na kamienistą polankę i zyskawszy kilka metrów twardego podłoża, hucząc motorem, wyrwał do przodu.

Wieża zachłystywała się ogniem. Krick czuł, jak spod szczelnie przylegającego do twarzy okularu celownika spływają mu po policzkach cienkie strużki potu. Jeszcze raz wcisnął spust, aż chrupnęły kostki nadgarstków. Jeden z cieni potknął się, przebiegł kilka kroków i upadł. Zerwał się jeszcze i na wpół pełznąco pokuśtykał parę metrów. Krick poczuł silny zawrót głowy. Przed oczami przesunęły niewyraźne kontury jakichś ruin czy skał, jaskrawe błyski nie pozwalały zidentyfikować obrazu. Z mgły wyłoniła się okropna twarz bez nosa i powiek, porośnięta rzadkimi kępkami włosów, chwilę trwała i rozplynęła się w nagłym bólu, ogarniającym całe ciało. Poczul wwiercające się w pierś i brzuch ogniste ostrza i utonął w chaosie kształtów.

Powoli wracał do siebie. Ostrzeżącym wzrokiem ogarnął przestrzeń przed pojazdem. Odetchnął głęboko i odpiął zamki opasujących głowę uchwytów wziernika. Czuł jeszcze bolesny bezwład całego ciała - transporter był co prawda ekranowany, lecz siła psyche ginącego muty wpływała zbyt silnie, by cienki ekran pancerza całkowicie wyeliminował jej działanie.

Wsunął uchwyty spustu działka do wnęki i sięgnął po tubę wizjera. Między połamanymi i nadpalonymi gałęziami krzewów leżał upolowany mut.

- Oti, wysiadamy! - rzucił do komunikatora, dopinając sprzączkę hełmu.

Oba włązy uchyliły się jednocześnie i dwie sylwetki w brunatnych kombinezonach wysunęły się z transportera.

- Zostań tu. - Krick odbezpieczył automat i wolno zbliżył się do leżącego nieruchomo stworzenia.

Grube wargi muty poruszały się lekko, ciałem wstrząsały słabe drgawki. Krick znów poczuł zachwianie równowagi, w leżącym u jego stóp zewłoku kołatało się jeszcze jakieś życie. Skierował lufę automatu w stronę głowy muty i nacisnął spust. Krótka seria rozniosła czaszkę na strzępy, jeszcze jedna ostra szpilka bólu dźgnęła w okolicach ciemienia, lecz trwało to ułamek sekundy i już po chwili było po wszystkim.

Odwrócił się w stronę transportera.

- Nie stój jak pień, pomóż mi! - Przyklęknął nad martwym mutem i wyjął długi nóż.

- Coraz gorzej to znoszę - skrzywił się Oti, podchodząc do pochylonego nad truchłem Kricka. Ten z wprawą odszukał żyłę na szyi muty i krótkim pchnięciem noża przeciął ją, wypuszczając strugę ciemnej krwi. Oti spętał dolne kończyny stworzenia rzemieniem. Potem, wróciwszy do transportera, wyjął z komory narzędziowej podłużny pakunek. Rozwinął go. Na zmarzniętą ziemię wysypały się lekkie, metalowe rurki. Kilkomina rutynowymi ruchami zmontował z nich stelaż i w poprzeczną rurkę, umieszczoną na wysokości około dwóch metrów, wkręcił kółko uchwytu. Potem obaj z Krickiem przystaszczyli zdobycz do stelaża i przeciągnawszy rzemień przez uchwyt, powiesili mutę głową w dół. Krick wbił nóż w okolice podbrzusza. Jednym silnym pociągnięciem przeciął skórę stworzenia aż do gardła.

Oskórowaną i wypatroszoną tuszę łowcy z trudem przenieśli do ładowni transportera. Sztuka była wyjątkowo okazała. Setnik będzie zadowolony. Fort ostatnio cierpiał na niedostatek mięsa, jedyna droga zaopatrzenia placówki w żywność wiodła okolicą nękaną przez rebeliantów Missa, którzy, rozbici w kilku ostatnich potyczkach, ograniczali się do bandyckich napałów na konwoje z prowiantem dla nadbrzeżnych fortów.

Krick zdjął rękawicę i wierzchem dłoni otarł pot z czoła.

Rozejrzał się wokół siebie. Najbliższa okolica wyglądała dość ponuro. Plamy śniegu zmieszanego z krwią i rozdeptanymi ochłapami, zrujnowane pociskami kępy kosodrzewiny, naręcza odstrzelonych gałęzi, splątanych w gąszcz nie do przebycia oraz rozrzucone łuski przedstawiały obraz, jakby stoczono tu całkiem poważną bitwę, a nie polowano na parszywego muta.

Oti zatrzasnął pokrywę ładowni i zbliżył się do dowódcy.

- Trzeba uczcić udane łowy - z wewnętrznej kieszeni skafandra wydobyl płaską, metalową manierkę, pociągnął z niej kilka łyków, po czym podał Krickowi. - Zrobimy sobie małą ucztę? Serce i wątroba są nasze.

- Nie jestem głodny - Krick łyknął z manierki i zwrócił ją kierowcy. - Poza tym tu nie jest bezpiecznie. Muty mogą wrócić.

- Są wystraszone i nieprędko znów zjawią się w tych stronach. Musiały uciec daleko, wpływ ich siły jest zerowy. Możesz wierzyć, jestem na to szczególnie podatny. Wyczuwam muta na otwartej przestrzeni z odległości kilometra - wyjął z przewieszanej przez ramię torby parujący poleć wątroby i ze smakiem wbił w nią zęby. - Zostawię ci twoją część. Tyle, że nie będzie już taka dobra. Wątroba musi być świeżutka.

Mówił niewyraźnie, głośno przełykając duże kęsy mięsa. Krick skrzywił się. Nie lubił prostackiego stylu bycia Otiego. Na każdym kroku wylaził z niego typowy klon.

- Zatrzymaj sobie całą. - Wskoczył na błotnik transportera i wspiął się na korpus wieżyczki. - Musimy wracać. Spójrz na chmury.

Po niedawnym słońcu nie został ślad. Bura, skłębiona masa zaciągnęła całkowicie niebo aż po majaczące na horyzoncie szczyty. Oti z wyraźnym żalem schował niedojedzoną wątrobę do torby i wlaź w otwarty właz sterówki. Z hukiem zatrzasnęły się pokrywy włazów; transporter, zakręciwszy na miejscu, ostro ruszył z powrotem. Jechali teraz szybciej, wygniecioną uprzednio gąsienicami przesieką. Minęli skraj zarośli i wyje-

chali na kamienisty stok. Oti, prowadząc maszynę wyjeżdżonymi koleinami, prawie automatycznie reagował teraz na znane już sobie przeszkody. Ta łatwość zapamiętywania reakcji na raz przejechanym szlaku czyniła z niego najlepszego kierowcę fortu. Trzymając jedną ręką wolant, drugą sięgnął do torby i wydobyl resztę mięsa. Mrucząc z zadowolenia pogryzał wątrobę, z fantazją przeskakując na pełnym gazie skalne rozstępy.

- Co to jest? - Głos Kricka wyrwał go z sytego rozmarzenia.
- Spójrz w niebo!

Oti przekręcił korbkę wizjera, kierując jego wylot ku górze. Ciemnoszare zazwyczaj chmury na południu rozjarzyły się dziwnym światłem. Łuna stawała się coraz jaśniejsza, ogarniała wielką połać nieba. Jaskrawo świecący punkt wyskoczył z chmur i z ogłuszającym grzotem sunął coraz niżej, kierując się w stronę zatoki Teba. Po chwili hałas ucichł, a dziwne zjawisko zniknęło za otaczającymi zatokę skałami. Jeszcze raz coś huknęło, lecz już inaczej i nad miejscem upadku pojawił się olbrzymi, widoczny aż tu, kłęb pary.

Przez głowę Kricka przemknęło naraz tysiąc myśli. Najbardziej prawdopodobna ścisnęła mu przerażeniem gardło.

- Oti, to chyba desant! - wrzasnął w komunikator. - Grzej do fortu!

Transporter skoczył jak spięty ostrogą. Spod gąsienic wypłynęły strugi kamieni.

Rzucany wstrząsami o ścianki wieży Krick usiłował na chłodno przeanalizować sytuację. Stosunki z wyspiarzami z Atlasu były napięte, jednak wojna skończyła się dość dawno temu. Poza tym, z informacji, które posiadał, ani Atlas, ani Alpa, ani odległa Skandia nie miały żadnych latających maszyn, podobnie jak jego ojczysta Iberia. Jediną drogą komunikacji między wyspami było morze. Podobno na kontynencie czyniono jakieś próby w tym kierunku, jednak zasięg ich latających aparatów był zbyt mały, by mogli dolecieć aż na Iberię. Czyżby Atlasi w głębokiej tajemnicy skonstruowali nową

broń? Musiałaby to być naprawdę pilnie strzeżona tajemnica, wywiad Iberii słynął ze swej sprawności. Krick czuł w głowie zamęt. Trzeba jak najszybciej złożyć raport setnikowi. Niech on decyduje.

Transporter wypadł spomiędzy skał na pokrytą brudnym śniegiem równinę. Grzechocząc gaśnienicami, z rykiem silnika pędził przez pustkowie w stronę widocznych w oddali, potężnych murów fortu.

Świadomość wracała wraz z bólem. Przypominał sobie ostatnie chwile przed lądowaniem - szaleńczy lot przez strefę asteroidów, złomów skalnych i kosmicznej drobnicy, czyli tego, co zostało z Księżyca, zmiażdżona przez meteor część siłowni - śmierć Jacka, utrata sterowności. Potem wejście w atmosferę, prawie niekontrolowane, Romy usiłująca rozpaczliwie złagodzić skutki zderzenia z Ziemią i przelot przez strefę chmur. Następne sekundy, dzielące ów moment od chwili wodowania, zlewały się w całość. Pamiętał jeszcze krzyk Romy: "Paul, Paul!" i walącą się na niego ścianę kabiny nawigacyjnej.

Ostry ból w lewej ręce otrzeźwił go zupełnie. Usiłował wstać i dopiero teraz poczuł ciężar przygniatających go, poskręcanych konstrukcji. Jęknął. Usłyszał głos:

- Żyje. Ostrożnie z tym palnikiem, Lee! - to George, George Brown, dowódca wyprawy.

- OK, komandorze, zaraz go stąd wyciągniemy. - W szczelinie między płytami blachy ujrzał twarz nawigatora. — Trzymaj się, Stavsky!

Poczuł, że ucisk na piersi zelżał, jednocześnie lewą rękę przeszły iskra bólu. Krzyknął i stracił przytomność.

...słyszał przeraźliwy krzyk Romy: "Paul, Paul!", ogarnął go słodko-mdlący dreszcz i tylko ten krzyk - coraz cichszy, coraz łagodniejszy...

- Paul, Paul - szybkie, mocne klepnięcia po policzkach zmusiły go do otwarcia oczu. Romy pochylała się nad nim i biła otwartą dłońią z obu stron. Próbował cofnąć głowę, mrużąc niewyraźnie:

- Wybijesz mi zęby!

- No, nareszcie! Myślałam, że się nigdy nie obudzisz - uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

- Co się stało? - Rozbudzony usiadł na pościeli. - Gdzie jesteśmy?

- Wodowaliśmy w zatoce, ze sto metrów od brzegu. Mieliśmy kupę szczęścia, niewiele brakowało, a siedzielibyśmy na skałach.

- Co z resztą? Jak statek? Są nowe wiadomości? Jak wygląda Ziemia? - Zasypał ją gradem pytań, z trudem opanowując grymas bólu. Trudne do wytrzymania pulsowanie rozdymało lewą rękę od barku po końce palców. - Co z moją ręką?

Spojrzał na cienki usztywniacz, otulający chorą kończynę.

- Powoli, powoli, nie wszystko naraz - przyhamowała go Romy. - Rękę masz złamaną w czterech miejscach. Borys ją poskładał, ale sądząc po tym, jak kłął przy robocie, nieprędko z tego wyjdiesz. Reszty dowiesz się wkrótce. George zarządził odprawę... za godzinę - dodała, spojrzawszy na chronometr.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Biorąc pod uwagę, że leżałeś pod kupą żelastwa jak rozdeptana mucha, to niezbyt długo. Zresztą, co znaczy czas w naszej sytuacji...

- Możesz odpowiedzieć konkretnie? - przerwał zniecierpliwiony. - Jakoś dziś nie chwytam twoich dowcipów.

- Konkretnie - prawie dwanaście godzin. Postaraj się przyjść na odprawę. Do kabiny szefa. Jeśli zdołasz pozbierać się do tego czasu. Borys wpadnie do ciebie za dziesięć minut i pomoże ci stanąć na nogi. - Z lekko obrażoną miną wyszła, trzaskając drzwiami. Odrobinę za mocno - ocenił.

Opuścił nogi na podłogę i uniósł się z pryczy.

Rozpaczliwie szukał oparcia, stawiając pijane kroki na uginających się nogach. Dotarł do umywalki i wspierając się na niej zdrową ręką spojrzął w lustro. Wyglądał nieszczęśliwie. W dodatku znów odezwał się ból. Stał dłuższą chwilę, wsłu-

chując się w rozsadzający rękę bolesny puls. Nie zwrócił uwagi na stukanie do drzwi. Ocknął się dopiero słysząc trzask zamka.

Borys był już przy nim.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? Wracaj do łóżka! Czekaj, pomogę ci. - Lekarz ujął Stavsky'ego pod pachy i ostrożnie poprowadził w stronę leżanki. - Nie wolno ci wstawać. Pewnie była tu Romy, co? Ta kobieta ma wyjątkowy dar lekceważenia wszystkiego, co nie dotyczy jej samej.

- Nie przesadzaj, nie jest ze mną tak źle. - Z ulgą jednak wyciągnął się na koi. - Chciałbym być na odprawie. Może ty mi powiesz, co się dzieje? Romy wykręciła się sianem.

- O wyjściu z łóżka nie ma na razie mowy. Zrobię ci zastrzyk, może wieczorem będziesz mógł wstać. A o tym, co słychać, dowiesz się, nie wyłażąc z betów. Zainstaluję ci nowy interwid, twój diabli wzięli po owym łagodnym lądowaniu, jakie zafundowaliście nam na spółkę z panną Johnson. Na razie połknij to.

Wysypał na dłoń trzy różowe tabletki i podał je Stavsky'emu. Paul, krzywiąc się, posłusznie przełknął podane lekarstwo, popijając wodą z plastikowego kubka, podsuniętego przez lekarza.

Odprawę rozpoczął komandor.

- Nie będę tu wygłaszał mowy, ani podsumowywał wyprawy, bo też nie bardzo jest co. Straciliśmy po kilka lat życia, nie licząc okresu anabiozy. Biorąc pod uwagę względne spowolnienie czasu i fakt, że od momentu awarii statek leciał konwencjonalnie, liczyliśmy się tym, że Ziemia po naszym powrocie nie będzie już tą samą, którą, opuszczaliśmy. Jednak to, co się stało, mogło przyśnić się tylko w koszmarnym śnie. Krótko mówiąc - nie ma Ziemi. Nie ma znanego nam świata, boję się, że nie ma także naszej cywilizacji.

- Jednak to zrobili, sukinsyny - Lee Tookan w bezwiednym grymasie zagryzł dolną wargę.

- Co się tu musiało dziać! Nawet Księżyc rozwalili - Romy nerwowo chodziła po kajucie.

- Siadaj – nakazał Brown. Bez efektu, ale się nie upierał. - Spokojnie, musimy rozważyć naszą sytuację. - Pstryknął przełącznikiem i ścianę kabiny wypełniła ogromna mapa. Nawet przy całej masie dobrych chęci trudno było doszukać się na niej znajomych konturów.- To jest ostatni zapis komputera z poddźwięków, skorygowany zapisem optycznym po przejściu warstwy chmur. Wodowaliśmy tutaj - wskazał pulsujący punkt u wybrzeży dużej wyspy o nieznanym kształcie. - Usiłowaliśmy doprowadzić komputer do jakiegoś takiego porządku. Udało się to częściowo. Ten złom zdołał dokonać analizy porównawczej układu łądów, zanim ostatecznie wysiadło awaryjne zasilanie. Wyspy to resztki Europy. Jesteśmy u południowych wybrzeży dawnej Hiszpanii, na zachód od Gibraltaru.

- Szczęście, że były na tym świecie jakieś góry. Inaczej kołotalibyśmy się teraz po bezkresnym oceanie - sarkastycznie zauważył z ekranu interwidu Stavsky.

- Jakoś trzeba będzie tu żyć - westchnął Borys Jeremiah.

- Jakoś żyć? - Romy wzburzona stanęła nad głową siedzącego w fotelu lekarza. - Z kim mamy tu "jakoś żyć"? Z cywilizacją pasikoników? Ze społecznością jamochłonów?!

- Nie dramatyzuj, dziewczyno, coś się chyba uchowało. Może będziemy mieli szczęście...

- Szczęście, mój drogi, miał Jack, że tego nie dożył - warknęła ze złością, odwracając się twarzą do ściany, by nikt nie widział jej zwilgotniałych nagle oczu.

- Łaskawi państwo, może zakończycie te kłótnie i przystąpimy do konkretnych ustaleń - suchy głos Browna zgasił w zarodku rodzącą się wśród załogi kłótnię. - Czy ktoś zrobił analizę atmosfery?

- Nie było czasu. Mam tylko wyniki analizy od chwili wejścia w atmosferę do momentu zejścia lądownika poniżej pułapu chmur. - Lee ocknął się z odrętwienia.

- Co z niej wynika?

- Skład chemiczny bez większych zmian, wzrost ilości dwutlenku węgla, lecz w dopuszczalnych granicach. Znaczne ilości pyłu w stratosferze, z zawartością metali ciężkich. Ślady pierwiastków promieniotwórczych zarówno w stratosferze, jaki w warstwie chmur. Te chmury to mieszanina pary wodnej i różnego świństwa. Czy mam przedstawić szczegółową analizę?

- Czy toto nadaje się do życia? - spytał Stavsky.

- Musi, kochany, musi. - Czarna twarz Jeremiaha nie wyrażała żadnych uczuć.

- Borys, czy jesteś w stanie z tego, co zostało w laboratorium, zrobić jakiś prowizoryczny analizator? Chodzi mi o analizę powietrza, wody i gleby - komandor zwrócił się do lekarza.

- Mogę spróbować, nie ręczę jednak za dokładność wyników.

- Dobra. Teraz Romy: w jakim stanie są urządzenia energetyczne i na jak długo wystarczy nam powietrza i żywności w ładowniku?

Kobieta, już spokojna, odwróciła się w stronę dowódcy:

- Stos rozwalony, zasilanie awaryjne spaliłeś osobiście podczas próby uruchomienia komputera. Obecnie energię czerpiemy tylko z aksonów, ale przy takim rozproszeniu światła nie da się ich efektywnie doładować. Używając energii tylko do produkcji wody i koncentratów, możemy pociągnąć jakieś pięć - sześć dni. Gorzej z powietrzem. Komorę wymiany szlag trafił i żyjemy na tlenie z oxysyntu.

- Jak długo?

- Trzy dni. Potem trzeba będzie otworzyć śluzę. I wyjść.

- W porządku - komandor otworzył notes. - Podzielimy zadania na te trzy dni. Borys i Lee: wykonacie analizę, o której mówiliśmy oraz opracujecie sposób przeciwdziałania ewentualnym ujemnym skutkom kontaktu ze środowiskiem zewnętrznym. Romy i ja przygotowujemy sprzęt i żywność do opuszczenia ładownika. Paul - zwrócił się w stronę interwidu - pomożesz

nam lub Borysowi, w zależności od potrzeb, gdy będziesz mógł chodzić. Wszystko jasne?

- Mam pytanie - odezwał się Stavsky. - Mógłbyś mnie poinformować, co dzieje się w tej chwili z lądowikiem? Wodowaliśmy, to pamiętam, lecz co dalej?

- Prawda, przecież nic nie wiesz - Brown westchnął ciężko. - Fale wyrzuciły nas na mieliznę. Mieliśmy szczęście. Równie dobrze mogliśmy teraz dryfować w nieznane.

- Coś za dużo tego szczęścia – mruknął Paul. – Mam niedobre przeczucia.

- Szefie, mam wyniki analizy powietrza i wody morskiej. Nie są zbyt dokładne, ale nic więcej nie dało się zrobić. - Jeremiah wpadł do sekcji magazynowej, gdzie pracowali komandor, Romy Johnson i Stavsky. Całą robotę ciągnęli właściwie ci pierwsi, Paul pomagał im, jak umiał, jednak złamana ręka nie pozwalała na wiele.

- Przeżyjemy? - Brown przerwał pakowanie plecaka i prostując zgięte plecy spojrzał na lekarza.

- Tak, lecz skutki długotrwałego działania takiej mieszanki, jaką przyjdzie nam oddychać, trudno przewidzieć.

- Nie mamy wyboru. Czy potrzebne będą jakieś środki ochronne?

- Przygotowaliśmy z Tookanem maski izolacyjne na czas aklimatyzacji. Dostaniecie też zastrzyki uodporniające.

- Nigdy nie przypuszczałem, że staruszkę Ziemię trzeba będzie traktować jak nieznaną planetę w jakimś Aldebaranie - westchnął Stavsky.

- Jak wam idzie robota? - spytał Jeremiah, rozglądając się po magazynie.

- Jesteśmy prawie gotowi, trzeba jeszcze naładować baterie miotaczy. Zrobimy to w ostatniej chwili, aby wykorzystać do końca resztki energii aksonów. Wychodzimy jutro rano – Brown znów pochylił się nad plecakiem.

Lodowate powietrze ze świstem wdarło się przez uchylone wrota śluzy. Stavsky'emu zakreśliło się w głowie. Mimo otulającego nos i usta tamponu, zetknięcie z atmosferą Ziemi było bardziej przykre, niż się spodziewał.

Jeden za drugim wychodzili na pomost. Dziesięć metrów poniżej bure fale z pluskiem uderzały w kadłub lądownika.

- Nareszcie w domu – ironicznie mruknął Tookan.

Uważnie przyglądali się odległemu o kilkadziesiąt metrów brzegowi. Kamienista plaża pokryta była plamami szarego śniegu. Dalej, w głębi lądu, ciągnął się pas niskich krzewów, z którego sterczały w niebo strome, poszarpane skały.

- Na pewno jesteśmy w Hiszpanii? Wygląda to raczej na Spitsbergen późną jesienią. - Wsparta o balustradę Romy lustrowała okolicę przez szkła lornety.

Ciężka mgła wisiała nad ziemią, gęstniejąc ku górze i łącząc się z niskimi, ołowianymi chmurami.

- Lee, spuść ponton na wodę - rozkazał Brown. - Popłyniecie z Borysem na rozpoznanie. Licho wie, co siedzi w tych krzakach.

Syknęła wyrwana zawlecza i lecący w dół tłumoczek błyskawicznie napęcznieł się powietrzem, przybierając kształt małej, gumowej łódki, zanim dotknął powierzchni morza. Po chwili, po rzuconej w ślad za nim sznurowej drabince, obaj astronauty zeszli na pokład pontonu.

- OK, rzuć cumę! – Usłyszeli stłumiony maską okrzyk Jeremiaha.

Rozległ się wizg uruchamianego silniczka i łódka pomknęła ku brzegowi, podskakując na niskiej, ostrej fali. Stavsky przyłożył do oczu lornetkę. Trzy metry od brzegu silnik umilkł i zwiadowcy, przetoczywszy ciała przez burty, zsunęli się do wody, a ponton siłą rozpędu wyjechał dziobem na brzeg. W tej chwili obaj mężczyźni leżeli już ukryci wśród głązów plaży, trzymając przed sobą odbezpieczone miotacze.

Po kilku sekundach pierwszy poderwał się Tookan. Biegł nisko pochylony kilkanaście kroków i znów zapadł między skałki. Ten sam manewr powtórzył jego towarzysz. Posuwając się skokami, dotarli do skrajów zarośli i zniknęli w gęstwinie.

- Psiakrew, prawdziwy labirynt! - usłyszał Stavsky w słuchawce fonokomu głos Jeremiaha.

Na długie minuty zapanowała cisza. W końcu zniecierpliwiony Brown wywołał zwiadowców.

- Idziemy dalej, nic się nie dzieje - rozległ się głos Lee. - Wygląda na to, że dość dokładnie załatwiono tu wszystko co żywe.

Okrzyk Jeremiaha zelektryzował przysłuchujących się rozmowie na pomoście lądownika:

- Lee, tam! Coś się porusza!

- Zostań tu, spróbuję z drugiej strony... Te cholerne gałęzie...

- Uważaj, Lee! Z prawej! Z prawej!!!

Z oddali dobiegł charakterystyczny syk miotacza. Równocześnie mgła nad zagajnikiem pojaśniała i w niebo wystrzelił bury słup dymu.

- Borys, Lee, co się stało?! - zdenerwowany komandor, z wciśniętą w oczodoły lornetką, przechylał się niebezpiecznie nad barierą.

Moment ciszy i zachrypnięty głos Tookana:

- Prawdziwy potwór... Skąd się to wzięło?

- Jakim cudem to paskudztwo żyje w tych warunkach? - odezwał się Borys. - Zimno jak diabli - a tu taka gadzina...

- Może łaskawie raczycie mnie poinformować, co się tam dzieje! - ryknął komandor.

- Nie denerwuj się, kochasiu - w głosie Jeremiaha dało się jeszcze wyczuć napięcie ostatnich minut. - Wyleciało coś na nas z wykrotu i Lee wygarnął do tego z maszynki, na szczęście niezupełnie celnie, inaczej nawet nie wiedzielibyśmy, co to było. To jaszczur, duży - wielkości... no... do czego by ci po-

równać... O! Długi, jak dwa krokodyle, wysoki - jak duży pies. Taki wyrosnięty legwan, tylko z większym pyskiem. I szybki, bardzo szybki!

- Macie go w całości?

- Gdyby był w całości, nie miałbyś z kim rozmawiać. Lee odstrzelił mu łeb.

- Ciekawe, jeśli to gad lub płaz, to jest stanowczo za zimno, by mógł egzystować. Zmiennocieplny? Trzeba go zbadać.

- Mnie interesuje przede wszystkim, czy da się go zjeść. Koncentratów nie wystarczy na długo - praktycznie wtrąciła Romy.

- Dacie radę zabrać go do lądownika sami, czy potrzebna wam pomoc? - spytał komandor.

- Niestety, musicie ruszyć wasze spasione tyłki i postawić nogę na ojczystej glebie. Bestia waży na oko z pół tony - słyszeli śmiech Borysa.

- W porządku, płyniemy do was. Paul, opuść dinghy. - Brown zwrócił się do Stavsky'ego.

Powtórnie niewielki pakunek opadł na wodę, w locie przemieniając się w ponton. Ostro ruszyli do przodu i po kilku minutach stawiali pierwsze kroki na lądzie.

- Romy, idziemy do naszych łowców. Paul - komandor spojrział na Stavsky'ego - zostań tutaj. Tam na wiele się nie przydasz. Zostawimy pod twoją opieką plecaki i pontony. Miej też oko na okolicę. Ziemia, nie Ziemia - mam przeczucie, że czeka nas jeszcze parę takich niespodzianek. Wszystkie fonokomy na otwartej linii - rozkazał.

Stavsky popatrzył w ślad za znikającą w chaszczach dwójką. Czuł się nieswojo. Miał dziwne wrażenie obcości, jakby wylądowali na nieznanym planecie. Czekał na tę chwilę trzy lata po przebudzeniu z anabiozy, w której znajdowała się załoga od czasu awarii i podjęcia decyzji o przerwaniu wyprawy oraz powrocie na Ziemię. Trzy lata samotnego dyżuru, spędzone na marzeniach, plany długiego urlopu na jakiejś zielonej wyspie, z

piękną dziewczyną, którą na pewno poderwałby z łatwością. Po tych kilkuset latach, jakie upłynęły na Ziemi, dziewczyny z jego marzeń tak samo chętnie zawierały znajomość z przystojnym pilotem jak przed wiekami. Od chwili wejścia w Układ Słoneczny złudzenia rozbiły się w puch po pierwszych meldunkach sond, wysłanych na polecenie Browna, zaniepokojonego milczeniem macierzystego globu. Nie mieli dokąd wracać. Milczała Ziemia, nie istniały bazy na żadnej z planet, Księżycy w ogóle nie było. Jedynym dźwiękiem odebrany przez radiostację był słabiutki sygnał zabłąkanej powyżej orbity Marsa boi kierunkowej - samotnego reprezentanta zniszczonej cywilizacji.

Potem wylądowali. Nie wszyscy, Jack Palmer do końca świata będzie krążył po orbicie, zmiażdżony odłamkiem rozbitego Księżyca w siłowni członu silnikowego.

Człowiek, ruszając w najdalszą podróż, musi mieć świadomość, że ma dokąd wrócić. Tej świadomości pozbawiono ich w okrutny sposób. "To jest tak, jakbyś wyszedł po papierosy, a po powrocie okazało się, że rozwalili ci dom. Nie, jest gorzej, w tamtym przypadku zawsze ma się rodzinę, przyjaciół, znajomych, u których można znaleźć jakiś ką, przeczekać, zagnieździć się na nowo. My nie mamy nic, w całym kosmosie" - ponure myśli ogarnęły umysł Stavsky'ego. Odetchnął głęboko, czując w ustach mdły smak nasączonego chemikaliami tapanu. Usiadł na kamieniu, położył miotacz na kolanach i rozejrzał się po okolicy. Lekki wiatr z kołysał niedopiętą sprzączką leżącego u jego stóp plecaka. To ciche dzwonięcie było jedynym dźwiękiem w panującej dokoła ciszy.

Fonokom odezwał się głosem Romy:

- Zrobiliście tu nieliczne spustoszenie!

Widocznie dowódca i drugi pilot dotarli na miejsce potyczki zwiadowców ze zwierzęciem.

- Widzisz, miotacz to nie dubeltówka i do polowania raczej się nie nadaje. Kuszy nie zdążyłem użyć - usłyszał głos Lee

Tookana.

- Ależ bydlę! Ostatnio podobne chodziły po Ziemi w czasach dinozaurów - to włączył się Brown.

- W jaki sposób zabierzemy go na pokład? Może podzielić go na mniejsze części? Nie damy rady przetransportować tego w całości. -W głosie Tookana słychać było nutki zadowolenia z udanego strzału. - Przyznacie, że trafiłem go po mistrzowsku!

Stavsky wyjął z ucha słuchawkę fonokomu. Było to wbrew poleceniu Browna, jednakże nie miał ochoty na dalsze wsłuchiwanie się w ich beztrioskie pogaduszki.

Coś zaniepokoiło go w wyglądzie wzgórza, wznoszącego się na prawo od zarośli, w których przebywali jego towarzysze. Przyjrzał się uważnie. Jakieś niewyraźne kształty przesuwają się wolno po stoku. Podniósł lornetkę, lecz nie zdążył przyłożyć jej do oczu, gdy wzgórze zionęło ogniem. Zobaczył, jak na pancerczu zanurzonego do połowy lądownika wykwitają błyski wybuchów.

Rzucił się między kamienie, widząc tłukącą coraz bliżej o skalisty grunt smugę rozbłysków. Seria przeszła bokiem. Powietrze drgało od huków.

- Co to jest?! - Przez grzmot wybuchów usłyszał w dyndającej na ramieniu słuchawce krzyk Browna.

- Strzelają do nas! Nie wychodźcie z zarośli! - wrzasnął, przyciskając do gardła laryngofon.

- Kto?!

- Nie wiem, nic nie wiem, do diabła! Jestem tu jak na patelni, wymacali mnie! Wałą w lądownik! - krzyczał, przetaczając się w zagłębienie między dwoma głazami. Czuł straszliwy ból w złamanej ręce. Zębami odbezpieczył miotacz. Za ostro zakończoną skalną iglicą pod szczytem wzgórza wypatrzył obłą, ziejącą ogniem kopułę. Zdrową ręką przyłożył miotacz do ramienia, wsparłszy jego wylot na zrębie kamienia.

Przenikliwy syk ogłuszył go na ułamek sekundy. Skalna iglica wraz z kryjącym się w jej cieniu napastnikiem przestała

istnieć. Na jej miejscu wznosił się bury obłok parującej magmy.

Huk wystrzałów nie ustawał. Stavsky ujrzał, jak spomiędzy porastających górę krzewów wyprysnął ognisty kształt, ciągnąc za sobą cienką, czarną nitkę. "Sterowana przewodowo rakietka!" - zdążył pomyśleć, gdy za jego plecami, od strony lądownika, rozległ się potężny grzmot wybuchu. Dokoła zadzwoniły odłamki metalu. Obejrzał się.

W miejscu lądownika sterczały z morza żalosne resztki poskręcanych konstrukcji.

- Brown, zniszczyli lądownik - powiedział cicho, z trudem tłumiąc drżenie głosu.

- Widziałem. Spróbuj dostać się do nas.

Strzelanina umilkła. Ostrożnie wychylił się ze swego schronienia. Zobaczył, jak ze wzgórza wolno zsuwają się w kierunku brzegu, malutkie z tej odległości, pojazdy. Spojrzał w stronę plecaków. Jeden z nich leżał nie dalej niż dwa metry od niego. Z przytroczonej do pasa bobiny odwinął silikonową linkę, zakończoną karabińczykiem. Wcisnął zapadkę do wewnątrz, czyniąc z niego hak.

Po trzeciej próbie udało mu się zaczepić linkę o jeden z tróków plecaka. Rzut oka w stronę napastników - pojazdy były już u podnóża góry. Przyciągnął plecak do siebie. Przewiesił pasy miotacza przez szyję, zdrową ręką ujął plecak i odpychając się nogami zaczął pełznąć w stronę zarośli. Co chwila przystawał, jęcząc cicho i klnąc z bólu, po czym podejmował mozolną wędrówkę na nowo. Czołgając się, dotarł w końcu do linii krzewów. Silne ręce Jeremiaha ujęły go pod pachy i wciągnęły pod gałęzie.

- Szukają cię - półgłosem powiedział lekarz, wskazując ruchem głowy w stronę, skąd przybył Stavsky.

Paul obejrzał się za siebie. Zobaczył, jak dwie maszyny, odłączywszy się od tyraliery, skęciły w miejsce, gdzie się jeszcze niedawno ukrywał. Jedna zatrzymała się przy pozosta-

wionych plecakach, druga wolno pojechała dalej wzdłuż brzegu. Stavsky przyglądał się im uważnie. Podobne były do pływających czołgów o wydłużonej tylnej części i płaskiej wieżyczce z trzylufowym działkiem.

Włazy stojącego w miejscu ich lądowania pojazdu podniosły się. Dwie postacie w ciemnobrazowych skafandrach zsunęły się po pancerzu i z widoczną ostrożnością zbliżyły do pozostawionego sprzętu.

- Borys, to ludzie! - z przejęciem wyszeptał Stavsky.

- A kogo się spodziewałeś? Jesteśmy na Ziemi - Jeremiah przyglądał się żołnierzom przez lornetkę.

- Nie wiem, ale ich reakcja... Pomyśl, jak postąpiłbyś sam w takim wypadku? Przecież musieli mnie widzieć, naturalnym odruchem jest ciekawość, ostrożność, chęć sprawdzenia, nawiązania kontaktu, a oni od razu, bez rozpoznania sytuacji, poczęstowali nas ogniem.

- Skąd wiesz, co jest teraz objawem człowieczeństwa? Jedno jest pewne: dalej tłuką się między sobą. Niczego się nie nauczyli.

- Sądząc po uzbrojeniu, cofnęli się o kilka wieków w stosunku do tego, czym dysponowały armie za naszych czasów.

- Nic dziwnego, musieli zaczynać prawie od początku.

Szelest rozchylanych gałęzi sprawił, że równocześnie przypadli do ziemi. Z prawej strony przeciskał się do nich Lee.

- Co o tym myślicie? - spytał szeptem.

- Coś porobiło się z ludźmi. Nic nie rozumiem - Stavsky bezradnie wzruszył ramionami.

- Poczyszające, że ludzkość jednak ocalała.

- Fizycznie na pewno, za to z psychiką chyba co nie tak.

- Ludzie są ludźmi. Trzeba nawiązać kontakt.

Zanim zorientowali się, co chce zrobić, Tookan wysunął się z krzaków na otwartą przestrzeń.

- Lee, wracaj! - półgłosem krzyknął Jeremiah.

Szedł, początkowo pochylony, później wyprostował się. i

przyjaznym gestem uniósł prawą dłoń do góry.

- Jezu, co za idiota - wyszeptał Stavsky.

W fonokomie odezwał się zdenerwowany Brown:

- Co on do cholery wyprawia? Kto mu zezwolił wyjść?

- Bawi się w parlamentariusza. Stwierdził, że to są ludzie i poszedł. - Borys pocierał spocone z emocji dłonie.

Dostrzeżono go. Załoga pierwszego z pojazdów zamarła w bezruchu, po czym dwaj ludzie padli na ziemię. Pełznąca dotąd brzegiem maszyna stanęła w miejscu. Jej wieżyczka z wolna obróciła się, kierując swoje trzy lufy w stronę kroczącego w tamtym kierunku Tookana. Nawigator trzymał już obie ręce nad głową, jakby poddawał się do niewoli.

Zadudniły serie wystrzałów. Strzelało działko na wieży i ukryci wśród nadbrzeżnych kamieni czołgiści. Lee Tookan zachwiał się i zatrzymał, jakby wahając się, czy iść dalej. Opuścił ręce. Wolno pochylił się, coraz niżej, aż upadł twarzą na ziemię. Pociski szarpały jeszcze leżące ciało, wrywając z niego krwawe ochłapy.

Stavsky poderwał się na kolana. Podrzucił miotacz do biodra i sycząca, błękitna iskra zmiotła z powierzchni ziemi pancerną maszynę razem z okolicznymi skałkami. Członkowie załogi drugiego pojazdu próbowali uciekać, lecz po paru krokach płomień miotacza Jeremiaha zamienił ich w cząstki elementarne. Wśród pozostałych, penetrujących teren wozów wybuchła panika. Jedne usiłowały ukryć się pomiędzy skałami, inne na pełnym gazie wracały w stronę wzgórza.

To byli jednak dobrzy żołnierze. Po kilku chwilach beładnej ucieczki pojazdy znów sformowały tyralierę. Tym razem odległości między nimi były większe. Kryjąc się wśród kamiennych złomów, szerokim półkolem otaczały miejsce schronienia astronautów. Dwukrotnie z lewej syknął miotacz Romy. Kilka skał i kępa drzewek wyparowały, jednak maszyn nie ubyło. Serie rozrywających pocisków cięły gałęzie krzewów i wzbijały gejzery pryskającego na wszystkie strony żwiru. Pró-

bowali jeszcze Brown i Jeremiah. Temu ostatniemu udało się zniszczyć jedną pancerkę, było to jednak wszystko. Stalowe żuki, umiejętnie manewrując, zacieśniały pierścień okrążenia.

W fonokomie rozległ się jęk.

- Trafili mnie! - Głos Browna był pełen bólu. Jeremiah skoczył w prawo, gdzie znajdowało się stanowisko dowódcy. Komandor siedział oparty o pień, twarz miał wykrzywioną cierpieniem. Z dużej, poszarpanej rany w boku buchała krew.

- Paul, plecak! - Stanowczy głos lekarza poderwał Stavsky'ego. Teraz docenił przezorność tych, którzy ułożyli regulamin nakazujący prowadzenie zwiadu w pełnym wyposażeniu. W przeciwnym razie plecaki Jeremiaha i Tookana leżałyby teraz w najlepszym wypadku na brzegu, nieosiągalne z miejsca ich ukrycia, albo kołysały się wśród szczątków rozbitego lądownika.

Lekarz szarpnął sprzączki i wyciągnawszy apteczkę, wysypał jej zawartość na ziemię. Ponownie odezwał się miotacz Romy Johnson. Długa wiązanka, którą usłyszeli w słuchawkach, świadczyła, że znów nieskutecznie.

- Musimy się wycofać, póki jeszcze nas nie odcięli - z wysiłkiem wyszeptał Brown. - Oszczędzajcie energię miotaczy...

- Nie gadaj tyle. - Borys kończył opatrunek, sklejjąc końce opaski. - Straciłeś dużo krwi, musimy cię nieść. Romy, chodź do nas, trzeba przygotować nosze.

Z gałęzi i rozprutego skafandra sklecono prowizoryczne nosze. Musieli się spieszyć. Odgłosy wystrzałów rozlegały się teraz również z tyłu. Tylko wąski przesmyk, ograniczony z jednej strony urwiskiem, z drugiej zaś stromym, pokrytym luźnym gruzem stokiem, umożliwiał jeszcze ucieczkę. Jedyne warunkom terenowym zawdzięczali, że okrążenie dotąd nie zostało domknięte. Jeden za drugim, kryjąc się przed zasypującym wciąż ich kryjówkę gradem pocisków, wychodzili z pułapki. Jeremiah i Romy dźwigali na noszach jęczącego Browna, Stavsky niósł oba ocalałe plecaki. Chora ręka, wielokrotnie

urazana, doskwierała mu okrutnie. Trzeci plecak, częściowo opróżniony, musieli zostawić, zabrawszy z niego koncentraty i apteczkę.

Ruszyli pod górę. Minąwszy kolejny załom, Paul obejrzał się za siebie. Miejsce stoczony bitwy widoczne było jak na dłoni. Pancerki miażdżyły właśnie gąsienicami zarośla, które do niedawna były ich schronieniem. Dwie z nich stały na plaży. Cztery małe sylwetki pochylały się nad leżącą u ich stóp resztką tego, co pół godziny wcześniej nazywało się jeszcze Lee Tookan, nawigator statku galaktycznego "Magellan".

Setnik Sapp był wściekły. Jego wąska, żółta twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, pokrytymi twardą, dawno nieogoloną szczecina zarostu, drgała z gniewu. Tego gniewu nie rozproszył nawet drugi bukłak snachii, która zwykle skutecznie poprawiała mu humor. Akcja nie udała się. Wprawdzie zniszczyli latający pojazd, zdobyli jakiś nieznany sprzęt, jednak dywersanci wymknęli się, pozostawiając tylko zwłoki jednego z nich. W dodatku ten kretyn Gan zmasakrował je tak skutecznie, że nie można ich było zidentyfikować. Miał szczęście, że zginął, gdyż złość Sappa oznaczała los, przy którym śmierci oczekiwało się z utęsknieniem.

Setnika niepokoiło jeszcze jedno: stracił trzy transportery i załogę czwartego, nie to było wszakże ważne. Dywersanci dysponowali jakąś nieznaną bronią, zniszczone wozy, a także Pott i Mons, trafieni czymś w rodzaju pioruna, po prostu zniknęli. Pozostały po nich spore powierzchnie roztopionej skały.

Sapp nie mógł sobie darować, że nie udało się zamknąć pierścienia okrążenia. Kazał wprawdzie aresztować załogi skrajnych transporterów obu skrzydeł, jednak nawet to, że wisiały już one na palach, nie uspokoiło go. Wysłał w pościg dziesiątkę zwiadu Kricka, lecz minęło zbyt wiele czasu, straconego na bezmyślnym tratowaniu krzaków, nim zorientowano się, że dywersanci uciekli. Zawiadomił światłowodem dowództwo Strefy Południe o desancie i nieudanej akcji, w odpowiedzi otrzymał wiadomość, że generał Per osobiście udaje się do fortu Cont.

"Taak, Święto Życia będzie w tym roku nieudane" - pomyślał smętnie i znów pociągnął spory łyk z bukłaka. Ostatnio zanotował same niepowodzenia: nie stłumiona do końca rebe-

lia oddziałów Missa, których niedobitki wałęsały się właśnie w jego rejonie, teraz ten cholerny desant i jeszcze przyjazd generała, który z pewnością zostanie aż do Święta. Płodna Taa przy-padnie jemu, a Sapp będzie musiał zadowolić się robotnikami, jak pierwszy lepszy klon. Cóż z tego, że jest następny w kolejce do Płodnej, skoro Życie posieje Per. Ech, gdyby tak Tai udało się wydać druga Płodną... Za dwanaście lat mogliby obchodzić Święto Życia dwa razy w roku, poza tym taka młodziutka Płodna - rozmarzył się. Nie, nie ma powodu do narzekania, fort Cont jest i tak w uprzywilejowanej sytuacji. Wiele podobnych placówek nie obchodzi Święta Życia w ogóle. On ma Taę.

Przysunął do siebie tubę komunikatora.

- Ilo, do mnie! - rozkazał.

Operator łącznicy zameldował się słuźbiście.

- Czy były jakieś wiadomości od Kricka? - spytał setnik.

- Ostatni meldunek nadany był z łącznicy Z-10. Krick donosił, że nieprzyjaciel kieruje się na wschód. Krick kontynuuje pościg, jednak znajdują się już w buszu, co znacznie utrudnia zadanie.

- Kiedy był wysłany ten meldunek?

- Prawie sześć godzin temu. Krick jest już na obszarze nieobjętym siecią Z. Zgodnie z instrukcją co trzy dni będzie wysyłał łącznika do Z-10, która jest najdalej na wschód wysuniętą stacją sieci.

Sapp odesłał łącznościowca i zamyślił się. Nie ma żadnych szans, aby Krick doszedł uciekinierów przed przybyciem generała. Jeśli w ogóle wróci. Ludzie rzadko zapuszczali się w busz, ze względu na muty. Kontakt z ich siłą psyche bez odpowiedniego ekranowania był niebezpieczny. Krick jest doświadczonym zwiadowcą i najlepszym w forcie łowcą mutów, jednak wszystko może się zdarzyć. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wysłać mu do pomocy Zenda z jego dziesiątką, ale zrezygnował. Transportery Kricka były już zbyt daleko, aby

Zend mógł go dogonić, poza tym nie chciał zbyt osłabiać fortu. Ludzie ze zwiadu to wysokiej klasy fachowcy, dadzą sobie radę, a desant, który Sapp usiłował zniszczyć, mógł być tylko rozpoznaniem przed głównym uderzeniem. Czujności nigdy za wiele.

Choć zwłok zabitego dywersanta nie udało się rozpoznać, a sprzęt znaleziony na brzegu i w zaroślach był mu całkowicie nieznany, setnik był pewny, że to robota Atlasów. Nad przeznaczeniem urządzeń nie zastanawiał się długo. Pozostawił to górze. Per ma od tego specjalistów, niech się oni biedzą. "Jak to możliwe, że Atlasi utrzymali w tajemnicy wynalezienie latającej maszyny i tak piekielnej broni" - owa myśl gnębiła go najbardziej. Jeśli opanowali metodę seryjnej ich produkcji, naciągająca nieuchronnie wojna będzie krwawa, a jej skutek może być dla Iberii opłakany. Nawet sterowane rakiety - ostatni krzyk techniki zbrojeniowej na wyspie - nie są w stanie zrównoważyć siły rażenia wyrzutni tych dziwnych piorunów.

Czas spać. Jutrzejszy dzień przyniesie na pewno nowe, nie mniejsze niż dziś, problemy. Generał Per z pewnością się o to postara.

Czwarty dzień przeciskali się przez splątany skrub. Kolczaste gałęzie krzewów smagały blachy pełznących przez gęstwinę transporterów. Nim uciekinierzy dotarli do skraju buszu, pościg szedł sprawnie i kilkakrotnie Krick był bliski dopadnięcia dywersantów. Teraz prze-wagę mieli tamci - poruszając się pieszo, łatwiej forsowali zaradzające drogę chaszczę. Początkowo Krick rozważał możliwość pozostawienia pojazdów i kontynuowania pościgu na własnych nogach, jednak zwyciężyła obawa przed możliwością spotkania mutów. Bez ekranowanego pancerza byłiby bezsilni. Osłonięty pancerną kopułą Krick miał nadzieję, że na muty wleżą uciekający dywersanci. Wtedy miałby ich na widelcu.

Idący przed transporterem Kricka zwiadowca Kord pewnie

odnajdował trop. Złamane gałązki i poruszone kamienie były dla niego wystarczającymi znakami, że znajdują się na dobrej drodze. Potwierdził to znaleziony wczoraj blaszany pojemnik niewiadomego przeznaczenia, który zbiegowie zgubili czy wyrzucili. Krick z pogardą pomyślał o takiej lekkomyślności. Gdyby on był na ich miejscu, na pewno nie popełniłby tak wielkiego błędu.

Zarośla przerzedziły się nieco. Był to znak, że zbliżają się do otwartej przestrzeni. Pojazdy jeden za drugim wyjechały przed linię krzewów i zatrzymały się. Kord zbliżył się do transportera dowódcy. Krick otworzył pokrywę wjazdu.

- W dolinie przed nami Stary Gród - zwiadowca wskazał przed siebie. - Atlasi poszli w tamtą stronę.

- Desperaci, czy głupcy? - Krick z podziwem pokręcił głową. - W Starych Grodach nie tylko gnieźdzą się muty. Gorsze od mutów są Ogniska.

- Co robimy dalej? - Oti uchylił wjazd sterówki.

- Trzeba pomyśleć. Wrócić nie możemy, Sapp nigdy nie uwierzy, że uciekinierzy ukryli się w ruinach. Żaden rozsądny człowiek nie wejdzie dobrowolnie w pewną śmierć. A jeśli Sapp nie uwierzy - zawiśniemy na palach. Musimy zdobyć dowód, że dywersanci zginęli w Starym Grodzie.

Dowódcy transporterów otoczyli Kricka półkolem.

- Zrobimy tak - ciągnął dziesiętnik. - Cztery maszyny będą patrolować teren wokół Grodu, na wypadek gdyby desantom udało się jednak z niego wyjść. Piąta wejdzie w ruiny.

Po ostatnich słowach zapadła głucha cisza. Gwardziści niepewnie spoglądali na siebie.

- Który wóz wejdzie do Starego Grodu? - zapytał w końcu Baen, dowódca transportera C.

- Ja - Krick z niezadowoleniem popatrzył na niewyraźne miny żołnierzy. - Strach was obleciał? Nie bójcie się, sam to zrobię. Czerwona flara będzie znakiem, że potrzebuję pomocy. Wtedy pójdzie za mną transporter B. - Spojrzał a Korda, do-

wodzącego wymienioną maszyną. Z jego wzroku wywnioskował, że wybór był słuszny. Stary zwiadowca, jako jedyne, zachował kamienny spokój.

Warknęły uruchamiane silniki. Transportery rozpełzły się po dużym okręgu wokół leżących w dolinie ruin. Krick patrzył za nimi przez chwilę, po czym, odetchnąwszy głęboko, zanurzył się we wnętrzu maszyny.

Na niewielkiej prędkości wjechali między rozbite budynki. Sunęli wąską uliczką, trzymając się lewej strony, gdzie frontony domów były mniej zniszczone. Po prawej ciągnął się pas ruin, z którego smętnie sterczały pojedyncze ocalałe ściany i kikuty kominów.

Krick nie bał się mutów. Wiele lat na nie polował, znał ich możliwości i pod pancierzem transportera czuł się bezpieczny. Krick bał się Ogniska Śmierci. To dziwne i straszne zjawisko występowało czasami w Starych Grodach, szczególnie tych dużych i było tym groźniejsze, że niewykrywalne. Czasami, dość rzadko, obecność Ogniska sygnalizowały tablice z napisami w dawno zapomnianym języku, wtedy można je było ominąć lub zawrócić. Przeważnie jednak nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa i człowiek dowiadywał się o nim wtedy, gdy czuł, że umiera. Następowało to z reguły kilka dni po kontakcie z Ogniskiem, dlatego trudno je było zlokalizować. Kiedyś w fortach posiadano aparaty z dawnych czasów, które sygnalizowały zagrożenie, jednak już wiele lat temu przestały funkcjonować. Podobno jeszcze w sztabach stref i w stolicy istniał żelazny zapas tych urządzeń, choć mogła to być tylko plotka. W fortach, mimo usilnych starań, nie udało się jak dotąd uruchomić wyładowanych przyrządów

Doświadczenie pozwalało Krickowi przypuszczać, że w tym Grodzie nie ma Ogniska Śmierci. Był zbyt mały.

Transporter dotarł do małego placyku, z którego promieniście rozchodziło się kilka uliczek podobnych do tej, którą jechali. Oti zatrzymał pojazd u jej wylotu, ukryty za nienatural-

nie pochyloną, wiszącą na stalowych prętach ścianą. Wizjer na wieżyczce obrócił się dokoła osi, lustrując okolicę. Pusto. Krick ostrożnie uchylił klapę, pozostawiając ją w takiej pozycji, by zamknęła się samoczynnie, gdyby nagle stracił przytomność.

Nie poczuł niczego. Mutów nie było. Powoli wydostał się na zewnątrz i zeskoczył na ziemię. Usłyszał, jak Oti przeciska się ze sterówki do stanowiska działka w wieżyczce. Mimo niechęci jaką darzył tego prostaka, lubił z nim pracować. Rozumieli się bez słów. Z automatem w pogotowiu wysunął się poza chroniącą transporter betonową płytę i nie oddalając się od ściany począł obchodzić placyk dookoła. U wylotu sąsiedniej przecznicy zatrzymał się. Rzut oka w lewo, w głąb uliczki, upewnił go, że może iść dalej. Pochylił się i trzema susami znalazł się po drugiej stronie. Skradając się przy murze dotarł do na wpół rozwalonego gmachu, którego wypaloną fasadę zdobiły resztki płaskorzeźb.

Zadawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch w ciemnej wnęce bramy. Zamarł w bezruchu, przywierając plecami do ściany i w tym momencie poczuł silną rękę na gardle i drugą, która zamknęła jego ciało w żelaznym uścisku. Stopy straciły oparcie. Wciągano go w głąb bramy. Usłyszał jeszcze grzechot wystrzałów działka i zdążył zobaczyć, jak po sekundzie z wieżyczki jego transportera wypryska czerwona raca. Był to ostatni obraz, jaki zarejestrował wzrok. Silne uderzenie w tył głowy wybuchło pod czaszką tysiącem rozlewających się, jasnych plam.

Stavsky, przytrzymując miotacz kolanem, gimnastykował obolałe od ciągłego naciskania spustu palce. Walczyli już trzy godziny. Ujęcie jeńca rozpętało piekło. Czerwona rakietka, którą ujrzeli nad ukrytym w ruinach transporterem, przywołała drugi, po nim zjawiły się jeszcze dwa. Wprawdzie Romy zaraz potem zniszczyła ten pierwszy, lecz pozostałe, ciągle zmieniając po-

zycje, raziły ich kryjówkę nieustannym ogniem.

Sytuacja nie była wesoła. Brown, udreńczony gangreną, konał, jęcząc i krzycząc jakieś słowa bez sensu. Jeremiah był przy nim, usiłując coś zrobić, jednak środki, jakie posiadał, nie skutkowały.

Nie mieli już sił na dalszą ucieczkę. Dotarłszy do ruin zniszczonego miasteczka, postanowili tu zaczekać na ścigających. Mieli tylko nadzieję, że nie gonią ich zbyt duże siły, zresztą nie było już wyboru.

Wejście do miasta samotnego pojazdu, a potem opuszczenie go przez zwiadowcę, stwarzało szansę. Zakładnik dawał podstawę do podjęcia jakichś rokowań. Musieli przecież w końcu dogadać się z mieszkańcami tej wyspy, ostatecznie wszyscy byli ludźmi, historia, jaka się tu przetoczyła, niczego w tym względzie nie zmieniła. To straszne nieporozumienie powinno się w końcu wyjaśnić. Że było to nieporozumienie - Stavsky nie miał najmniejszych wątpliwości.

Rzucił okiem na leżącego w kącie jeńca. Żołnierz odzyskał już przytomność i wodził ponurym wzrokiem po zajętych walką astronautach. Był szczupły i drobny. Gdyby nie zniszczona twarz, mógłby uchodzić za kilkunastoletniego wyrostka. Z ich czasów. Potężnie zbudowany, o sile i sylwetce gladiatora Jeremiah nie miał żadnych problemów z pokonaniem oporu takiego cherlaka. Zadany profilaktycznie cios od razu pozbawił go przytomności i to tak skutecznie, że przestraszony lekarz dłuższą chwilę sprawdzał, czy jego zdobycz jeszcze żyje. Czołgiste związane linką, po czym dostał zastrzyk pobudzający i w końcu jakoś przy-szedł do siebie.

Okrzyk triumfu Romy ponownie zwrócił uwagę Stavsky'ego na toczącą się walkę. Ostrożnie wyjrzał przez wyrwę w murze. Tylko dwa pojazdy kryły się w ruinach, co chwila śląc w ich kierunku serie pocisków. Trzeci wszedł właśnie w skład atmosfery razem z kilkoma to-nami gruzu.

Jeremiah podpełznął do stanowiska pilota.

- Z George'em jest bardzo źle. Nie dożyje nocy. - Ciemna twarz lekarza była szara od kurzu i zmęczenia. - Pocisk wyrwał mu połowę wnętrzości, do tego gangrena... Dałem mu środek przeciwbólowy, ale to tyle. Nic więcej nie jestem w stanie zrobić w tych warunkach.

Stavsky spojrział na niego. Ten silny, zawsze pogodny Murzyn był teraz cieniem samego siebie.

- W porządku, stary, zrobiłeś, co się dało. Mamy wojnę, głupią i niepotrzebną, ale wojnę. Prawdopodobnie George nie jest jej ostatnią ofiarą. Jest nas jeszcze troje i musimy zrobić wszystko, aby jak najszybciej to zakończyć. Jako najstarszy stopniem przejmuję dowództwo. Weź miotacz i zajmij stanowisko od strony podwórza. Na półpiętrze jest okno wychodzące na tamtą stronę, będziesz miał dobry przegląd sytuacji.

Jeremiah siedział nieruchomo, oparty o ścianę, jakby nie dotarł do niego sens słów, wypowiedzianych przed chwilą. Stavsky pochylił się w jego kierunku i potrząsnął za ramię.

- Słyszałeś, co mówiłem? Borys, ocknij się!

Lekarz spojrział na niego nieobecny wzrokiem.

- Paul, czy to ma sens? Co my robimy? Walczymy z ludźmi - na Ziemi! Tyle lat lecieliśmy, nie mogąc doczekać się chwili, gdy staniemy w końcu na własnej planecie, wśród starszego o kilka wieków, ale przecież naszego, ziemskiego społeczeństwa, i co? Wróciliśmy - i rozwalamy ich...

- A oni rozwalają nas.

- To jakiś obłąd, Paul!

- Nie wiem, co to jest, do jasnej cholery, nie wiem! - Stavsky rozkrzyczał się, aż echo zadudniło pod wysokim sklepieniem sali: - Wiem jedno: z ludźmi coś się stało, a naszym obowiązkiem jest najpierw przeżyć, a dopiero później dociekać. Oni zachowują się jak mrówki, którym w mrowisko spadł chrząszcz. Naczelna zasada - zniszczyć! Nie próbowali innych środków, negocjacji, rozmowy... Nawet gdy złapaliśmy jednego z i nich. Tylko zabijają!

- Głównie to oni są zabijani... - Jeremiah oparł czoło na kolanie.

- Dość tego! Ruszaj na górę, to rozkaz! - Stavsky popchnął w jego stronę miotacz.

Borys ujął broń i bezmyślnie począł się jej przyglądać. Wyglądało, że zupełnie się rozsypał. Paul poderwał się na nogi, nie bacząc na grzechoczące wokół rykoszety odłamków. Silny cios w szczękę rzucił głową Jeremiaha o ścianę.

- Słuchaj, czarnuchu, łeb ci rozwalę, jeśli natychmiast nie ruszysz się z miejsca! Jazda na stanowisko! – wrzeszczał i zdrową ręką szarpał za kołnierz kombinezonu lekarza. Poczul, jak przejmujący ból ogarnia całą lewą połowę ciała.

Pomogło. Jeremiah wstał i ciężkim krokiem ruszył w kierunku schodów. Obejrzał się jeszcze i w jego wzroku Stavsky zobaczył coś takiego, że ogarnęła go rozpacz. Odwrócił się gwałtownie i przypadł do swojej szczeliny.

- No, no! Niezłe masz metody, dowódcu - usłyszał kpiący głos Romy.

- Odwal się ! - warknął, czując niepokojące pieczenie pod powiekami.

Zamrugnął szybko i całą uwagę zwrócił na przedpole. Było pusto, ale spomiędzy zwałów gruzu raz po raz biegły ku nim krótkie serie, za każdym razem z innego miejsca. Starał się dostrzec w ich przemieszczaniu jakąś logikę, Zorientował się w końcu, że po tej stronie operuje tylko jedna pancerka. Widocznie druga usiłuje zejść ich od tyłu. Pochwalił się w duchu za przezorność i wysłanie Jeremiaha na półpiętro. Miał nadzieję, że Borys doszedł już do siebie i nie pozwoli się zaskoczyć.

Ogień ucichł nagle. "Pewnie coś szykują" - pomyślał. Teraz był dobry moment na prze-rwanie tej bezsensownej bitwy. - Romy, osłaniaj mnie - rozkazał. - Spróbuję wyciągnąć od nich zawieszenie broni.

- Zwariowałeś? Zapomniałeś już, co zrobili z Lee?

- Muszę, dziewczyno, zrozum to! Jak długo można wojo-

wać, nie wiadomo z kim i dla-czego? To musi być jakaś straszliwa pomyłka!

- Co zamierzasz zrobić?

- Zaraz zobaczysz - Stavsky otworzył plecak i wyciągnął z niego przeciwpotną podkoszulkę. - Chyba przez te wszystkie lata nie zapomnieli, co oznacza biała flaga? - Umocował podkoszulkę do nadpalonego kawałka okiennej framugi.

Wysunął zaimprovizowany sztandar przez dziurę w murze i pomachał nim zamasyżycie. Pancerka nadal milczała. To dobry znak - ocenił. Ostrożnie wychylił się na zewnątrz. Ciągłe cisza. Przelazł przez otwór i powoli ruszył w stronę środka placu. Nerwy miał napięte do ostatnich granic.

To instynkt wywołany napięciem kazał mu rzucić się na ziemię, zanim do jego świadomości dotarł łomot wystrzałów. Z tyłu usłyszał przenikliwy syk i owiała go fala gorącego powietrza. Jak echo odezwał się w głębi budynku odgłos drugiego miotacza, po czym zapadła cisza.

Powoli podniósł głowę. Po drugiej stronie placu, gdzie przed chwilą wznosiła się resztką fasady jakiegoś budynku, teraz nie było nic. Jedyne ciemny obłok kłębił się wolno ku górze.

Podniósł się z ziemi. Zobaczył schodzących ze stanowisk Romy Johnson i lekarza. Wolno ruszył w ich kierunku.

- To chyba koniec - Romy rozejrzała się wokoło.

- Ten drugi zaszedł od strony podwórza. Zniszczyłem go - Jeremiaś miał martwy głos i patrzył gdzieś w bok. Stavsky podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Borys, przepraszam, musiałem - powiedział cicho.

Lekarz spojrział na niego. Postąpił krok do przodu, dłoń Stavsky'ego straciła oparcie, zawisła na chwilę zupełnie bez sensu, a potem opadła.

- Wracajmy do budynku, mogą zjawić się następni. Musimy poszukać lepszej kryjówki - powiedział.

- Dobra. Zobacz, co z Brownem. Trzeba też pogadać wresz-

cie z naszym jeńcem - głos Stavsky'ego odzyskał normalne brzmienie. - Myślę, że mówić jeszcze umie.

- Musimy zdobyć coś do jedzenia. Koncentraty są na ukończeniu, zostały tylko żelazne racje - wtrąciła Romy.

- Jak z wodą?

- Godzinę temu Borys wziął resztę dla George'a. Trzeba zrobić wycieczkę za miasto i przynieść śnieg. Pastylki uzdatniające jeszcze mamy.

Jeniec leżał w kącie, tak jak go zostawili. Oczy miał zamknięte, na twarzy malowało się znużenie. Był spokojny i jakby zrezygnowany.

- W jakim języku będziesz z nim rozmawiał? - spytała Romy.

- Muszę wyciągnąć z niego kilka słów. Przygotuj translator.

Romy podeszła do plecaka i wyjęła z niego niewielki, płaski instrument. Przypięła go do pasa, końce przewodów podłączyła do baterii miotacza i zacisków fonokomu.

Stavsky zapiął na szyi laryngofon i włożył słuchawkę do ucha.

- No, mały, powiedz parę słów, musimy dostroić naszego tłumacza.

Żołnierz otworzył oczy i spojrzał ponuro na stojącego nad nim pilota.

- Gadaj, kochany, bo będę musiał użyć siły. - Stavsky pochylił się nad nim i poklepał po policzku.

Jeniec zachnął się i przez zaciśnięte zęby wyrzucił z siebie kilka wyrazów. Romy szybko przejechała suwakiem przyrządu po całej skali. W słuchawkach usłyszeli metaliczny głos tłumacza:

- ...przekłęci Atlasi...

- Zostaw tak, to będzie chyba to - Stavsky gestem dał znak kobiecie.

- Słuchaj, przyjacielu - zwrócił się w stronę czołgisty, a głośniczek translatora z ledwie wyczuwalnym opóźnieniem wy-

rzucił z siebie przetłumaczone słowa - musimy wyjaśnić kilka spraw. Nie mamy wobec ciebie wrogich zamiarów.

- Nie będę nic mówił. I tak mnie zjecie - słuchawka zaskrzeczała beznamiętnym tonem.

Stavsky zdumiony spojrzął na Romy. Ta z otwartymi ustami gapiała się na leżącego żołnierza.

- Jak to - "zjecie"? Nikt cię nie będzie jadł. Jesteśmy ludźmi.

- Człowiek to dużo dobrego mięsa. Prawie jak mut.

- Paul, to kanibale... - szepnęła z przejęciem Romy - Znaczący... zjadacie się nawzajem? - Stavsky zwrócił się do schwytanego. - Przecież coś tu chyba jeszcze żyje oprócz ludzi. Widzieliśmy jakiegoś jaszczura...

- Jaszczur jest... - głos w słuchawce zawahał się i dodał innym tonem - ...brak odpowiednika, synonim: "skażony".

- A te muty, co to jest?

- Nie wiecie, co to muty? Czyżby na Atlasie ich nie było? - W głosie jeńca zabrzmiała ironia. - Wybierzcie się na Wyspy Południowe albo na Ahaggar. Tam jest ich pełno. Obyście tylko wrócili żywi.

- Słuchaj, kolego, nie jesteśmy z żadnego Atlasu. Nie wiem, czy to zrozumiesz, ale przylecieliśmy z kosmosu. - Stavsky pokazał palcem w górę. - Kosmos, kapujesz? Jesteśmy załogą statku, który wyleciał z Ziemi przed tym, coście tu rozpętali. Mieliśmy awarię, musieliśmy wracać, nie osiągnąwszy celu wyprawy. Zastaliśmy Ziemię nieźle przemeblowaną, ale przecież ludzkość ocalała, jesteś tego najlepszym przykładem.

- Nie wiem, o czym mówisz. To są jakieś matactwa Atlasów. Ale Iberia jest potężna. Agresja się wam nie uda, choć macie te swoje diabelskie wyrzutnie piorunów - z determinacją wyrzucił z siebie jeniec. - Setki Strefy Południe są już na waszym tropie!

- Nikt nie jest na naszym tropie. Wszystkie cztery wasze pancerki zostały zniszczone. Nie ma kto zawiadomić twoich towarzyszy.

- Cztery? - wyrwało się żołnierzowi. W jego oczach wyczytał Stavsky coś jakby cień nadziei.

- A co, czyżby było was więcej?

- Nie, nie, cztery... - Jeniec opuścił powieki i umilkł.

- Paul, on coś kręci - Romy z niepokojem spojrzała na pilota.

- Widzę. Musimy się naradzić. Powiedz mi jeszcze, wojaku, jak się nazywasz? Nie wiem, jak mam się do ciebie zwracać - zadał żołnierzowi ostatnie pytanie Stavsky.

- Krick, dziesiętnik Krick - z naciskiem odpowiedział czołgista, dumnie podnosząc głowę.

- Paul, Romy, chodźcie tutaj! - dobiegł ich podniesiony głos Jeremiaha.

Podeszli do klęczącego nad komandorem lekarza. Borys uniósł głowę.

- Nie żyje - powiedział cicho. - Nie mogłem już pomóc.

Choć spodziewali się tych słów, zapadły w nich kamiennym brzemieniem. Stavsky popatrzył na umęczoną bólem, martwą twarz Browna.

- No i tak. Jest nas jeszcze troje - przerwał wiszącą nad nimi ciszę. - Teraz musimy myśleć o sobie.

- Nie możemy pozwolić, żeby jego ciało tu zgniło porzucone - Romy pochyliła się nad zwłokami dowódcy. - Pomóżcie mi.

Dźwignęli bezwładne ciało komandora i ostrożnie wynieśli przed budynek. Ułożyli je na stercie kamieni.

- Cofnijcie się - rozkazał Stavsky.

Posłusznie ukryli się w załomach ruin. Paul stanął na krawędzi zburzonego muru. Odbezpieczył miotacz.

Właściwie powinien był przedtem coś powiedzieć. Może o symbolice tej śmierci - oto syn Ziemi, jej posłaniec do głębin kosmosu, ginie w chwili, gdy ufnie wraca w rodzinne rejony Wszechświata. Umiera z ręki człowieka. Na myśl przychodziły słowa o pamięci potomnych i miejscu w niej dla takich jak

Brown i zaraz cofały się, jakby przerażone własnym bezsenssem. Nie powiedział nic.

Jaskrawa iskra pomknęła w stronę pryzmy i ciało Browna wyparowało.

Znów wędrowali przez kolczaste zarośla. Głód dawał się już mocno we znaki, korzystali z żelaznych racji tylko tyle, aby przeżyć. Na szczęście woda ze śniegu po uzdatnieniu nadawała się do picia. Szli apatycznie, ze zwieszonymi głowami, bez planu, co robić dalej. Krick włókł się z nimi nie stawiając oporu, jakby pogodził się z sytuacją. Początkowo starali się go pilnować, nie zdradzał jednak chęci ucieczki, pozwolili mu więc iść wolno, wiazali go tylko na noc. Mieli trochę kłopotu z karmieniem, bowiem dziesiętnik nie miał zaufania do koncentratów i siłą musieli mu je wciskać do ust.

Trasa ich wędrówki wiodła starą szosą, wychodzącą kiedyś z miasta. Szli, kierując się resztkami asfaltowej nawierzchni, jakie ostały się jeszcze między panoszącymi się wszędzie krzewami. Stavsky miał nadzieję, że droga ta dokądś ich zaprowadzi. Nie mieli żadnego planu, poza zamiarem przeżycia. Do realizacji tego nieskomplikowanego postanowienia potrzebna była żywność. Usiłowali wyciągnąć coś z Kricka, który musiał wiedzieć, co się w buszu nadaje do jedzenia, dziesiętnik jednak z uporem milczał i cierpiał głód razem z nimi.

Zbliżał się wieczór i Stavsky postanowił założyć obóz. Zatrzymali się na skraju niewielkiej polanki. Zmęczeni zrzucali plecaki i siadali na nich, prostując obolałe nogi. Paul nie popędzał ich zbytnio. Było jeszcze dość widno, mieli więc trochę czasu do zmroku. Milczeli. Nikomu nie chciało się otwierać ust, zresztą nie było o czym rozmawiać.

- No, dość tego - podniósł się w końcu Stavsky. - Idę po drzewo na opał. Rozbijcie w tym czasie namioty i przygotujcie coś do jedzenia.

Podnieśli się niechętnie. Stavsky z kilku pasów i linki spo-

rządził coś w rodzaju upręży, którą założył na ramię. Złamana ręka nie bolała go już, jednak ciągle musiał nosić usztywniacz, dlatego, aby móc zbierać gałęzie, codziennie robił te prowizoryczne nosidła.

Wszedł w zarośla. Szukał suchych, grubych konarów - takich, aby dawały ciepło przez jak najdłuższą część nocy. Temperatura, w dzień oscylująca w granicach zera, po zmierzchu spadała kilka stopni poniżej. Podczas wędrówki nauczyli się tak stawiać namioty wokół ogniska, aby jak najwięcej ciepła dostawało się do ich wnętrza.

Wyszedł na skraj polanki. Po jej przeciwnej stronie widział dwie niskie kopuły i krzątające się wokół nich sylwetki towarzyszy. W pewnej chwili wydało mu się, że na lewo od nich, w zaroślach, coś się poruszyło. W tym momencie poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Świat zawirował i rozplątał się w niewyraźnych plamach i cieniach. Wir wciągał go coraz bardziej. Z oddali napływały jakieś obrazy. Pojawienie się każdego z nich odczuwał boleśnie całym ciałem. Nie, nie miał ciała, był pniem, kamieniem i powietrzem. Czuł ból smagającego gałęzie wiatru i zimno śniegu otulającego ziemię. Przypłynął obraz zniszczonego miasta. Zdawało mu się, że sunie wolno ulicami ruin, mijając dziwne, ni to ludzkie, ni to zwierzęce postacie. Dotarł do dużego placu, pośrodku którego widniał cokół zwalonego pomnika. Na cokole majaczyło coś czarnego. Zaczynał widzieć coraz ostrzej.

To był fortepian. Za jego klawiaturą siedziało nagie stworzenie, o ciele pokrytym kępkami rudych włosów. Beznosa twarz o tępym wyrazie uniesiona była ku górze. Stwór grał. Spod jego palców płynęła dziwaczna, pełna niepokoju melodia, bez podziałów rytmicznych i znanej w świecie sprzed wieków harmonii. Kakofoniczne akordy nie były jednak przypadkowymi zbiorami dźwięków. One coś wyrażały - nie wiedział co, choć przenikała go ta muzyka do ostatniego atomu.

Obraz rozmywał się. Chciał krzyknąć, zatrzymać go, wsłu-

chać się głębiej w pieśń płynącą spod dłoni tego człowieka - nieczłowieka, zwierzęcia - niezwierzęcia o wrażliwej duszy. Ale już zniknęło, już było poza nim, daleko. Teraz widział grę barw. Układały się w pasma, przenikały i zlewały, tworzyły zaskakujące kompozycje - bezkształtne, a mające w sobie wiele prymitywne piękna. Jasne błyski przebijały się przez wypełnioną kolorami przestrzeń, jak-by niewidzialny ktoś robił w niej dziury do innego wymiaru.

I nagle rozjarzyło się słońce. Znalazł się na wielkiej, pachnącej kwiatami łące. Lekki wiatr poruszał długimi nitkami żdźbeł, układał je w przepływające wolno fale. Pamiętał. Tak faluje zboże albo nieskoszony łąn trawy. Płynął wolno nad rozfalowaną, zieloną płaszczyzną, pod nierealnie błękitnym niebem z jaskrawą, gorącą kulą słońca w zenicie. Czuł upajający, duszny zapach nagrzanym jej ciepłem ziół. Stawał się tą łąką i drgającym od upału powietrzem, czuł w sobie brzęczenie owadów, był częścią śpiewu zawieszonoego w jego wnętrzu skowronka. Dojrzał biegnącą przez trawy parę. Dziewczyna i chłopiec - oboje młodzi, nadzy i piękni. Czuł ich stopy na swej trawiastej piersi, czuł ciepło ich ciał, gdy upadli spleceni w miłosnym uścisku. Zanurzył ich w sobie, oplątał kłosami dojrzewającego ziarna, zespolił się z nimi aż do pełnego rozkoszy szczytu.

Już odpływał, pełen żalu i tęsknoty, w bolesną ciemność. Zapadał się w nią bez nadziei, bez cienia złudzeń o możliwości powrotu. Świadomość gasła, rozmywając się w drobniutkie obłoczki czerni.

Przeraźliwy, długi, zimny dreszcz przeniknął go na wskroś. Jeszcze nie czuł tego świadomie, był tylko tym dreszczem, który wstrząsał jeszcze obcym, chociaż odczuwającym ból ciałem. Powoli wracał do świata, od którego był już tak daleko.

Otworzył oczy. Znajdował się w ciemnym pomieszczeniu; jego mrok rozjaśniała tylko smuga światła, wpadająca przez

mały otwór pod stropem. Poczul ciężki, twarde ucisk na szyi. Uniósł dłoń i wymacał na niej zimną, stalową obręcz. Był przykuty do ściany grubym łańcuchem. Spróbował wstać. Łańcuch pozwalał na poruszanie się w promieniu pięciu kroków.

Bolały go wszystkie kości. Spojrzał na swą lewą rękę. Usztywniacz był rozpruty, spod rozchylonych brzegów wyziebrał siny, zdeformowany w miejscach złamania kształt. Na pierwszy rzut oka zorientował się, że nigdy nie będzie mógł tą ręką w pełni władać.

Rozejrzał się po celi. W kącie, na wiązce słomy, leżał ciemny tłumok. Podszedł do niego tak blisko, jak tylko pozwalał łańcuch. Z trudem rozpoznał Jeremiaha w ludzkim łachmanie, rzuconym pod ścianę. Lekarz był nieprzytomny. Stavsky, napi-nając łańcuch, dosięgnął jego nogi i z wysiłkiem przyciągnął bezwładne ciało do siebie. Szyję Jeremiaha również opasywała żelazna obroża.

- Borys, żyjesz? - próbował go ocucić potrząsaniem za ramię.

Usłyszał szmer pod przeciwległą ścianą. W smudze światła zamajaczyła niewysoka postać.

- Kto tu jest? - spytał, podnosząc się.

- Krick - usłyszał głos, powtórzony po sekundzie metalicznym szmerem w uchu. Słuchawka fonokomu jakimś cudem tkwiła jeszcze na swoim miejscu. Trochę irracjonalnie i bez sensu ucieszyła go myśl, że translator ocalał. Kilka dni przed ostatnim, niefortunnym biwakiem wziął go od Romy i przepiął na swój pas, podłączając do wymontowanej z miotacza Browna baterii. Dzięki tej przezorności mógł teraz porozumieć się z niezwykłym współwięźniem. Palcami pomacał kołnierz kombinizonu. Zaciski laryngofonu były zapięte, na szczęście nie uszkodziła ich obręcz. Następnie, już metodycznie, sprawdził kolejno mocowania pasa. Wszystko było na swoim miejscu. Na chwilę zelektryzował go szorstki dotyk kabury. Miał nawet broń. Wprawdzie mikrokusza nie była jakimś szczególnie

groźnym orężem, służyła zazwyczaj do polowania na zwierzęta, ale fakt, że nie jest bezbronny, dodał mu pewności. Widać nieznani napastnicy nie potrafili sobie poradzić z zatraskami pasa, a nie domyślając się przeznaczenia wszystkich tych przyrządów, zostawili je tam, gdzie były. Stracił tylko nóż, jego pusty pokrowiec wyczuł na udzie.

- Gdzie jesteśmy? - spytał dziesiątnika. Ze zdziwieniem dostrzegł, że ten jest również przykuty. - Kto nas więzi?

- To jest fort Cont. Jesteśmy więźniami setnika Sappa - usłyszał w odpowiedzi.

- Czy to są jacyś wasi wrogowie?

- Setnik Sapp jest moim dowódcą. Z jego oddziałami stoczyliście bitwę na wybrzeżu.

- Posłuchaj, Krick, nic z tego nie rozumiem. Dlaczego siedzisz tu z nami? Gdzie jest Romy? - Dopiero teraz zauważył jej nieobecność.

- Zostałem ukarany za to, że dałem się schwytać i straciłem swoją dziesiątkę - niechętnie odpowiedział Krick.

- Jak to, przecież byłeś bez szans. Wzięliśmy cię przez zaskoczenie. A twoje pojazdy - wybacź, ale to nie jest przeciwnik dla nas. Chociaż walczyli dzielnie, muszę przyznać.

- Nie wiesz, że funkcyjnym nie wolno dać się ująć? - pogardliwie zapytał Krick. - My możemy tylko zwyciężyć lub zginąć. Ja już nie żyję, moje godziny są policzone.

- Znane zasady... - Stavsky zamyślił się. - Zaraz, zaraz, kto sprowadził pościg?

- Przeliczyliście się, myśląc że mam tylko cztery transportery. Piąty jeszcze przed walką zawrócił do fortu po posiłki. Wtedy, gdy zniszczyliście mój wóz.

- Nie odpowiedziałeś mi, co stało się z Romy - tą kobietą, która była z nami - powtórzył pytanie Stavsky.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym żołnierz, jakby przełamując opór, odpowiedział:

- Już jej nie zobaczysz. W forcie zaczęło się dziś Święto Ży-

cia.

- Co to znaczy? Gadaj! - Skoczył w stronę Kricka. Silne szarpnięcie łańcucha zważyło go z nóg.

- Nie wiesz, co to Święto Życia? Nie udawaj, Atlasie - roześmiał się dziesiętnik.

- Pojmijże wreszcie, człowieku, nie jestem żadnym Atlasem! Później wytłumaczę, teraz mów, co się dzieje z Romy!

- To kobieta, dali ją do zabawy gwardzistom. Broniła się, ale to przecież Święto Życia, w dodatku ona jest wrogiem. Powinna cieszyć się, że zginie w taki sposób, a nie na palu, jak my.

Stavsky usiadł.

- Co się tu dzieje?

Krick wzruszył ramionami i wyciągnął się na słomie w swoim kącie.

- Twojego czarnego przyjaciela możesz nie budzić. Jego już nic nie obudzi. Przynajmniej nie poczuje pala - dodał, ziewając i moszcząc się na legowisku.

- Co mu jest?

- Tego też nie wiesz? Dziwny z siebie człowiek. To właśnie muty.

- Czekaj, ostatnią rzeczą, jaką pamiętam był ruch w krzakach niedaleko obozu. Potem już nic, tylko jakieś widziadła...

- To była psyche mutów. Masz szczęście, że oprzytomniałeś. Widać jesteś odporny. W przeciwnym wypadku leżałbyś, jak tamten - Krick wskazał na nieruchome ciało Jeremiaha.

- A ty?

- Też jestem dość wytrzymały na to paskudztwo. Nie pierwszy raz przez to przechodzę.

- Wiesz, co było dalej?

- Nic, znalazły nas transportery Zenda i przywozły tutaj. Możesz być dumny, zawiśniemy na oczach samego generała Pera.

- Kto to jest?

- Dowódca Strefy Południe. Przybył tu w związku z waszym lądowaniem. Przy okazji zalicza nasze Święto Życia. Sapp na pewno wścieka się, bo sprzątnął mu sprzed nosa Taę. To nasza Płodna - wyjaśnił dziesiętnik.

- Krick, posłuchaj mnie uważnie, muszę ci coś opowiedzieć. Bez tego nigdy nie porozumiemy się. My nie jesteśmy z Atlasu, ani w ogóle z Ziemi, to znaczy z Ziemi, ale nie tej, która istnieje dzisiaj. Nie przerywaj - powstrzymał pytanie, malujące się na twarzy żołnierza - wysłuchaj mnie do końca, potem będziesz pytał. Powiedz mi, co wiesz o katastrofie, która wydarzyła się tu kilkaset lat temu?

- Katastrofa? Masz chyba na myśli Wielki Pożar? To była straszna wojna, tak mówią legendy, choć nie wiem, ile w tym prawdy. Nie chce mi się wierzyć, że ludzie kiedykolwiek dysponowali tak potężną bronią, aby zniszczyć świat. To tylko bajka, którą straszy się dzieci.

- To nie bajka, Krick - cicho powiedział Stavsky. - Tak było. Wiele lat temu na Ziemi, która wyglądała zupełnie inaczej niż dziś, żyli ludzie o znacznie wyższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego. Potrafili latać do gwiazd. Ich wiedza, a może pycha bardziej, była już tak wielka, że zechcieli sięgnąć w najdalsze zakamarki kosmosu. I sięgnęli. Wysłano trzy wielkie statki do jądra Galaktyki. Jesteśmy załogą jednego z nich. Nie wiem jak tamtym, nam się jednak nie udało. Awaria generatora cięciwy zmusiła nas do powrotu. Co to generator cięciwy, nie wiesz, ale mniejsza. W każdym razie wróciliśmy i co zastaliśmy? Niestety, ludzie oprócz galaktycznych statków potrafili konstruować także broń. Podczas próby lądowania zderzyliśmy się z meteorem i manewr zamienił się w prawie niekontrolowany upadek. Traf chciał, że wylądowaliśmy akurat u wybrzeży waszej wyspy... Co było dalej, już wiesz.

- Mówisz prawdę? - po chwili milczenia spytał Krick. - Wydaje mi się, że chyba kłamiesz. W jaki sposób mogliście żyć tak długo? Nie wmówisz mi, że nasi przodkowie żyli tysią-

ce lat!

- Istnieje coś takiego, jak teoria względności i prawo cięciwy. Kiedyś może znów do nich dojdziecie. Na razie musisz uwierzyć mi na słowo, że choć długość naszego życia nie przekraczała z reguły stu lat, potrafiliśmy przekroczyć granice czasu.

- Próbuję ci uwierzyć - westchnął dziesiętnik. - W naszej sytuacji nie ma to większego znaczenia.

- Krick, czy twoi ziomkowie rzeczywiście mają zamiar nas zgładzić?

- Ciebie pewnie będą przedtem przesłuchiwać. Ja zawisnę na palu najpóźniej jutro.

- Przyjmujesz to tak spokojnie? Przecież trzeba się bronić, próbować ucieczki...

- Jestem żołnierzem, człowieku. Mówiłem już, że praktycznie nie ma mnie wśród żywych.

- Powiedz mi, czy można stąd uciec?

- Jeszcze się to nikomu nie udało - roześmiał się Krick. - Spróbuj, może będziesz pierwszy.

- Muszę skontaktować się z waszymi władzami, uczonymi, kimś, kto nie jest zaślepiiony obsesją wojny. Żyją gdzieś chyba jacyś intelektualiści, działają placówki naukowe?

- Znów mówisz niezrozumiale. Intelektualiści? W naszym kraju, na całym świecie zresztą, wszyscy jesteśmy żołnierzami. Z wyjątkiem kobiet. One są robotnicami lub Płodnymi, tych ostatnich jest jednak bardzo mało.

- Płodnymi? Kto to jest?

- Płodne to kobiety, które rodzą dzieci. Duże miasta mają ich po kilkanaście, czasem więcej, takie dziury, jak fort Cont - jedną lub wcale.

- Przecież mówiłeś, że są jeszcze robotnice. Czy im nie wolno rodzić dzieci?

- One nie mogą, są bezpłodne. Pracują w fabrykach i na polach uprawnych, prowadzą gospodarstwa i w ogóle wykonują

wszystkie prace, niezwiązane bezpośrednio z armią. Służą też do zabawy żołnierzom, gdy nastaje Święto Życia.

- A Święto Życia – co to?

- To jest okres - dwa tygodnie - gdy Płodne muszą zostać zaszczeplone życiem. Jeśli w mieście jest jedna taka kobieta - święto przypada raz do roku, jeśli więcej - każda z nich ma swoje. To wspinała uroczystość - rozmarzył się Krick.

- Kto szczepi to życie, jak to nazwałeś?

- Teoretycznie każdy mężczyzna, a w praktyce - miejscowa elita. O Płodne trzeba dbać, reszta musi zadowolić się robotnikami.

- Czy poza tym świętem nie utrzymujecie kontaktów fizycznych z kobietami? Istnieje jeszcze coś takiego jak małżeństwo?

- Nie wiem, co masz na myśli. Kontakty z kobietami, nawet robotnicami, poza Świętem Życia to zbrodnia karana śmiercią. Krążą plotki, że starszyzna czasem korzysta z zaufanych robotnic, może to jednak nieprawda. Większość mężczyzn nie odczuwa takiej potrzeby, a ci nieliczni, którym nie wystarcza Święto Życia, zaspokajają popędy między sobą.

- Jak w takim razie utrzymujecie przyrost naturalny? Przecież tak niewielka ilość płodnych kobiet nie rodzi wystarczającej liczby dzieci, aby utrzymać liczebność społeczeństwa na odpowiednim poziomie.

- Nie, oczywiście, że nie. Dzieci Płodnych to odrębna, uprzywilejowana kasta. Cała reszta, to znaczy w większości szeregowy motłoch i robotnice - to klony.

- Klony? - Stavsky aż gwizdnął ze zdumienia - klonujecie ludzi?

- A jak inaczej uzupełniać szeregi armii? - roześmiał się z politowaniem Krick. - Zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi ginie w operacjach wojskowych każdego dnia?

Stavsky zastanowił się. W tym co usłyszał, znalazł cięszansy dla Romy. Była przecież normalną, zdrową kobietą.

- Krick, czy zabijacie ujęte Płodne waszych wrogów? - Nie,

to zbyt cenny łup.

- Twoi zwierzchnicy popełnili w takim razie fatalny błąd. Romy jest płodna.

- Co takiego? Narażaliście na niebezpieczeństwo wyprawę w kosmos Płodną?

- W moich czasach wszystkie kobiety były takie. Miały poza tym jednakowe prawa i kwalifikacje jak mężczyźni. Romy Johnson była drugim pilotem statku.

- W takim razie możesz ją jeszcze uratować. Musisz tylko powiedzieć o tym na przesłuchaniu. Tobie to nie pomoże, ale ją pozostawią przy życiu.

Rozmowę przerwało skrzyknięcie zawiasów. W drzwiach stało trzech żołnierzy z bronią gotową do strzału. Jeden powiedział szybko kilka zdań, przetłumaczonych natychmiast przez translator. Z ich treści Stavsky pojął, że nawiązany z trudem dialog kończy się nieodwołalnie i na zawsze. Przyszli po Kricka.

Zdumiało go opanowanie dziesiętnika. Na jego twarzy nie było cienia strachu. Po prostu wstał i gdy zdjęto mu stalowy kołnierz, bez wahania wyszedł z celi razem z eskortą.

Gdy drzwi zamknęły się za skazańcem, zapadła długa, martwa cisza. Przerwał ją dopiero przeciągły, najpierw wyraźnie tłumiony, potem coraz bardziej przenikliwy krzyk, pełen tak oczywistego cierpienia, że Stavsky poczuł zimną strużkę potu spływającą o kręgosłupie. Dziesiętnik zwiadu Krick konał na palu.

Niedawno zabrali Jeremiaha. Nie odzyskał przytomności, tak jak to przepowiedział Krick. Było to dla niego wielką łaską, zginął, nie zdając sobie z tego sprawy. Teraz jego kolej. Wczoraj był na przesłuchaniu. Nie uwierzono w żadne wyjaśnienia, z wyjątkiem tego o Romy. Przesłuchujących nie przekonało nawet to, że więzień porozumiewał się z nimi przy pomocy tłumacza. Brali to za jeszcze jeden wynalazek wyimaginowanych wrogów. Odniósł wrażenie, że tych ludzi nic nie jest w stanie zdziwić lub zaciekać.

Dobrze, że choć Romy ocaleje. Co prawda jej los także nie był do pozazdroszczenia. Gdy prowadzono go na przesłuchanie, widział ją na dziedzińcu, rozciągniętą między czterema palikami, gwałconą przez pijanych żołnierzy. W drodze powrotnej już jej nie zobaczył, pewnie odebrano ją gwardzistom zaraz po tym, co usłyszeli od niego.

Tortury, którymi go uraczono, jakoś zniósł. Był z siebie zadowolony – o ile można być zadowolonym w tej sytuacji - nie podejrzewał, że tyle może wytrzymać. Zresztą wyraźnie go oszczędzano, pewnie nie chcąc sobie psuć zabawy w egzekucję. Już w celi zdecydował, że tanio skóry nie sprzeda. Zaraz po wyjściu eskorty sprawdził kuszę. Była w porządku. Załadował ją lotkami i przygotował do strzału.

Postanowił spróbować ucieczki w drodze na miejsce kaźni. Przechodząc dwukrotnie przez dziedziniec, nie zauważył nigdzie zwłok straconych wcześniej więźniów ani przyrządów służących do egzekucji. Mogło to znaczyć, że miejsce straceń znajduje się na zewnątrz fortu. W tym widział nadzieję na ocalenie.

Zdawał sobie sprawę, że nie może przegapić ani jednego

metra drogi, którą będzie prowadzony. To musiało być niedaleko, krzyk Kricka dobiegał bardzo wyraźnie od strony otworu okiennego. Żałował, że łańcuch nie pozwala mu wyrzeć na zewnątrz.

Zadanie było trudne. Należało błyskawicznie analizować każdy krok, by nie stracić najmniejszej okazji. Z eskortą powinien sobie poradzić, wyglądali dość cherlawo. On miał za sobą wieloletnią szkołę służb specjalnych, a selekcja kandydatów do wyprawy była bardzo ostra.

Uśmiechnął się niewesoło, wspomniawszy Romy. Nie będą miały tutejsze koguciki łatwej z nią przeprawy.

Brakowało mu trochę unieruchomionej ręki. Liczył na element zaskoczenia i na swą wytrenowaną sprawność. Nie miał zresztą ani wyboru, ani nic do stracenia. Lepiej zginąć od ich kul, niż na palu. Ciągle dźwięczał mu w uszach potworny wrzask skazańca.

Zasnął ciężkim snem, dręczony majakami, budził się z niego co chwilę z bolesnym skurczem zmaltretowanych mięśni. Obudził go szcęk zamka. Na widok strażników oprzytomniał momentalnie. Odpięto go z łańcucha i szarpnięciem za ramię kazano wstać. Przez mgnienie poczuł, jak ugięły się pod nim nogi. A więc to już. Ruszył wolno między żołnierzami, jeszcze ogarnięty panicznym strachem, siłą woli zmuszając się do chłodnej oceny sytuacji. Poprowadzono go inną niż poprzednio drogą. Ciemny, wąski korytarz nie nadawał się jak dotąd do żadnej improwizacji. Minęli kolejny zakręt. Tu loch się kończył, jego wylot zamykały masywne, wykute z żelaza drzwi. Jeden z żołnierzy wysunął się do przodu i z widocznym wysiłkiem otworzył je.

Blask płynący z zewnątrz oślepił go na chwilę. Gdy odzyskał wzrok, stali już na progu. Przed nimi rozciągała się równina pokryta łatami śniegu, spomiędzy których sterczały w górę pojedyncze skałki i samotne, mizerne drzewka. Nad tym wszystkim wisiła bura, jakby brudna mgła. Niebo zaciągnięte

było o ton ciemniejszymi chmurami i trudno było od razu spoznać, gdzie kończy się ziemia, a zaczyna przestrzeń.

Brutalne pchnięcie w plecy przerwało mu kontemplację krajobrazu. Skręcili w lewo i wtedy zobaczył kres swej drogi.

Na niewielkim wzniesieniu sterczały w niebo cztery wysokie, ostro zakończone, stalowe słupy. Na dwóch nawleczone były nagie, karykaturalnie wykręcone ciała. Tylko po ciemnym kolorze skóry w jednym z nich Stavsky ze zgrozą rozpoznał Jeremiaha. Podstawy pali pokryte były brunatnymi plamami, ciemne smugi zakrzepłej krwi widniały również na dolnych odcinkach stalowych iglic. "Jak muchy na szpilkach" - absurdałne porównanie przemknęło mu przez głowę.

Wokół słupów krzątało się kilku żołnierzy, właśnie opuszczano jeden z jeszcze nie zajętych. Dla niego. Z boku, za niskim stołem, siedziało kilka osób. Pewnie miejscowa starszyzna - domyślił się. Zrozumiał, że nie może dłużej zwlekać. Udał potknięcie, pochylił się i wyszarpnął kuszę z kabury. Szczęknęła zwalniana sprężyna i jeden z eskortujących, z wbiją w krtań lotką, charcząc zwał się na ziemię. Prawie równoczesny silny wyrzut nogi do tyłu pozbawił drugiego broni, łamiąc mu przy okazji rękę. Trzeci strażnik skoczył w tył, siekąc serią z automatu. Pociski przeszły górą i na murze wykwitł sznureczek odprysków. Po raz drugi brzęknęła kusza. Żołnierz wypuścił broń i upadł zgięty w pół, przyciskając ręce do brzucha. Stavsky jednym skokiem prysnął między kamienie, zgarniając po drodze upuszczony przez strażnika automat. Żołnierz ze złamaną ręką z nieludzkim wyciem uciekał w stronę bramy, którą tu przyszli.

Wśród zgromadzonych na miejscu kaźni zakotłowało się. Przygotowujący pal gwardziści rozbiegli się w poszukiwaniu odłożonej broni. Część starszyzny w pośpiechu podążyła w kierunku wejścia do fortu, pozostali, pomiędzy którymi wyróżniał się wysoki mężczyzna o wąskiej, zarośniętej twarzy, usiłowali zaprowadzić porządek wśród zdezorientowanych żołnie-

rzy.

Tyle zdążył zauważyć, nim rzucił się do ucieczki. Zamieszanie zostało dość szybko opanowane, bo po chwili usłyszał pierwsze serie i głucho młaśnięcie wybuchających wokół niego pocisków. Sadził długimi susami, starając się kryć wśród skałek i rzadkich krzewów. "Byle przebyć tę równinę" - tłukło pod czaszką w rytm pulsującej w skroniach krwi. Dalej zaczynały się wzniesienia, pokryte ciemnymi plamami kosodrzewiny. Był już u stóp wzgórza, gdy za plecami usłyszał warkot motorów. Obejrzał się. Z bramy fortu jeden za drugim wypełzały niskie sylwety transporterów.

Ciężko dysząc wspinał się po stromym zboczu. Pościg był coraz bliżej. U stóp góry pojazdy zatrzymały się, po czym kilka z nich rozjechało się wzdłuż stoku, a z pozostałych wyskoczyły załogi i rozpoczęły wspinaczkę śladem uciekiniera.

Trzasnął pod nogą złamany konar. Stavsky, stracił równowagę, przekoziółkował kilka metrów w dół i otoczyła go ciemność. Znalazł się w płytkiej grocie, której wlot zasłaniały nisko wiszące gałęzie krzewu. Skrzywił się, poczuwszy ból w wykręconej stopie. Masując kostkę, wsłuchał się w odgłosy dobiegające z zewnątrz. Goniący byli już blisko jego kryjówki, słyszał ich głosy i szelest rozchylanych gałęzi.

Coś było nie w porządku. Dopiero po chwili zorientował się, że nie rozumie, o czym mówią. Podniósł dłoń do ucha. Słuchawki nie było, urwany przewód smętnie zwiślał z ramienia. Musiał ją stracić podczas wspinaczki i przedzierania się przez gęstwinę. Odpiął translator i ze złością cisnął w kąt jamy.

Głosy oddalały się. Był bezpieczny. Przypadkowa kryjówka, do której niechcący trafił, okazała się jak dotąd wystarczająca. Powoli spływało z niego napięcie ostatnich godzin. Czuł wielkie, obezwładniające znużenie. Zasypiał już, gdy wydało mu się, że słyszy gdzieś blisko jakiś szmer. Otworzył oczy i w jednej chwili oprzytomniał. U wejścia do groty stał żołnierz. Musiał go jeszcze nie dostrzec w ciemnościach, bo mrużąc

oczy wpatrywał się w mrok.

Dostrzegł. Na mgnienie oka zawahał się i Stavsky zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Położył palec na ustach gestem nakazującym milczenie. Żołnierz zbaraniał - i to go zgubiło. W sekundzie Stavsky trzymał w ręce kuszę.

Szybko wciągnął ciało do środka. Umierający żołnierz charczał i kopał nogami. Stavsky rozpaczliwym gestem zatkał mu usta dłonią, lecz zaraz ją cofnął, czując na palcach krew. Wyszarpnął zza pasa gwardzisty szeroki bagnet i przyłożywszy do jego piersi, silnym pchnięciem zagłębił w sercu po rękojęść. Żołnierz gwałtownie wyprężył się i skonał.

Ogarnęły go mdłości. Wstrząsany torsjami długo nie mógł się opanować. Wiedział, że robi za dużo hałasu, że naraża się na ponowne odkrycie, jednak w tym momencie przestało go to obchodzić. W ciągu całego pobytu na Ziemi zabił już wielu ludzi, widział umierających przyjaciół, ale po raz pierwszy zetknął się ze śmiercią w tak bezpośredni sposób. Więcej - sam tę śmierć zadał. Zarznął człowieka jak wieprza w rzeźni i uczynił to fachowo - jakby nic innego w życiu nie robił. Teraz trząsał się cały, usiłując odsunąć się jak najdalej od zakrwawionych zwłok. Spojrzał na twarz zabitego. Wydawało mu się, że żołnierz na niego patrzy. Zerwał z ręki resztki usztywniacza i narzucił je na oczy trupa.

Z trudem uspokoił się. Musiało upłynąć sporo czasu, bo na dworze zmierzchało. Chronometr był rozbity i Stavsky nie potrafił ustalić, jak długo tu siedzi. Emocje ostatnich godzin sprawiły, że nie czuł głodu, chciało mu się tylko potwornie pić. Język miał wyschnięty jak kawałek drewna, brakło nawet śliny, by zwilżyć spękane wargi. Tyle dobrze, że oswoił się już z obecnością martwego gwardzisty, do tego stopnia, że zdobył się na zdjęcie z niego bluzy kombinezonu i przykrycie nią zwłok.

Postanowił opuścić kryjówkę, gdy tylko ściemni się całkowicie. Ostatnie przebłytki dnia wykorzystał na zapoznanie się

ze zdobytą bronią. Był to automat działający na zasadzie karabinu maszynowego z dwudziestego wieku, niezbyt wygodny. Dość długo usiłował znaleźć sposób, w jaki mógłby posługiwać się nim przy użyciu jednej ręki. Szło to niesporo, w końcu jednak udało się jakoś dopasować broń do ograniczonych możliwości. Obejrzał naboje. Zauważył, że każdy pocisk miał na końcu coś w rodzaju zapalnika uderzeniowego. A więc działały wybuchowo. Efekt trafienia czymś takim mógł sobie łatwo wyobrazić.

Zapadła noc. Ostrożnie rozchylił gałęzie zasłaniające wejście i wyrzwał na zewnątrz. Było pusto i cicho, jedynym odgłosem był szelest krzewów, poruszanych lekkim wiatrem. Powoli opuścił się po stoku, starając się unikać potracania leżących na drodze luźnych kamieni i patyków. Był już prawie na dole, gdy poczuł zapach dymu. W niszy za skalnym załosem stał transporter. Przy małym ognisku grzała się jego załoga: dwóch ludzi w brązowych mundurach. Automaty trzymali na kolanach, zdjęte hełmy leżały nieopodal. Wstrzymując oddech, zszedł jeszcze kilka metrów niżej i ukrył się pod drzewem. Żołnierzy musiało nużyć bezczynne czekanie, co chwila któryś z nich opuszczał głowę w ogarniającej go drzemce.

Zaczął wolno pełznąć poza kręgiem światła, rzucanego przez wąty płomyk ogniska. Zamarł, gdy jeden z gwardzistów wstał i prostując zdętwiałe ciało, rozejrzał się sennie wokół. Stał tak dobre kilka minut, zanim usiadł ponownie. Dopiero po dłuższej chwili Stavsky mógł podjąć wędrówkę na nowo.

Miał wrażenie, że trwało to wieczność, gdy wreszcie zostawił posterunek za sobą. Czołgał się jeszcze kilkadziesiąt metrów; gdy w końcu uznał, że jest już bezpieczny - wstał ostrożnie i starając się zachować ciszę, coraz szybszym krokiem począł oddalać się od pilnujących wzgórze żołnierzy.

Świtało, kiedy zauważył, że cisza leżąca na równinie nie jest już pełna. Od pewnego czasu zakłócał ją, uświadomiony dopiero teraz, jednostajny szum, a w powiewie wiatru odkrył charak-

terystyczny, słony zapach. Gdzieś, daleko jeszcze, za linią niewidocznego horyzontu, szumiało morze. Przyspieszył kroku. Biegł prawie, gnany bzdurną nadzieją, że ocean przyniesie wybawienie.

Za niewielkim wzniesieniem, na które wdrapał się, mając przed oczami czerwone plamy wycieńczenia, rozciągała się bezkresna, szara płaszczyzna, znaczona pojawiającymi się i ginącymi, białymi smugami grzbietów fal. Widok był tak niespodziewany, że stanął na chwilę, nie wierząc wzrokowi. Na lewo, około pięciuset metrów od niego, wiła się ku grupie ulokowanych na brzegu niskich budynków-bunkrów ciemna nitka drogi. Spomiędzy nich wybiegała w morze stalowa konstrukcja mola, tworząc osłonięty od fal basen. Wewnątrz kołysało się kilka kutrów i łodzi, przycumowanych do nabrzeża. Niewielki, pomalowany na brązowo stateczek wypływał właśnie w morze, mijał kraniec falochronu. Poza tym Stavsky nie zauważył żadnego ruchu, z wyjątkiem samotnej sylwetki wartownika na molu.

Omijając port szerokim łukiem, przedostał się nad urwisko, które spadało stromo ku pieniającej się w dole wodzie. Wyszukał sobie w nadbrzeżnych skałkach względnie zaciszną kryjówkę. Wyczerpany głodem, wysiłkiem i przeżyciami padł na ziemię, natychmiast zapadając w nerwowa drzemkę. Co chwila budził się przerażony, stwierdzał z ulgą, że wokół panuje spokój i zasypiał na nowo. Obudził się w pełni dnia. Zmęczenie minęło, dręczyło go tylko straszne pragnienie. Zgarnął dłonią garść śniegu z kamiennej półki znad głowy i włożył do ust. Natychmiast poczuł ulgę, choć mdląco alkaliczny smak zmusił go do wyplucia płynu. Musiał spokojnie rozważyć sytuację. Chwilo-wo był bezpieczny, ale przyszłość nie malowała się różowo. Przede wszystkim powinien zdobyć żywność. Sądził, że organizm przyzwyczai się jakoś do przyjmowania wody ze śniegu, lecz bez jedzenia nie pociągnie dłużej niż kilka dni. Pewne bliżej nie sprecyzowane nadzieje wiązał z widzianą rano przy-

stanią, ale w tej chwili nie potrafił nic sensownego wymyślić. Pozostawało eksperymentowanie na własnym żołądku. Nie ryzykował zresztą zbyt wiele. Perspektywa śmierci głodowej była tak samo atrakcyjna, jak otrucie się nieznaną rośliną. Postanowił zacząć natychmiast. Podłoże jego kryjówek porastały niskie, twarde kłaczka mchu. Zerwał kilka z nich i wolno, starannie rozgryzł. Smak miały nijaki, po przełknięciu zostawiały na języku lekką goryczkę. Odezwał się głód. Musiał walczyć ze sobą, by nie najeść się tego mchu do syta. Zdecydował jednak poczekać kilka godzin na skutki eksperymentu.

Stało się to szybciej, niż oczekiwał. Nie minął nawet kwadrans, gdy silny ból rozerwał mu wnętrzności. Ledwie zdążył rozpiąć skafander. Chlusnęło równocześnie z obu końców przewodu pokarmowego. W ustach poczuł smak krwi, krwawe płatki długo wirowały przed oczami, gdy wreszcie organizm przestał protestować. Wycieńczony osunął się na ziemię, nie zważając na ekskrementy i znaczną czerwonymi strzępami, zwróconą zawartość żołądka.

Kilka godzin przeleżał skręcany skurczami, zanim oprzytomniał o tyle, że zdołał wyczołgać się z cuchnącego ukrycia. Dzień szarzał już, gdy odzyskał panowanie nad swym ciałem. Z wysiłkiem uniósł się do pozycji siedzącej i rozejrzał wokół siebie. Znad oceanu nadciągała mgła. Jej bury kłęb pełznął nisko nad wodą, ogarniał coraz większą połać lądu. Wydawało się, że to jedna z cynowoszarych chmur opadła, niezdolna udźwignąć własną masę i teraz rozlewa się po ziemi, miazdżona ciężarem gęstego jak zupa powietrza. Oddech stał się ciężki, czuł nieomal przelewającą się przez gardło zawieszistą strugę. Płuca piekły, jakby wdychał żar hutniczego pieca, choć temperatura otoczenia oscylowała na granicy przymrozku.

Zamyślony obserwował wchłaniający coraz bliższe fragmenty krajobrazu skłębiony tuman. Jakieś niewyraźne skojarzenie przemknęło mu przez głowę. Poczuł lęk, jakby ta mgła miała pochłonać na zawsze resztki świata, który stał się jego

przeznaczeniem.

Od tygodnia wegetował na granicy życia i śmierci. Próby znalezienia jadalnych roślin, uwieńczone w końcu powodzeniem, spowodowały jednak, że zatruty organizm z trudem trzymał się jeszcze na krawędzi świadomości. Działał instynktownie, podobny bardziej do zwierzęcia niż do człowieka.

Tego dnia zawędrował w pobliże portu. Widok ludzkich siedzib sprawił, że odezwało się w nim pierwotne poczucie przynależności gatunkowej. Odzyskał nawet zdolność myślenia i teraz instynkt samozachowawczy walczył w nim z chęcią pójścia między tych ludzi, bez względu na konsekwencje. Zwyciężył w końcu instynkt, czy może wróciła świadomość położenia, w jakim się znajdował, bo zrezygnował z zamiaru wejścia między budynki, zamiast tego począł przemyśliwać, jak wykorzystać bliskość przystani.

Postanowił opuścić wyspę. W tym celu potrzebna będzie łódź oraz żywność i ubranie. Wszystko to miał w zasięgu ręki, pozostawało znalezienie sposobu ich zdobycia. Nie miał konkretnego planu, dokąd uciec. Z przedstawionej niegdyś przez komandora mapy pamiętał, że na południu znajduje się druga, podobna do tej, wyspa, ale nie chciał tam płynąć. Skojarzenie obu wysp z ukształtowaniem lądów przed kataklizmem oraz przypomnienie dawnych nazw geograficznych w tym rejonie pozwoliły mu z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że sąsiedni ląd to właśnie ów Atlas, o którym mówił Krick i przesłuchujący oficerowie. Tak nazywało się dawniej pasmo górskie na północnym krańcu Afryki, mniej więcej w rejonie, gdzie dziś leżała tamta wyspa. Nie spodziewał się ze strony mieszkańców Atlasu innego przyjęcia niż tu.

Powoli przypominał sobie dalsze szczegóły mapy. Na wschodzie zapamiętał rozległy archipelag niewielkich wysepek, ciągnących się z północy na południe i rozdzielających ocean na dwie części. Dalej był duży kontynent, prawdopo-

dobnie resztki Azji. Tam właśnie chciał się przedostać. Żywił nadzieję, że na tak wielkich przestrzeniach pozostało coś z dawnej cywilizacji - coś, co umożliwi mu znalezienie własnego kąta we wrogim świecie.

Przebycie morza jednym ciągiem było niemożliwe. W porcie nie było ani jednej jednostki zdolnej do takiego wyczynu, zresztą nie czuł się na siłach, by podjąć ryzyko. Postanowił odbyć podróż etapami. Popłynie na wschód, tam miał nadzieję dotrzeć do którejś z wysepek archipelagu. Stamtąd, po uzupełnieniu wody i, jeśli los pozwoli, żywności, chciał płynąć dalej, ku brzegom kontynentu. Na tym kończył się jego plan działania. Dalsze losy zależały tylko od ślepego przypadku.

Wszystkie te spekulacje przypominały dzielenie skóry na niedźwiedziu. Nie miał jeszcze ani łodzi, ani wyposażenia na tak długą drogę. Lecz jego mózg otrzymał potrzebny bodziec. Znowu potrafił myśleć analitycznie, widząc przed sobą konkretny cel. Koszmar zwierzęcej egzystencji minął, był znowu twardym, trzeźwo oceniającym sytuację, umiejącym walczyć z przeciwnościami astronautą. W końcu wybranym spośród najlepszych.

Najpierw musiał przyjrzeć się bliżej organizacji życia w porcie. Wykorzystał przedwieczorną mgłę i zainstalował się w grupie skał, najdalej wysuniętych w stronę przystani. Od krańca umocnionego nabrzeża dzieliło go kilkadziesiąt metrów. Widział stąd wyraźnie chodzącego po molu wartownika oraz wpływające i wypływające w morze kutry. Ruch był niewielki. W ciągu kilku godzin, które upłynąć miały do zmroku, tylko raz zmieniły się strażę, wszedł do portu jeden stateczek i dwa go opuściły. Między budynkami nie było widać ludzi ani pojazdów - żadnej krzątanimy, charakterystycznej dla portów w jego czasach. Była to najprawdopodobniej placówka morskiej straży przybrzeżnej. Świadczyło o tym uzbrojenie i jednakowa barwa wszystkich jednostek, jakie cumowały w porcie. Jednocześnie nie było ich przy brzegu więcej niż pięć, nie licząc ma-

łych łodzi uwiązanych do mola.

Cały następny dzień kontynuował obserwacje. Opędzał głód zuciem korzenia rośliny podobnej do pietruszki, o twardych, szarzielonych liściach - jedynej, która nie dawała żadnych widocznych objawów zatrucia. Jego spostrzeżenia przyniosły wiele istotnych informacji. Zauważył, że każdy kuter ma wyznaczone miejsce na nabrzeżu, co pozwoliło mu ustalić ich liczbę. Stacja dysponowała dziesięcioma większymi jednostkami, z których pięć lub sześć równocześnie przebywało w morzu.

Kutry uzbrojone były w trzylufowe działko na dziobie, takie samo jak to na wieżyczkach transporterów wojsk lądowych. Załogę stanowiło pięciu ludzi, przy czym każdy statek miał dwie wymieniające się ekipy. Wynikało stąd, że stan osobowy placówki wynosi co najmniej stu żołnierzy, czyli tyłu co fort Cont.

Porwanie kutra nie wchodziło w rachubę, nie dałby rady obsługiwać go w pojedynkę. Pozostawały łodzie. Było ich osiem, z czego trzy miały maszt ze zwiniętym na rei żaglem. Wypatrzył jacht stojący na końcu szeregu łodzi, tuż przy miejscu załamania linii mola, które tu skręcało pod kątem prostym, równoległe do nabrzeża. Czas potrzebny na wyjście tej łodzi na otwarte wody będzie najkrótszy. Pewną trudność sprawiało dostanie się do niej tak, aby nie zorientował się strażnik, kroczący miarowym krokiem z jednego krańca pomostu w drugi. Będzie musiał go zlikwidować. Wzdrygnął się, wspomniawszy śmierć żołnierza w grocie. Zabijanie stawało się nieodłącznym elementem jego egzystencji na Ziemi.

Pierwszym etapem planu było zdobycie zapasu żywności i odzieży. Gdy przyglądał się schodzącym na ląd załogom kutrów, spostrzegł, że zanim udadzą się na kwatery, pierwsze kroki kierują ku długiemu, betonowemu barakowi, gdzie zostawiają niesione na szelkach podłużne worki. Przepuszczalnie budynek ten służył za magazyn wyposażenia osobistego mary-

narzy. Znajdował się na skraju osady, niedaleko wylotu drogi wiodącej w głąb łądu.

Ogólny zarys planu był gotowy. Resztę trzeba będzie korygować na bieżąco. Postanowił wyruszyć o zmierzchu. Sprawdził nawiniętą na bobinę linkę, wyczyścił i przeładował zdobywczy automat, mocniej przytwierdził do nogawki bagnet. Zapiął i zabezpieczył kaburę kuszy, przez chwilę ćwicząc błyskawiczne jej wyjmowanie. Zaśmiał się w duchu, bo poczuł się jak groteskowa postać ze starożytnych westernów i dopiero świadomość powagi sytuacji odpędziła tę wesołość. Pozostało już tylko czekanie.

Skradał się przytulony do zimnego, szorstkiego muru, pochylając się niżej w miejscach, gdzie widniały w nim wąskie szczeliny strzelnic. Po dojściu do narożnika zatrzymał się. Pusto, żadnego ruchu. Podjął wędrówkę wzdłuż krótszej ściany baraku; po prawej miał niewyraźną bryłę sąsiedniego bunkra. Dotarł do końca i ostrożnie wyjrzał. Znajdował się wewnątrz osady. Na wprost niego majaczył w mroku kształt niewielkiego domku z małymi, kwadratowymi okienkami, których ciemne plamy rysowały się na nieco jaśniejszym murze. Tuż po lewej było wejście do magazynu. Poprawił przewieszony przez plecy automat i powoli ruszył w tamtą stronę.

Przez szparę nad progiem prześwitywało słabe światełko. Widocznie ktoś dyżurował w środku.

Zawahał się na moment. Wyciągnął kuszę z kabury i rękojeścią delikatnie zastukał w drzwi. Cisza. Nacisnął klamkę. Drzwi z lekkim skrzypnięciem uchyliły się. Na wprost niego, z głową opartą na stole, spał żołnierz. W pierwszym odruchu chciał strzelić do niego, zmienił jednak zamiar. Stał za drzemającym dyżurnym. Odwinął z bobiny kawał linki i przy pomocy zębów sporządził z niej pętlę. Co chwila z niepokojem obserwował śpiącego, ten jednak nie poruszał się. Wreszcie był gotowy. Jednym szarpnięciem odchylił żołnierza do tyłu, za-

rzucił pętlę i silnie zaciągnął ją powyżej łokci, przyciskając ręce napadniętego do tułowia oraz wiążąc go do oparcia krzesła.

Zaskoczony żołnierz przez moment gapił się na krepującego go człowieka. Po chwili oprzytomniał na tyle, że zdołał otworzyć usta do krzyku. Stavsky wykorzystał to, wtykając między rozchylone szczęki znalezione pod stołem szmatę, jednocześnie gestem nakazał milczenie. Strażnik szarpnął się kilkakrotnie, lecz czując na gardle ostrze przystawionego bagnetu, uspokoił się i tylko jego pełne wściekłości oczy wędrowały w ślad za krzątającym się Paulem.

Żywność znalazł od razu. W rogu pomieszczenia, na żelaznym regale, piętrzyły się opakowane w płótno suchary. Takie same dostawał w celi. Na sąsiednich półkach leżały skórzane bukłaki z obiecująco bulgoczącą zawartością. Otworzył jeden. Zapachniało alkoholem.

Poszedł w przeciwny kąt, gdzie stały równiutko poustawiane marynarskie worki. Zawartość jednego wysypał na ziemię. Znajdowała się tam porcja sucharów, bukłak wódki, manierka z wodą, jakieś drobiazgi i ciepłe ubranie. Postanowił nie szukać dalej. Zabrał największy na oko worek wraz z zawartością oraz ten opróżniony, do którego załadował suchary i kilka bukłaków. Niepokoił go brak wody. Jedna czy dwie manierki nie wystarczą na długo.

Rozejrzał się po baraku. Na ścianie, obok stołu, gdzie siedział związany wartownik, dostrzegł wmontowany zawór. Odkręcił go. Z rury chlusnął silny strumień, spływając po kamiennej posadzce do ułożonej pod ścianą kratki ściekowej. Zmniejszył nieco jego siłę i nadstawivszy usta, pociągnął duży haust. Woda miała lekko metaliczny posmak, jednak w porównaniu ze śniegiem, którym do tej pory zaspokajał pragnienie, wydała się nektarem. Pił łapczywie, zerkając na siedzącego nieopodal żołnierza. Ten trwał nieruchomo jak posąg i tylko drgające nerwowo mięśnie twarzy świadczyły, że żyje.

Zaspokoiwszy pragnienie, Stavsky wrócił między regały. Zgarnął z półki dziesięć bukłaków i szybko je opróżnił, następnie napełnił je wodą. Wysypał zawartość jeszcze jednego worka i ulokował w nim bukłaki. Zaciągnął węzły, po czym związał troki worków razem, tak aby dały się zarzucić na plecy. Mógł ruszać w drogę. Uklęknął odwrócony plecami do sporządzonego pakunku, przełożył szelki przez ramiona i spróbował wstać. Aż jęknął z wysiłku. Opuścił tłumok z powrotem na ziemię. Ważyło to chyba ponad pięćdziesiąt kilogramów. Podjął jeszcze jedną próbę. Tym razem udało mu się stanąć na nogi. Zgięty pod ciężarem, z dyndającym na piersi automatem, podszedł do drzwi. Odwrócił się i spojrzał na skrepowanego żołnierza.

- Cześć, przyjacielu - rzucił półgłosem. – Mam nadzieję, że nie nawleką cię na tę sympatyczną szpileczkę, w których tak gustujecie.

Żołnierz zabalgotał coś przez wciśniętą w usta szmatę, lecz Stavsky był już na zewnątrz. Teraz musiał jak najszybciej dostać się do przystani. Zauważył wcześniej, że zmiana warty na nabrzeżu następuje, jak ocenił, mniej więcej co trzy godziny. Zostało więc już niewiele czasu. Dziękował w duszy instruktorom ze szkoły służb, którzy starali się wpoić swym podopiecznym umiejętność oceny czasu bez posługiwania się chronometrem. Umiał robić to z dość dużą dokładnością nawet bez pomocy słońca czy gwiazd. Zdolność ta przydała się teraz. Nie kryjąc się zbyt, szybkim krokiem ruszył w kierunku portu. Po dojsciu do ostatniego w rzędzie, położonego najbliżej brzegu baraku zatrzymał się. Przestrzeń między nim a nabrzeżem przedzielał niewysoki murek. Postanowił dostać się tam. Opadł na ziemię i wlokąc za sobą ciężące coraz bardziej worki, pociągał się w stronę muru. Po chwili odpoczywał już, dysząc ciężko, w jego cieniu.

Ostrożnie wyjrzał zza swego ukrycia. Wartownik doszedł właśnie do najdalej wysuniętego w morze krańca mola i wra-

cał, rytmicznie stukając butami w deski pomostu. Stavsky zsunął się do wody. Trzymając się stalowej konstrukcji falochronu, wolno popłynął wzdłuż mola na spotkanie żołnierza. Gdy dzieliło ich około dziesięciu metrów, zamarł w bezruchu, przyklejony do mokrych prętów pomostu. Wartownik minął go i pomaszerował w stronę brzegu. Teraz. Bezszelestnie wciągnął się na deski. Trzy ciche skoki i już uzbrojoną w nóż ręką przedramieniem zdusił krtań strażnika, przeginając go w tył, a w następnej sekundzie silnym, półkolistym szarpnięciem przeciął gardło ofiary prawie do kręgosłupa.

Zepchnął trupa do wody. Na brzegu wśród baraków rozległ się hałas. Nie dbał już o zachowanie ciszy; pobiegł po zostawione pod murem worki i broń.

Odbił od pomostu, spazmatycznie wciągając w płuca gęste powietrze i zachłystując się śliną. W osadzie zrobił się ruch. Widocznie odkryto jego włamanie do magazynu. Zaparł się nogami o pokład jachtu i wciągnął linkę żagla. Jeszcze chwila i płachta załopotiała nad głową. Łódź, nabierając rozpędu, minęła kraniec falochronu. Był na pełnym morzu, gdy poprzez mgłę dobiegły go krzyki od strony przystani. Usłyszał warkot motoru kutra: organizowano pościg. Nie obawiał się go zbytnio, gęsty, ciężki opar ograniczał widoczność do kilku metrów. Rzeczywiście, po paru minutach silnik umilkł i tylko cichnące głosy świadczyły, że w stancji coś się jeszcze dzieje niezwykłego.

Jacht sunął lekko, kołysany krótką, ostrą falą, której bryzgi chłodziły rozpaloną twarz. Żeglował w zupełnych ciemnościach, starając się tylko uciec jak najdalej od brzegu. Miał wrażenie, że oto zamyka kolejny rozdział życia. Ocean oddzielał go od następnych.

Oczy. Ogromne, przeraźliwie głębokie, fascynujące. Obromowane czarną nitką rzęs, nieruchome, choć żyjące lekkim, delikatnym drżeniem powiek. Pochłaniały go, sprawiały, że poza nimi nie istniało nic. Tonął w tych oczach, przenikał przez misterną siateczkę tęczówki i zapadał w głębię bez dna, odcieleśniony, eterycznie lekki. Nie pamiętał już widoku twarzy, której obraz tak nim wstrząsnął, nim dojrzał w niej te oczy. Nie pamiętał mimowolnego odruchu wstrętu, jaki wywołał dotyk zimnego, porośniętego rzadkim włosom ciała. Czuł tylko jego delikatną pieczęć, przeżywał uniesienia, o jakich dawno zapomniał.

Potem biegli przez łąkę, pamiętał ją z poprzedniego snu, on - chłopak o ciele i siłach dwudziestolatka oraz ona - naga i piękna, z głową w aureoli jasnych, płatanych wiatrem włosów. Kochali się, tonąc w płynącej nad głowami trawie. Dotykał jej skóry i nie mógł uwierzyć, że istnieje naprawdę.

Swoją przemianę przyjął naturalnie, był młody, beztroski i radosny.

Nie słyszał jej głosu. To, co mówiła, rodziło się w jego głowie jak własne myśli. Trzymał jej dłoń w swojej, splecione palce łączyły ich w jeden organizm, zanikały granice jednostki, osobowość mnożyła się przez dwa.

Miasto pojawiło się nagle, jakby w przeciągu chwili wyrosło spomiędzy traw. Szli szeroką aleją wśród monumentalnych budowli, mijali przechodniów, ich uśmiechy, ich spontaniczną życzliwość czuł niemal namacalnie. Plac, do którego doszli, wypełniony był tłumem. Trwał koncert. Na niewielkiej scenie, za klawiaturą fortepianu, siedział człowiek o natchnionej twarzy i grał. Pamiętał tę muzykę. Dziś była inna, rozumiał każdy

ton, każdy akord, czuł, jak rodzi się w nim, zanim słuch odebrał jej dźwięki. Wmieszali się w tłum, zasłuchani w przenikającą duszę muzykę. Muzyk grał dla wszystkich, lecz była to ich własna, osobista pieśń, echo uczuć, które ich łączyły. Spojrzał na dziewczynę. Widział jej delikatny profil o lekko zadartym nosku i wysokim czole, z którego co chwila bezwiednym gestem odgarniała opadające włosy. "Kim jesteś?" - pomyślał. Uśmiechnęła się lekko. "Tobą" - przepłynęło wśród jego własnych myśli. "Nie znam twego imienia, nie wiem, skąd się wzięłaś, ale wiem, że cię kocham. To wszystko, co wiem". "Aeane" - usłyszał odpowiedź - "twoje pragnienie". "A to wszystko dookoła? A. tamten świat, zniszczony wojną? Skąd to miasto i ci ludzie?" "To jest twój świat. W twoim świecie nie było przecież wojny, jest tak, jak pragnałeś. Wróciłeś. Paul. Wróciłeś do domu". "Przecież wszystko pamiętam, śmierć, krew, nienawiść, nie zapomniałem przeszłości, tam straciłem przyjaciół. Niczego nie można wymazać z pamięci, to było naprawdę". "Rzeczywistość, Paul, to tylko to, co odbieramy zmysłami. Twoją rzeczywistość właśnie widzisz. Obiektywna rzeczywistość nie istnieje, tak jak nie istnieje obiektywna przeszłość ani przyszłość. Jest tylko twoja własna, indywidualna terażniejszość, chwila, która dzieje się w jednym, określonym punkcie czasu i przestrzeni". "Ale świat, tamten świat, nadal jest, niezależnie od moich subiektywnych przeżyć". "To przeszłość, twoja przeszłość, to tylko pamięć, impuls w mózgu. Tego już nie ma, Paul! Teraz sam tworzysz swój świat chwili, on jest taki, jakim pragniesz go widzieć. Nic poza tym nie ma". - Aeane zbliżyła twarz do jego twarzy i delikatnie pocałowała go w usta. - "Nie roztrząsaj tego, przyjmij to za oczywiste. Jesteś szczęśliwy? Tylko to jest ważne".

Koncert skończył się. Ludzie rozchodzili się z wolna, plac opustoszał. Dziewczyna poprowadziła go wąską uliczką między starymi kamienicami. Ich długie cienie tworzyły popołudniowy półmrok, w kontraście z jaskrawym błękitem, którego

pasmo wycinały z nieba szpiczaste dachy. Zaulek kończył się stromymi schodkami z żelazną, ręcznie kutą balustradą.

Nie zastanawiał się, dokąd idą. Było to oczywiste, jak wszystko, co przeżywał. Schodki skończyły się u bramy, zamkniętej ciężką, zdobioną metalowymi liśćmi kratą. Dziewczyna pchnęła ją i oboje zanurzyli się w chłodnym mroku murów.

Wąskimi schodami weszli na pierwsze piętro. Jedne z trojga drzwi uchyliły się, jakby otworzył je powiew przeciągu. Aeane wzięła go za rękę i przekroczyli próg zapraszającego ich wnętrza.

Zagracony pokoik sprawiał wrażenie niezamieszkanego. Przez zakurzone szyby wysokiego okna z trudem przedzierały się promienie słońca, dopiero po chwili wzrok przyzwyczał się do panującego tu półmroku. W kącie między oknem a szafą, w głębokim, obitym skórą fotelu dojrzał starca. "To jest Paul" - odebrał myśl Aeane.

Znał imię tego człowieka. Znał jego samego od chwili, gdy zaistniała podświadomość. Patrzył na niego i uświadamiając sobie ten fakt, rozumiał prawdziwy sens słowa "zawsze", gdy wsłuchał się w siebie i w każdej, najmniejszej nawet cząstce jaźni odnajdował cień istnienia D'ooro. Wydawało się, że starzec jest ujętą w formie ciała, misterną konstrukcją reakcji biologicznych, które składały się na obraz ludzkiego bytu.

I już wiedział. Zespolony z pamięcią minionych pokoleń przebiegał myślami zakamarki przeszłości. Tysiącokrotnie, milionokrotnie przyspieszone lata i sekundy płynęły w jego wyobraźni, ukazywały kształt świata jak potężne, stare rozszczepione piorunem drzewo. Nieśmiało, z trudem odradza się zgruchotały pień, rozbity na dwie szczapy, z upływem czasu wypuszcza rachityczne pędy, rozwijają się na nich nowe, zdeformowane listki. Dwa odrębne drzewa. Dwa odrębne gatunki ludzkości. Społeczeństwo siły przeciw jedności psychointelektu. Zorganizowana społeczność mrówek kontra spontaniczności stada.

Technika a ucieczka w głąb siebie. Coraz bardziej obcy, coraz węższe, pękające jedna po drugiej więzi. Coraz dalej.

W którymś momencie pędzącego czasu przekroczył ów punkt, zawierający jego własny fragment historii. Był razem z ginącym, zdegenerowanym społeczeństwem, w którym inteligencja przestała być potrzebna. Tonął we wchłaniającym się w samounicestwienie wirze odmaterializowanego intelektu. I zobaczył pustą, wymarłą Ziemię, na której wieczne śniegi pokryją ostatnie ślady dawnej świetności. Jeszcze zginą ostatnie zwierzęta, zamarzną w locie ostatnie owady, zamrze ruch ostatnich żywych cząstek białka. Zostanie tylko śnieg.

Najgorsze były noce, gdy wracał ten przeklęty sen. Leżał w barłogu z gałęzi, wśród ponurych ruin. Wokół panowały, nieprzeniknione ciemności. I zimno. Mróz przeszywał go do ostatniego ścięgna, krew stygła w żyłach, odbierając resztę ciepła skostniałym tkankom. Usiłując rozgrzać się choć trochę, wtulał się w szeleszczące posłanie i wtedy odkrywał to ciało. Było trupio zimne i wilgotne. Skóra, porośnięta twardą, rzadką szczeciną, przypominała w dotyku drobniutki papier ścierny. Odwracał się przestraszony i w ciemności widział niewyraźne rysy potwornej twarzy. Zrywał się do ucieczki, biegł, potykając się o sterty gruzu, do chwili gdy za plecami usłyszał swoje imię. Budził się wtedy zlany potem, widział wtuloną w jego ramię drobną twarzyczkę Aeane i oddychał z ulgą. Patrzyła na niego uważnie swymi przepastnymi oczami, on zanurzał się w tym spojrzeniu i po chwili koszmar mijał, jakby go nigdy nie było.

W miarę upływu czasu te sny męczyły go coraz rzadziej i były coraz krótsze. W końcu wystarczyło, że wywołał z pamięci widok czarnych źrenic Aeane, a ponura wizja zwijała się jak płonący celuloid, odsłaniała na powrót bajkowy świat, w którym żył na co dzień. Nigdy więcej nie spotkał D'ooro. Czasami miał wrażenie, że tamto spotkanie i szaleńczy galop przez czas

nigdy się nie wydarzyły. Starzec wydawał się wytworem wyobraźni, zapłodnionej przez zbiorową jaźń. Był bardziej nierealny, niż to wszystko co go otaczało, zresztą z osobliwym stanem rzeczywistości Stavsky dawno już oswoił się i przyjął ją za naturalną. Jakby nigdy nie było innego świata, tamtą przeszłość pamiętał jak widziany dawno temu film. Być może przyczyniła się do tego projekcja, jaką wtedy ujrzał dzięki D'ooro. Obejrzał z zewnątrz mijający czas, który do tej pory miał za własny, to zerwało psychiczną więź, łączącą go z rzeczywistością. Fizycznie od początku należał do tej, obecnej, rzeczywistości, którą odczuwał zmysłami. Jak się to miało do poprzedniej - nie wiedział. I nie chciał wiedzieć. Nie odczuwał już potrzeby wiązania minionych wydarzeń z teraźniejszymi. Zaakceptował swój nowy świat, a ów świat zaakceptował jego.

Tylko te sny. W jakiś sposób kojarzyły się z przeszłością, o której nie chciał pamiętać.

Czas płynął, a jego psychika zmieniała się pod wpływem zjawisk zachodzących w otoczeniu i w nim samym. Pojęcie intelektu i piękna stopniowo nabierało nowych znaczeń. Nigdy nie przypuszczał, że istnieje tak nieprzebrana wielość możliwości tworzenia. Właściwie cała rzeczywistość była dziełem zbiorowego geniuszu, była sztuką, a każda jednostka była twórcą jakiegoś jej fragmentu i każdy inaczej odbierał to, co stworzyli inni. Było w tym kreowanie własnych sfer, środowisk do życia, zgodnie z potrzebami jednostkowych świadomości. Nie istniała konieczność dostosowania się do rzeczywistości - to rzeczywistość dopasowywała się do oczekiwań. Podziwiając dzieła owych twórców, zastanawiał się często, co jest efektem pracy artysty, a do wytworem jego własnej wyobraźni.

Tym razem było tak samo. Właściwie nie miał ochoty na ten spektakl, Aeane prawie siłą wypchnęła go z domu. A potem pierwszych chwil widowiska był jej za to wdzięczny. Zapomniał o niemiłym uczuciu kierowania jego krokami w pożąda-

nym przez społeczność kierunku - bo takie miał czasami wrażenie; były chwile, gdy czuł się delikatnie sterowany, jakby coś popychało go w świat, przed którym instynkt ostrzegał go trochę, prawa do kawałka własnego, nie podlegającego zbiorowemu intelektowi indywidualizmu. Nie winił za to Aeane, ona była tylko instrumentem cichego, kolektywnego nacisku.

Wszystko to odpłynęło w głąb jaźni, cofnęło się i skurczyło już we wstępnych sekwencjach spektaklu. Wchłonął go bezmiar kolorów, kształtów, woni, które składały się na dzieło, jakiego nigdy wcześniej nie oglądał. Trudno nawet mówić o oglądaniu - był jego częścią, jednym z atomów rozwibrowanej przestrzeni. Nie padło ani jedno słowo, nie zabrzmiał ani jeden dźwięk, a wszystko przesycone było treścią, jakiej nie. zdołałby wyrazić żaden wiersz, nie oddałaby żadna muzyka. Tak, właśnie wiersz i muzyka - takie skojarzenie nasuwało się samo. Wiersz i pieśń, choć pozbawione dźwiękowego szkieletu, oddziaływały bezpośrednio na tę część duszy, w której mieści się piękno. Teraz, gdy było już po wszystkim, gdy analizował chłodno formy percepcji, doszedł do wniosku, że twórcom udało się rzecz, praktycznie niemożliwa - połączenie w jedno dzieło plastyki z muzyką i poezją, przez uprzestrzennienie ich i włączenie psychiki widza w kompozycję, jako jednego z jej elementów. Jeśli taki. był zamiar, to musiał przyznać, że w pełni się powiodł.

Głuche, stłumione stęknienie wyrwało go z zamyślenia, Po chwili odgłos powtórzył się, jakby trochę bliżej. Przystanął. Skądś znał ten dźwięk. Nagłe wspomnienie z innego świata rozjaśniło mu w głowie. To było echo wystrzałów.

Znienacka otoczył go uciekający w panice tłum. Ludzka fala porwała go i uniosła ze sobą, kłębiąc się wąską uliczkę na centralny plac miasta. Tutaj uciekający rozpiezchli się na wszystkie strony; kryli się w zaułkach i bramach, gnali na oślep ulicami, zderzając się ze sobą i tratując. I nagle - wśród obłąkańczego pędu wydało mu się, że znów zapadł w swój

trochę już zapomniany sen. Wspaniałe, lśniące białą tynków fasady domów poczęły rozmywać się jak dym zdmuchnięty wiatrem, odsłaniały ponure zręby ruin, wśród których w panicznej ucieczce przemykały stwory o sylwetkach z grubsza tylko przypominających ludzkie. Stał w miejscu, a odrażające, wykrzywione strachem twarze mijały go, wrośniętego w ziemię na skutek obezwładniającego przerażenia,

Huk strzałów grzmiał już zupełnie blisko. Obejrzał się. W perspektywie zrujnowanej ulicy ukazały się postacie w pomarańczowych kombinezonach i baniastych hełmach na głowach, ziejąc ogniem trzymanej w rękach broni w kierunku uciekających stworzeń. Kilka z nich leżało w pyłe pokrywającym ziemię, jedno pełzło wsparte na rękach, ciągnąc za sobą nogi i przeraźliwie wyjąc. Próbował zmusić się do biegu, nim jednak uczynił pierwszy krok, poczuł mocne uderzenie pod lewym barkiem. Świat zawirował przed oczami i ogarnęła go ciemność, w której przepływały wolno ogromne, pęczniejące krwawą miazgą balony.

Ocknął się, otrzeźwiony strumieniem zimnej wody. Otworzył oczy. Leżał na ziemi w otoczeniu kręgu pomarańczowych sylwetek. Jedna z nich pochylała się nad nim i właśnie wylewała resztki płynu z blaszanego pojemnika. Spod kulistego hełmu dobiegł go głos. Przez komórki pamięci przemknął trwający ułamek sekundy impuls i znalazł: rozpoznał język, którym mówił ów człowiek. Zmieniony przez nowe słowa i akcent, dał się jednak zrozumieć, o tyle przynajmniej, dotarła do niego ostatnia fraza krótkiego monologu:

- ... skąd wziął się wśród mutów?

Spróbował unieść się na łokciu. Boleśnie przypomniał sobie o bezwładnej ręce, gdy nie utrzymała ciężaru, a on padł na pulsujący lewy bok. Jaskrawy kombinezon znów pochylił się nad nim.

- Hej, człowieku, żyjesz? Coś za jeden?

Chciał odpowiedzieć cokolwiek, jednak zamiast głosu z gardła wydobyło się tylko nieartykułowane rzężenie

- Coś tobą nie bardzo... - beznamietnie stwierdził kombinizon - Zabieramy go na tarnuk. - Ostatnie zdanie skierowane było do pozostałych.

Kilka par ramion dźwignęło go z ziemi i przeniosło na nosze. Gdy mały konwój wchodził w wąską przecinkę między drzewami, Stavsky dojrzał ułożone w długim rzędzie ciała. Pierwsze z brzegu leżało na boku, zwrócone przodem w stronę przechodzących. Z potwornej, nieludzkiej twarzy spoglądały na niego piękne, martwe oczy Aeane.

Tarnuk mozolnie przedzierał się przez fale, gonione na północ przez wzmagający się wiatr. Admirał namiestnik Reten stał na przednim pokładzie i z troską spoglądał w niebo. Zanosiło się na sztorm. Ciemne, skłębione chmury pędziły z wielką prędkością, prawie zawadzały o maszty statku, a w ślad za nimi przelewały się przez pokład kłęby wiecznej mgły, której nie potrafiła rozprędzić nawet coraz potężniejsza wichura.

Pierwsze krople deszczu zastukały w deski pokładu. Reten podniósł kaptur sztormowej peleryny i zaciągnął zamek pod szyję. Taka pogoda nie była dla niego czymś nowym. Pół życia spędził na morzu, zaczynając jako szeregowy strzelec w stancy ochrony wybrzeża, a następnie w desantowych jednostkach pierwszego rzutu, gdzie przeszedł kolejne szczeble awansu, aż do stopnia admirała flotylli osłonowej. Od dwóch lat był również namiestnikiem Oliny, grodu - fortecy na zachodnim wybrzeżu Imperium. Brał udział w sześciu wojnach, przy czym tylko jedna - z odległą Skandią - zakończyła się porażką. Wypiarze odparli uderzenie desantu, a brak odwodów spowodował konieczność wycofania zdziesiątkowanych oddziałów na tarnuki i ostatecznej rezygnacji z podporządkowania sobie rogatego państewka.

Właśnie owa nieudana wyprawa wyniosła Retena w wyższe sfery dowódcze. Jego nazwisko wypłynęło po tym, jak dowodząc osłaniającą odwrót setką, przez trzy powstrzymywał wściekłe ataki pancernych kolumn nieprzyjaciela, do chwili, gdy ostatni wycofujący się komandosi zaokrętowali się na pokłady statków. Flotylla odpłynęła, pozostawiając Retena z jego ludźmi na pastwę losu i rozwścieczonych oporem Skandów. Młody setnik nie stracił głowy w obliczu tak jawnej zdrady.

Okupiwszy krwawo odwrót, pod ogniem wrogich działek załadował ocalałych dwudziestu żołnierzy swojej setki na zostawione w pośpiechu na brzegu dwie lekkie łodzie desantowe i ruszył w ślad za wycofującą się armadą. Długo błakali się po oceanie. W czasie jednego ze sztormów Reten stracił jedną łódź i sześciu ludzi z jej załogi. Wygłodniali, zmordowani do granic ludzkiej wytrzymałości, wylądowali w końcu na północnym wybrzeżu kontynentu,

Ich powrót rozpętał prawdziwą burzę. W kraju wrzało z powodu nieudanej wyprawy. Jej dowódcy znaleźli się w ogniu powszechnej krytyki. Wszelkie prywatne niechęci znalazły teraz podatny grunt i dymisje sypały się jedna za drugą. Dotyczyły wszakże dowódców niższego szczebla, na których kierownictwo inwazji usiłowało zrzucić jeśli nie całą, to przynajmniej większą część winy za niepowodzenie akcji. Przybycie Retena i jego czternastu straceńców, a zwłaszcza ich zeznania przed trybunałem wojskowym, spowodowały, że spadły również te najwyższe głowy.

Po tym wszystkim mianowano Retena zastępcą admirała skąd już tylko krok dzielił go od admirałskich szlifów. Stało się to szybciej, niż oczekiwał. Rok później, w czasie pacyfikacji zbuntowanego archipelagu Mekran, któremu zamarzyła się niepodległość, od przypadkowej kuli zginął dowódca flotylli. Naturalną kolejną rzeczą stanowisko padło Retenowi. Piastował je do dziś, w międzyczasie obejmując funkcję namiestnika Oliny po staruszku Lensie, który dożywszy odpowiedniego wieku, musiał udać się na Pustkowie. Teraz miał trzydzieści sześć lat i jeszcze co najmniej czternaście lat kariery przed sobą, zanim przyjdzie czas opuszczenia wspólnoty.

Silny podmuch wiatru chlusnął mu w twarz strugą lodowatej wody, przerywając rozmyślenia. Dłuższe przebywanie na stało się nieprzyjemne. Po raz ostatni rzucił okiem na kłębiącą się za burt bałwany i zawrócił do sterówki.

Za sterem zastał Wanga. Był to najbardziej doświadczony

marynarz wśród załogi tarnuka. Pod jego pewną ręką statek spokojnie pokonywał wzburzoną kipieli. Reten z przyjemnością przyglądał się opanowanym, rutynowym ruchom sternika. Po chwili Wang spojrział na niego.

- Zepsuła się nam pogoda, admirale - zwrócił się do zwierzchnika. W jego głosie oprócz szacunku należnego przełożonym, dały się wyczuć nutki dyskretnej poufałości. Miał do tego prawo, przeszedł z Retenem kilka kampanii i był jednym z owych czternastu, ocalałych po niefortunnej inwazji Skandii. Admirał lubił go, poza tym cenił jego doświadczenie i wojсковą sprawność. Wspólne przeżycia sprawiły, że byli związani ze sobą bardziej, niż nakazywały stosunki służbowe. Trudno mówić o przyjaźni, gdy obu mężczyzn dzieliła tak wielka przepaść w hierarchii, jednak Reten wiedział że dziesiętnik Wang uczyni dla niego wszystko. Z drugiej strony udawał sobie sprawę, iż w krytycznej sytuacji on sam również gotów był poświęcić: bardzo wiele, by pomóc temu staremu wojakowi. Gdyby nie to, że Wang był klonem, dawno już dowodzi by setką, a może nawet tysiącem. Sposób przyjścia na świat skutecznie zablokował mu drogę awansu i nawet sentyment Retena niewiele mógł zdziałać przeciw prawu.

Podszedł bliżej i położył mu rękę na ramieniu. Spojrział na zalewane strugami deszczu okno sterówki.

- Nic nowego w tym rejonie. Ważne, że polowanie udało się nadzwyczajnie.

- To był dobry pomysł, admirale. Zapas mięsa powinien wystarczyć na długo.

- Będziemy takie masowe wyprawy organizować częściej. Szczurołapy ostatnio rzadko dostarczają zdobycz do naszych magazynów, a pojedyncze eskapady na wyspy są zbyt mało wydajne.

Reten zbliżył twarz do szyby, usiłując przebić wzrokiem szarą ścianę deszczu. Światło reflektorów tarnuka grzęzło w lejących się z nieba potokach wody. Zginęło w nich rozkołysa-

ne morze i brunatne chmury. Wydawać się mogło, że świat składa się wyłącznie z miliardów ciężkich kropli. Odwrócił się od okna.

- A jak tam nasz rozbitek? - przypomniał sobie.

- Leży w kajucie na rufie. Trawi go gorączka, co chwila traci przytomność. Rana od postrzału nie chce się goić. On ma sztywną rękę, musiał ją kiedyś niezłe połamać. Kula strzaskała mu bark właśnie nad nią i teraz to wszystko brzydko spuchło.

- Niech zajmie się nim sanitariusz. Chciałbym, aby wrócił do zdrowia. Ten człowiek jest dla mnie zagadką, wygląda na to, że dłuższy czas przebywał wśród mutów

- To chyba nikt z naszych? Takiego wielkoluda dotąd nie widziałem - Wang pytająco spojrział na Retena.

- Jest w nim coś, co mnie zastanawia. Zwróciłeś uwagę na jego pas? Jest tam mnóstwo dziwnych przyrządów. Przeznaczenia większości nawet się nie domyślam.

- Szpieg? – w głosie Wanga zabrzmiało podniecenie.

- Cóż by robił między mutami? – Reten machnął ręką. - Zresztą dowiemy się wszystkiego, gdy dojdzie do siebie.

- Nosi bluzę, jakiej używają Iberyjczycy, zauważyłeś?

- Owszem, lecz jak przebył taką odległość? Chyba nie w tej mamej łupinie, której resztki znalazł patrol po drugiej stronie wyspy?

- Musi być z niego twardy facet, jeśli tego dokonał.

- I przeżył - uzupełnił Reten. - Sądząc po jego wyglądzie i stanie łódki, musiał tu spędzić ładny kawał czasu.

- Co z nim zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Trzeba będzie go wybadać. Idę teraz do niego, zobaczę, jak się czuje. Daj znać, gdyby coś się wydarzyło.

- W porządku, admirale. Nie powinno być większych problemów, taka huśtawka to dla mnie nie nowina - Wang rzucił okiem na przyrządy nawigacyjne. - Znosi nas trochę na północny wschód, ale sztorm ucichnie za jakieś trzy - cztery go-

dziny i wrócimy na kurs.

Reten szedł pod pokład. Nieznajomy leżał nieruchomo na koi i wpatrywał się w kąt niskiego stropu kajuty. Był przytomny, choć niezdrowe wypieki na twarzy świadczyły o dręczącej go gorączce.

Namiestnik podszedł bliżej i pochylił się nad nim. Wzrok znajdy spoczął na chwilę na jego twarzy, by znów wrócić do obserwacji sufitu.

- Jak się czujesz? - głos Retena przerwał przedłużającą się ciszę. - Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Oczy chorego ponownie zwróciły się ku pochylonemu nad nim oficerowi. Jego wargi kilkakrotnie poruszyły się bezdźwięcznie, z ich układu Reten odczytał jedno słowo:

- Pić...

Admirał sięgnął po stojący na stoliczku przy koi metalowy kubek. Z przytroczonej do pasa manierki wlał trochę wody i unosząc głowę chorego, przytknął brzeg kubka do jego spieczonych warg. Ranny łąpczywie przełknął zawartość naczynia i z głębokim westchnieniem opadł na poduszkę.

- Możesz mówić? - zapytał Reten.

Nieznajomy lekko skinął głową.

- Kim jesteś?

- Paul... Stavsky... pierwszy pilot... z "Magellana"... - usłyszał admirał cichy głos.

- Nie rozumiem. Możesz to jaśniej wytłumaczyć? - namiestnik nachylił się niżej, by lepiej słyszeć słowa rozbitka.

Paul Stavsky... z "Magellana" - powtórzył chory z wysiłkiem.

- Nigdy nie słyszałem o takim kraju. Opowiadasz mi tu jakieś bajki - Reten potrząsnął jego ramieniem, aż ranny jęknął z bólu.

- „Magellan”... to statek galaktyczny... - stęknął. - Wróciliśmy z kosmosu...

- Z kosmosu? Bredzisz człowieku! Skąd masz iberyjską

kurtkę? Odpowiadaj!

Głos Retena trafił w próżnię, człowiek na koi zemdłał. Admirał podbiegł do drzwi kajuty i otworzył je.

- Sanitariusz! - jego krzyk zadudnił między stalowymi ścianami wąskiego korytarza.

Z sąsiedniej kabiny wypadł na wpół rozebrany mężczyzna.

- Jestem, admirale - wyprężył się, dopinając zamek spodni.

- Jeniec stracił przytomność. Nie wolno dopuścić do jego śmierci. Natychmiast się nim zajmij. Odpowiadasz głową za jego życie.

- Rozkaz! - Sanitariusz rzucił się w stronę swojej kajuty i po chwili wybiegł stamtąd z torbą medyczną na ramieniu. Reten popatrzył za nim, gdy zamykał drzwi od pomieszczenia chorego, i po chwili ruszył stronę własnej kabiny. To, co usłyszał z ust rozbitka, wydawało się majaczeniem rozgorączkowanego umysłu. Musiał chwilowo odłożyć przesłuchanie, do czasu, gdy jeniec będzie zdrowy. Ów tajemniczy nieznajomy intrygował go coraz bardziej.

Blade światło, które wpadało do pokoju przez matową, zbrojoną cienkim drutem szybę, nie rozjaśniało panującego tu półmroku, Reten siedział fotelu, wpatrzony w nikły poblask pełgającego w palenisku płomyka. Przed chwilą zakończył przesłuchanie tego człowieka. Trwało ponad godziny, a to, co usłyszał z jego ust, było trudne do przyjęcia. A jednak było w tym coś, co sprawiło, że admirał był prawie przekonany. Ten człowiek nie wyglądał na obłąkanego, zresztą wiele opowiedzianych faktów dało się łatwo zweryfikować. Najmocniejszym zaś świadectwem było wyposażenie, które miał przy sobie, a raczej jego resztki - sądząc po tym, co opowiadał. Reten nie mógł pojąć, dlaczego Iberyjczycy zlekceważyli tak oczywiste dowody. Prymitywne dzikusy. Namiestnik uśmiechnął się pogardliwie. Narodom zamieszkującym wyspy na zachód od Archipelagu Europejskiego sporo brakowało do poziomu cywi-

lizacyjnego mieszkańców kontynentu. I tylko odległość chroniła je przed podporządkowaniem Imperium.

Teraz jednak zaszło coś, co mogło ustalić porządek świata postawić na głowie. W opowiadaniu Stavsky'ego uwagę admirała zwrócił fragment o walce z załogą fortu Cont. Oto kilkuosobowa grupka tych, jak ich nazwał Stavsky, astronautów, skutecznie radziła sobie z przeważającymi siłami Liberyjczyków i mimo że w zasadzie tylko bronili się, bezsensownie usiłując porozumieć się z przeciwnikiem, bliscy byli odniesienia zwycięstwa. To nieznanostwo realiów sprawiła, że ludzie ci ponieśli porażkę. Wnioski nasuwały się same, choć Stavsky mówił o tym niechętnie, a Reten nie chciał pytać wprost, by nie zerwać delikatnej więzi porozumienia, jaką udało się nawiązać z tym dziwnym człowiekiem. Astronauci dysponowali potężną, nieznaną bronią. W jego głowie rodził się pewien pomysł, który, gdyby udało się go zrealizować, pozwoliłby na wszechwładne panowanie Imperium na świecie, a jego - Retena - wyniosłoby na najwyższe szczyty władzy

Podniósł się z fotela i zadzwonił na adiutanta.

- Po wieczornej odprawie wart poprosisz do mnie setników: Detta, Serana i Faggio oraz dziesiętnika Wanga rozkazał. - Zrób to tak, aby nikt poza nimi nie dowiedział się o naradzie.

Adiutant wyszedł, a Reten ponownie zagłębił się w fotelu. Począł w myślach precyzować szczegóły swego planu.

W odległości około trzystu metrów od kwatery namiestnika, w niewielkim baraku na skraju koszar, inny człowiek myślał o tych samych sprawach, które zaprzętały głowę admirała Retena. Paul Stavsky krążył po małym pokoiku, pełen wątpliwości i sprzecznych wniosków. Czasami miał nadzieję, że namiestnik mu uwierzył, że wreszcie skończy się ten koszmarny sen, z którego nie mógł się obudzić. Po chwili ogarniało go zwątpienie i wpadał w beznadziejną rezygnację, nie widząc przed sobą żadnej drogi wyjścia z gmatwaniny wydarzeń, w jakie zaplątał

się od czasu lądowania. Z rozmowy z admirałem wynikało, że znajdował się teraz na kontynencie, w większości opanowanym przez jedno mocarstwo. W jakim stopniu umysł jego obywateli były zdolne do wyłamania się z narzuconych organizacją dzisiejszego świata ram – nie wiedział. Ciągłe miał w pamięci wizję, przedstawioną przez D'ooro w czasie pobytu wśród mutów. Wspomnienie Aeane zakłuło w piersiach, przypomniał sobie okrutne sceny polowania. Tak, to byli tacy sami ludzie jak na Iberii, z genetycznie zakodowaną agresją, którzy nie przyjmowali do wiadomości człowieczeństwa mutów. Cóż zresztą dałaby owa świadomość, skoro toczą krwawe wojny również między sobą. I być może tak samo uprawiają kanibalizm, jak tamci...

Zauważył, że Reten zainteresował się walką z gwardzistami z fortu Cont. Wypytywał o szczegóły i był mocno zaniepokojony, dowiedział się, że broń astronautów wpadła w ręce Liberyjczyków, choć starał się to ukryć. Stavsky również zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wprawdzie mogło upłynąć wiele czasu, zanim opanowana zostanie sztuka obsługi miotaczy, ale wiedział, że kiedyś ci ludzie to zrobią, a pojemność baterii była wystarczająco duża, by narobić na Ziemi nielicznego spustoszenia

Musi odzyskać lub zniszczyć miotacze. Wprawdzie nie zmieni przez to mentalności mieszkańców planety, lecz końcu to przecież ludzie i niełatwo będzie pogodzić się ze świadomością, że przyczynił się do przyspieszenia zagłady tej cywilizacji, choćby nie wiadomo jak bardzo była prymitywna i zła.

Istniał sposób realizacji tego zamierzenia. Był wprawdzie niepewny i być może musiałby pociągnąć za sobą śmierć niemałej ilości osób, jednak miał poważną zaletę, która sprawiła, że Stavsky postanowił wprowadzić go w życie. Był jedyny.

Miał zamiar przy najbliższym spotkaniu zasugerować Retenowi ekspedycję na Iberię. Zdawał sobie sprawę, że grozi to rozpętanem wojny między dwoma państwami; lecz było to

lepsze, niż ściągnięcie zagłady na całą Ziemię przez pozostawienie takiej broni w rękach barbarzyńców. Postanowił skusić namiestnika właśnie perspektywą zdobycia broni, co dla tego zawodowego zabijaki powinno być nie lada pokusą. Sądził, że uda mu doprowadzić do zniszczenia lub neutralizacji miotaczy, byle tylko miał je w zasięgu ręki.

Poza tym liczył po cichu, że jeśli zdoła namówić admirała na wyprawę, może nadarzyć się okazja, by pomóc Romy. Nie wiedział co prawda, gdzie jej szukać, ale liczył, że trafi na jej ślad. Zniszczenie broni było ważne, jednak zbłądziło trochę, gdy przypomniał sobie los drugiego pilota "Magellana".

Jakiś dźwięk przerwał jego rozmyślenia. Początkowo, zaabsorbowany wymyślaniem planu, nie zwrócił na to uwagi, lecz chwili spojrzawszy w kierunku, skąd ów dziwny szmer pochodził, najpierw zniecierpliwiony, później zdumiony. Do jego świadomości z opóźnieniem dotarło prastare znaczenie odgłosu, którego nie słyszał tak dawno, że prawie zapomniał jego znaczenia.

Ktoś delikatnie pukał do drzwi.

- Proszę – rzucił odruchowo, ciągle jeszcze nie mogąc wyjść z zadziwienia.

Nie dane mu było przestać dziwić się tego popołudnia. W drzwiach stała kobieta. Czarnowłosa, o szczupłej, śniadej twarzy, ubrana w obszerną suknię, elegancko podkreślającą zaawansowaną ciążę.

- Kalia, druga Płodna grodu Olina – przedstawiła się niepytana i z ciekawością rozejrzała się po pokoju.

Wejdz, proszę. - Tyle na razie przyszło mu do głowy. Cóż mogła chcieć od niego ta kobieta?

- Ty jesteś Paul Stavsky, prawda? Dziwne nazwisko - powiedziała, przysiadając na pryczy. – Podobno przyleciałeś z gwiazd?

- Skąd o tym wiesz?

Wiem o wszystkim, co dzieje się w tym mieście - stwierdzi-

ła, z wyczuwalną nutką przechwałki w głosie.

- Przynajmniej pod tym względem nic się nie zmieniło – uśmiechnął się do niej, lecz pozostała poważna. – Co cię do mnie sprowadza?

Chciałam cię ostrzec – powiedziała. – Coś szykuje się w związku z twoją osobą.

- Ostrzec mnie? - powtórzył. –Dzięki za dobre chęci, ale to chyba zbyt. Jestem dostatecznie czujny, od czasu gdy po raz pierwszy postawiłem nogę na Ziemi.

- Nie bądź zbyt pewny siebie, to zgubiło niejednego, a zapewniam, że byli wśród nich mocniejsi od ciebie. I sprawniejsi – spojrzała na jego rękę.

- Mówiłaś, że coś się szykuje – zmienił temat, boleśnie ukłuty przypomnieniem kalectwa.

- Reten zwołał na dziś tajną naradę swych zaufanych ludzi. Kazał ich wezwać po odprawie wart.

- Co w tym nadzwyczajnego? Ostatecznie jest tu szefem.

- To nie jest zwykła narada. Nie weźmie w niej udziału nikt z grodowej starszyny, żaden tysięcycznik. Co więcej, namiestnik polecił wezwać trzech setników i dziesiętnika w tajemnicy przed ich zwierzchnikami.

- Co to za ludzie?

- Setnicy: Dett, Seran i Faggio oraz dziesiętnik Wang. Stare, wojenne wygi, fachowcy od specjalnych poruczeń szefa, dawni towarzysze broni Retena, Ma do nich nieograniczone zaufanie i używa do najbardziej ryzykownych akcji.

- Cóż to ma wspólnego ze mną?

- Admirał po twoim wyjściu długo siedział zamyślony, a potem kazał ich wezwać. To ma jakiś związek z tobą, możesz mi wierzyć. Dobrze znam Retena, ósmy raz będę rodzic jego dzieci – Kalia spojrzała na swój wydatny brzuch.

- Dzieci?

- Jestem wieloródką - kobieta dumnie podniosła głowę. - Jedenaście razy rodziłam co najmniej bliźnięta. Tylko raz miałam

jedno dziecko.

Stavsky zamyślił się. Po chwili spojrział na Płodną.

- Czemu to robisz? – zapytał.

- Co? – Nie zrozumiała.

- Dlaczego zdradzasz przede mną sekrety Retena?

Kalia wstała z pryczy, podeszła do mężczyzny tak blisko, że poczuł jej oddech na twarzy i powiedziała cichym, dobitnym głosem:

- Jestem Saudyjską.

- Co to znaczy?

- Miałam szesnaście lat, gdy Imperium najechało mój kraj. Saudyjczycy to dzielny naród, ale Imperium zdusiło ich w pięć dni. Schwytano mnie czwartego dnia inwazji. Miałam świadectwo i to uratowało mi życie. Płodnych się nie zabija. Zabrali mnie do Oliny i od tamtego czasu tu jestem.

- Masz postawy, by nie kochać tutejszych.

- Nienawidzę ich – syknęła. – Zgadnij, kto dowodził w Saudii?

- Reten? – domyślił się.

- Każdy, kto jest przeciw Imperium, może liczyć na moją pomoc.

- Skąd wiesz, czy jestem przeciwnikiem Imperium?

- Słyszałam twoją rozmowę admirałem. Ty nienawidzisz tego świata. Teraz ten świat to Imperium, a ja nienawidzę Imperium. W tym miejscu nasze drogi przecinają się i dlatego pomogę ci zawsze, ilekroć może to im zaszkodzić.

- Nie wiem czy to co mam zamiar zrobić, zaszkodzi twym wrogom. Na razie chcę pomóc przede wszystkim sobie.

- Coś mi mówi, że musisz stanąć przeciwko Retenowi - Kalia podeszła do drzwi i otwarszy je dodała:

- Pamiętaj o tym, tym co ci powiedziałam i miej się na baczności.

- Zaczekaj - zatrzymał ją na chwilę - a co będzie, jeśli doniosę Retenowi o naszej rozmowie?

- Nie uwierzy ci - zaśmiała się z wyższością. -Zresztą by nawet uwierzył, jestem Płodna, a to znaczy: nietykalna. Zaskodziłbyś tylko sobie.

Wyszła, cicho zamykając drzwi za sobą.

Ciemność, która zgasiła resztę dziennego blasku, jaki oświetlał dotychczas okna sali narad, rozproszyły trochę zapalone właśnie kinkiety nad kominkiem i drzwiami wejściowymi. Reten siedział za owalnym stołem i z niecierpliwością bębnił palcami po blacie. Właśnie przed chwilą na placu apelowym rozległy się ostatnie komendy odprawy wart i lada moment powinni zjawić się wezwani dowódcy. Obawiał się trochę tej rozmowy - nie, nie dlatego, że nie był ich pewien, sprawdzili się wielokrotnie w bardziej niebezpiecznych akcjach niż ta, którą dla nich zaplanował. Bał się ich reakcji, gdy uświadomią sobie konsekwencje. Och, wiedział, że wykonają wszystkie rozkazy bez szemrania', lecz brak niewymuszonej akceptacji jego planów mógł w konsekwencji doprowadzić do ich ruiny. Musi zapalić tych ludzi, muszą włączyć się w to całym sercem, dopiero wtedy, gdy uznają cel za swój, będzie miał gwarancję, że pójdą za nim do końca, jaki by nie był.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł adiutant.

- Przyszli, admirale - zameldował.

-Niech wejdą. Dopilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał – Reten uniósł się z krzesła.

Wchodzili kolejno, meldując się bez służalczości, jak ludzie, którzy znają swoją wartość i wiedzą, że ich zwierzchnik też ją zna.

- Siadajcie – Reten wskazał krzesła ustawione wokół stołu. Sam zajął miejsce naprzeciw, tak aby widzieć ich twarze.

- Wezwałem was - zaczął - aby poinformować zaplanowanym przeze mnie przedsięwzięciu. Misja jest ściśle tajna i dość niebezpieczna. Poza tym samo wykonanie zadania to dopiero początek. Muszę uprzedzić, że jeśli się nam nie powiedzie,

wszyscy zapłacimy głową. Zanim więc powiem, o co chodzi, macie ostatnia szansę wycofania się. Potem będzie za późno.

Uważnie obserwował reakcję żołnierzy. Siedzieli nieruchomo, ich oblicza pozostały bez wyrazu, jakby to, co usłyszeli, skierowane było do kogoś innego.

- Przyjmuję więc, że wszyscy zgadzacie się na udział w moich planach. Chciałbym dodać, że obowiązuje was ścisła tajemnica, nawet przed waszymi dowódcami.

Wśród obecnych zapanowało niewielkie poruszenie. W końcu odezwał się Dett:

- W jaki sposób mam zataić przed tysięcznikiem nasz udział w akcji? Przecież potrzebne będą jakieś przygotowania, tego nie da się ukryć.

- Zostawcie to mnie. Przygotowania' rozpoczniecie na mój wyraźny rozkaz. Postaram się, aby w tym czasie tysięcznika Gronna nie było w Olinie. Zachowanie tajemnicy przed innymi setnikami oraz ludźmi spoza waszego tysiąca należy do was.

- Czy mógłbyś nam wreszcie zdradzić, o co chodzi, admira-le? – ze zniecierpliwieniem odezwał się Faggio.

Reten z uśmiechem spojrział na setnika. Lubił go właśnie za tę bezczelność, którą czasem przejawiał wobec przełożonych.

-.Jak wiecie – podjął po krótkiej przerwie – przywieźliśmy z polowania na Sparcie szczególnego jeńca. Przesłuchiwałem go dziś i dowiedziałem się rzeczy, które wydają się tak nieprawdopodobne, że mogą być prawdziwe. Ten człowiek twierdzi, że był. członkiem załogi .pojazdu kosmicznego, który wystartował z Ziemi wiele lat przed Wielkim Pożarem i w jakiś niepojęty sposób wrócił właśnie teraz. Stavsky – bo tak się nazywa – opowiadał o niewiarygodnych osiągnięciach techniki w jego czasach. Tłumaczył też ów fenomen ich powrotu po tylu wiekach, ale, przyznam, mało rozumiałem. Zakładając jednak, że mówi prawdę, istnieje pewien detal, który może stać się przyczynkiem do zasadniczego przełomu w obecnym układzie świata. Otóż kosmiczny wehikuł wylądował, a raczej rozbił się

u wybrzeży Iberii. Stavsky i jego towarzysze bili się z ich strażą graniczną która wzięła ich za desant z Atlasu. I wiecie co? Pięciu ludzi skutecznie odiera ataki pancernej setki z fortu Cont, zadaje im poważne straty i traci tylko dwóch spośród siebie. Zaskoczeni i bez rozpoznania. Tylko przypadkowe zetknięcie z .mutami spowodowało, że dostali się w ręce Iberyjczyków. Jeden z tej trójki nie odzyskał przytomności i wbili go na pal. Była z nimi kobieta - podobno Płodna – którą Iberyjczycy zachowali dla siebie. Stavsky'ego przesłuchiwali i oczywiście nie uwierzyli ani jednemu słowu. Udało mu się; uciec w drodze na egzekucję. Porwał łódź z przystani i wypłynął w morze. Po dwóch tygodniach błędzenia po oceanie wylądował na Sparcie, gdzie go znaleźliśmy. Jak długo przebywał wśród mutów – nie wie. ' Opowiadał niestworzone historie o inteligencji mutów, o jakimś mieście, o kobiecie imieniem Aeane i tym podobne brednie. Prawdopodobnie to efekt siły psychy. Dziwne, że w ogóle przeżył. Tyle, jeśli chodzi o jego historię.

- Twardziel – mruknął Seran.

- Mówiłeś, że w piątkę rozbili Iberyjczyków? – przypomniał Wang.

- Właśnie. W tym sedno całej sprawy. Cieszę się, że zwróciłeś uwagę na ten szczegół. Jeśli opowieść tego człowieka jest prawdziwa - a chyba jest – to przybysze musieli dysponować niezłą bronią. Stavsky nie chciał o tym mówić, ale z jego relacji można było wywnioskować, że były to wyrzutnie jakiejś mocy, jeden strzał likwidował pancerkę razem z otoczeniem. Przy tym były niewielkich rozmiarów, używano ich jako broni ręcznej.

- Nieźle – Seran gwizdnał z podziwem. – Mieć taką broń... Pół świata u stóp.

- Widzę, że myślisz, Seran. A tę broń mają Iberyjczycy...

- Mamy ją zdobyć? - domyślił się Dett.

Reten skinął głową.

- A potem? – Wang z uwagą popatrzył na admirała.

- Potem? Spytaj Serana...

Zapadła cisza. Oficerowie spoglądali to na Retena, to na siebie nawzajem, jakby sens tych słów stopniowo docierał do ich świadomości.

- Myślisz o... - z wahaniem zaczął Faggio.

- Tak, nie bój się tego powiedzieć: myślę o przejęciu władzy w Imperium Zachodnim. – Reten wyrzucił z siebie te słowa głosem cichym, lecz pełnym mocy.

- Tylko? – zapytał Seran, nie patrząc na niego.

Zapadła cisza.

- Nie, nie tylko – powiedział Reten, gdy wybrzmiała. - Z waszą pomocą, starzy druhowie – dodał po chwili.

Znów zapanowało milczenie. Pierwszy przerwał je Faggio.

- Ryzykownie grasz, admirale – powiedział zmienionym, poważnym tonem. – Ale zagram w to z tobą.

- Ja również - poparł go Wang.

- Seran? - Reten zwrócił się do brodatego setnika. Ten spojrział spod oka na admirała i po chwili powiedział cicho:

- Możesz na mnie liczyć.

- Gra jest warta świeczki, idę z wami - Dett sapnął z podniecenia.

- Dziękuję, przyjaciele. Wiedziałem - Reten wyprostował się odprężony. Pomyślał, że przypominanie oficerom, iż w tym momencie nie mieli już wyboru, byłoby nietaktem.

- Jest jeden mały problem. - Wang pierwszy otrząsnął z wrażenia, jakie wywarł na nich plan Retena. – Nie wiemy, wygląda ta broń, ani gdzie jej szukać. Poza tym, jeśli nawet ją zdobędziemy, nie będziemy umieli jej używać. Konieczny będzie udział tego, jak mu tam - Stansky'ego?

- Stavsky'ego- Poprawił Reten. - Przewidziałem to. Mam sposób, by nakłonić go do udziału w wyprawie na Iberię. Zdobądźmy najpierw tę broń. Na naukę obsługi i seryjną produkcję przyjdzie czas później.

- W jaki sposób chcesz zmusić Stavsky'ego?

Jeśli jest tak jak, myślę, pójdzie z nami dobrowolnie, nawet z ochotą. Wspomniałem, że w załodze pojazdu kosmicznego była kobieta, Płodna. Wpadła w ręce Iberyjczyków. Stavsky mówił o tym z wielkim przejęciem, z czego wnioskuję, iż była jego Płodną. Chcę zagrać na jego uczuciach. Dla oswobodzenia tej kobiety zgodzi się na udział w ekspedycji.

- Kiedy będziesz z nim rozmawiać? – spytał Seran.

- Teraz. Chciałbym, żebyście byli obecni przy tej rozmowie.

- Namiestnik nacisnął przycisk dzwonka.

Stavsky był zaskoczony tak rychłym ponownym wezwaniem. Idąc za adiutantem przez rozległy plac w centrum koszar pomyślał, że Kalina miała rację. Najwyraźniej wieczorna rada miała związek z jego osobą. Był z tego zadowolony. Szybko nadarzyła się okazja realizacji postanowienia, które podjął przed spotkaniem z Płodną.

Doszli do budynku dowództwa. Adiutant ruszył przodem; poprowadził Stavsky'ego długim korytarzem, co kilka metrów znaczącym ciemną, prostokątną wnęką drzwi. Przed jednymi z nich zatrzymali się. Adiutant zapukał i nacisnął klamkę.

Wokół owalnego stołu siedziało pięciu mężczyzn, wśród których rozpoznał Retena. Namiestnik odprawił adiutanta i gdy drzwi zamknęły się za nim, ruchem dłoni kazał Stavsky'emu podejść bliżej.

- Zaczę bez wstępu - powiedział. - Będziesz uczestniczył w naszej naradzie. Planuję rajd na Iberię i chcę, abyś wziął w nim udział jako przewodnik.

-.Ja? - zdziwił się Stavsky. - Nie macie innych, lepiej ode mnie zorientowanych ludzi?

- Nie do ciebie należy ocena.

- Wybacz, admirale, jestem trochę zaskoczony. – Pilot uśmiechnął się przepraszająco. – Po co tam jedziemy?

- Dowiesz się w swoim czasie. Na razie musi ci wystarczyć .

to, co tutaj usłyszysz.

-A jeśli się nie zgodzę?

Reten popatrzył na niego przeciągle.

- Zgodzisz się, Stavsky - powiedział. – Pewnie nie będzie ci obojętne, że powodzenie ekspedycji wiąże się z uwolnieniem twojej Płodnej z rąk Iberyjczyków.

- Mojej... Chcecie uwolnić Romy? Dlaczego? - Mógł spodziewać się każdej argumentacji, oprócz takiej.

- Powiedziałem, że uwolnienie tej kobiety jest jednym z elementów wyprawy, a nie jej celem.

- Jednak jest wam potrzebna. Muszę wiedzieć, czego od niej chcecie, w przeciwnym wypadku nie mam zamiaru wam pomagać.

- Myślałem, że zależy ci na jej uwolnieniu, ale dobrze, powiem ci. W rękach Iberyjczyków zostało trochę waszego sprzętu, w tym broń. A także człowiek, który potrafi posługiwać się nią. Nie możemy dopuścić, aby ci barbarzyńcy dysponowali tak potężnym orężem.

- Romy nigdy nie będzie ich instruktorem.

- Jest mnóstwo sposobów, by zmusić ją do tego.

- W jaki sposób ją tam znajdziemy? - Stavsky z powątpiewaniem pokręcił głową. - Iberyjczycy mogli wywieźć ją w dowolne miejsce. Nie masz chyba zamiaru przekopać całej wyspy?

- W myśl zwyczajów panujących na całym świecie, wzięta w niewolę Płodna przypada tym, którzy ją schwytali. Twoja Romy jest w forcie Cont i jeśli do tej pory nie zdradziła sekretu obsługi waszej broni, ten sprzęt również jeszcze tam jest.

- Na czym miałby polegać mój udział?

- Jesteś jedynym człowiekiem, który zna tę broń i zna Romy. Poza tym byłeś w forcie Cont i poznałeś tamte okolice. Zaprowadzisz nas tam i wskażesz wasze uzbrojenie, a my odzyskamy dla ciebie kobietę. To wszystko.

Stavsky zamyślił się na chwilę:

- Przepraszam, admirale, jestem trochę zaskoczony. Chciałbym mieć czas na zastanowienie.

- Zgoda, masz dziesięć minut. - Namiestnik podszedł do stojącej przy kominku szafy i wyjął z niej duży, staromodny chronometr. - Jeśli chcesz być sam, możesz przejść do mojego gabinetu - wskazał na drzwi ukryte za grubą kotarą.

Wszedł do małego pokoju ze stojącym pod oknem potężnym biurkiem. Starannie zamknął drzwi i wybuchnął bezgłośnym śmiechem. Plan Retena rzeczywiście go zaskoczył, jednak nie tak, jak to sobie wyobrażał admirał, Czas do namysłu był mu naprawdę potrzebny - aby móc się spokojnie wyśmiać. Nie miał najmniejszego zamiaru odrzucać tej propozycji, przekraczała jego najśmielsze marzenia. Tak, pojedzie z nimi, zdobędzie miotacze i oswojodzi Romy Johnson, a potem... zrealizuje swoje plany. Nie był tak naiwny, jak sądził namiestnik, i dokładnie rozszyfrował jego knowania. Tym ludziom broń była potrzebna nie po to, aby rozbroić Iberyjczyków, lecz by uzbroić siebie. Romy miała być przynętą dla niego. Chwycił ją, tym chętniej, że teraz nie musiał już łowić sam, teraz łowiono jego.

Postanowił wrócić na salę.

- Zgadzam się - powiedział w stronę zwróconych ku niemu twarzy.

Zauważył, że admirał odetchnął z ulgą. Nie był więc pewny mojej zgody - pomyślał.

- Siadaj, .Stavsky - Reten wskazał ostatnie wolne krzesło. - Opowiedz nam dokładnie, gdzie wylądowaliście.

- Macie tu jakąś mapę? - spytał, zajmując wskazane miejsce.

Admirał nacisnął ukryty pod blatem przycisk i jedno ze ścian poruszyła się. Wielka płyta wolno przesunęła się na bok i odsłoniła olbrzymią, niebieską płaszczyznę z zielonymi plamami kontynentu i sąsiednich wysp'.

Stavsky przyjrzał się mapie. Rozpoznał kontury lądów, zapamiętane z planu, który niegdyś wyświetlił Brown na ekranie pokładowego komputera.

Namiestnik podszedł bliżej.

- Tu jesteśmy - wskazał - a tu leży Sparta, gdzie znaleźliśmy ciebie.

Przesunął wskaźnik na zachód.

- Ta duża wyspa to Iberia. Fort Cont leży tutaj.

Długo tej nocy przewracał się na pryczy, nie mogąc zasnąć. Atrakcje wieczoru nie zakończyły się z chwilą opuszczenia sali narad. O północy ponownie odwiedziła go Kalia. Uzpełniła to, co już wiedział, o nowe szczegóły. Poznał więc prawdziwy powód, dla którego Retenowi potrzebne były miotacze i coraz bardziej upewniał się w przekonaniu, że musi je zniszczyć za wszelką cenę. Zastanawiał się, skąd ta kobieta ma tak dokładne informacje o zamiarach admirala. Albo Reten zwierzał się je ze wszystkiego, albo... miała informatorów najbliższym otoczeniu namiestnika. Dla niego ważne było, że znalazł pożytecznego sojusznika. Przed wyjściem Kalia obiecała umieścić wśród biorących udział w ekspedycji żołnierzy zaufanego człowieka, na którego mógłby liczyć w krytycznych momentach.

W najbliższym czasie rozpoczną się przygotowania do wyprawy. Plan Retena był prosty: mały oddział komandosów miał znieacka uderzyć na fort, po czym, opanowawszy go, odnaleźć miotacze. Akcja musiała być przeprowadzona błyskawicznie i tak, aby nikt z załogi nie zdołał zbiec. Po wykonaniu zadania komandosi mieli wrócić na tarnuki i ruszyć z powrotem. Przy sprawnym wykonaniu posiłki Iberyjczyków nie powinny zdążyć z odsieczą.

Na dowódcę ekspedycji Reten wyznaczył setnika Faggio. Sam miał zostać w Olinie, by zataić prawdziwy cel wyprawy. Stavsky'ego korciło, żeby zapytać namiestnika, co stanie się po powrocie komandosów ze zdobyczą, jednak nie zrobił tego. Jak się okazało jeszcze tego samego wieczoru - słusznie. Informację uzyskał od Kalii, a Reten pozostał w przekonaniu, że udało mu się oszukać obcego. Zaczynała się gra, w której pierwszy

ruch został wykonany. Następny należał do Stavsky'ego.

Dobijali do brzegu w zupełnych ciemnościach. Płaskie dzioby tarnuków zachrzęściły o kamienie plaży i ledwo widoczne sylwetki komandosów kolejno zeskakiwały na brzeg, znikając wśród pograżonych w mroku skał. W oczekiwaniu na swoją kolejkę Stavsky przyglądał się lądowaniu, oparty o stalową barierkę na burcie statku. Mimo woli podziwiał sprawność, z jaką desant zajmował nieznany teren. Nagle poczuł czyjaś obecność za plecami. Odwrócił się. Za nim stał niewysoki, smagły mężczyzna w łaciatej bluzie komandosa.

- Jesteś Stavsky? - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Zgadza się - Paul zmierzył żołnierza wzrokiem.

- Kalia poleciła mi skontaktować się z tobą. Wcześniej nie było okazji.

- Masz mi coś do przekazania?

- Tylko tyle, że mam obowiązek czuwania nad tobą i służenia ci pomocą.

- Kim jesteś?

- Żołnierzem, to musi ci wystarczyć. Nazywam się Rodeh.

- Jak cię znaję?

- Nie szukaj mnie, będę miał cię na oku. Jakby co, użyj tego. Wyjął z kieszeni małą świstawkę i podał Stavsky'emu.

- Na mnie już czas.

Obserwował, jak Rodeh zeskakuje z tarnuka i jego głowa znika poniżej linii burty. Po chwili usłyszał plaskanie butów w płytkiej wodzie, po czym od głoś ten zagłuszyły kroki kolejnych lądujących komandosów.

Gdy ostatni żołnierze opuścili statek, podszedł do niego Seran.

- Kolej na nas. Zwiadowcy znaleźli miejsce na obóz. Wang

powinien już tam być. Przygotowano dla ciebie wyposażenie, jest w twojej kabinie. Nie zapomnij zabrać hełmu ekranującego. Gdy będziemy na brzegu, załóż go. Mutów tu raczej nie ma, ale licho nie śpi. Dopóki patrole nie spenetrują terenu, będziemy musieli to nosić.

Stavsky wrócił do kajuty i po pewnym czasie objuczony sprzętem wyszedł ponownie na pokład. Na ramionach miał ciężki, wypchany plecak, przez szyję przewiesił krótki karabinek. Seran, obejrawszy go od stóp do głowy, kiwnął aprobująco krzaczastą brodą i pierwszy skoczył za burtę. Stavsky poszedł w jego ślady. Woda była lodowato zimna, poczuł, jak momentalnie drętwieją mu palec stóp.

Wyszli na brzeg. Paul obejrzał trzymany pod pachą kulisty hełm i włożył go na głowę. Przez chwilę mocował się z oporną sprzączką. Zaklął cicho, co usłyszawszy, Seran odwrócił się w jego stronę.

- Zaczekaj, pomogę ci. - Wprawnym ruchem dociągnął klamrę.

- Dzięki - Stavsky kiwnął baniastą głową, lecz Seran był już zajęty własnym hełmem.

Ruszyli naprzód. Czuł, jak w mokrych butach przy każdym kroku rozpełza się nieprzyjemne mlaskanie wyciskanej stopami wody. Już miał zapytać idącego przodem Serana, jak daleko jeszcze będą tak wędrować, gdy pomiędzy skałkami zamigotał słaby płomyk. Byli na miejscu.

Obóz został założony w płytkiej kotlinie, otoczonej z trzech stron wypiętrzoną stromo skalnym grzebieniem. Wejście od strony morza przesłaniały rozrzucone dość gęsto olbrzymie głazy. Wewnątrz tej naturalnej misy znajdowała się porośnięta rzadką roślinnością łączka z rosnącymi pojedynczo karłowatymi drzewkami i płaskimi niczym grzyby, rozłożystymi krzewami, pomiędzy którymi rozlokowali się żołnierze desantu.

Pośrodku kotliny, wokół rozstawionego nad małym palnikiem trójnogu, na którym wisiał sporych rozmiarów kociołek,

siedziała niewielka grupka mężczyzn. Jeden z nich na widok zbliżającej się dwójki podniósł się i ruszył w kierunku nadchodzących. Był to Wang.

- Wszystko gotowe. Rozesłałem patrole. Faggio zarządził odprawę.

- W porządku, Wang. Zamelduj dowódcy o zakończeniu lądowania.

Wang zawrócił w stronę siedzących, a nowo przybyli ruszyli za nim. Zrobiono im miejsce przy palenisku. Stavsky rozejrzał się po otaczających go twarzach. Byli wszyscy setnicy i kilkunastu dziesiętników, którzy nie dostali wcześniej innych zadań do wykonania. Naprzeciw niego siedział Faggio, wpatrzone w rozłożoną na ziemi mapę.

Z parującego kociołka rozszedł się aromatyczny zapach. Jeden z dziesiętników podszedł do trójnoga i zdjął naczynie z ognia. Obszedł wolno krąg siedzących w kucki ludzi, napełniając podstawiane kubki gorącym płynem. Stavsky uchylił przyłbicę hełmu i podniósł swój do ust. Napój miał zapach zbliżony do kawy, w smaku był gorzki i zalatywał pleśnią, lecz rozgrzewał wyśmienicie. Po chwili całe ciało ogarnął miły dreszcz rozpluwającego się po wszystkich członkach ciepła.

Faggio zaczął odprawę.

- Wylądowaliśmy tutaj - wskazał punkt na mapie. Wszystkie szyje wyciągnęły się w jego kierunku.

- Jesteśmy o dzień drogi od fortu Cont i pół dnia od przystani ochrony wybrzeża, skąd Stavsky porwał łódź. Mój plan jest następujący: działamy równocześnie w dwóch kierunkach. Najpierw pójdzie pozorowane uderzenie na przystań. Oddział, który je przeprowadzi, musi działać z zaskoczenia, by od razu uzyskać przewagę. Nie może jej jednak wykorzystać do końca. Uderzenie ma ściągnąć z fortu posiłki, które trzeba będzie związać walką. Zadanie to wykona setka Detta.

Stavsky spojrzął na setnika. Żaden grymas nie przemknął

przez jego twarz, choć musiał zdawać sobie sprawę, że idzie na stracenie. O ile niespodziewany napad na port miał szanse powodzenia, to przy założeniach planu Faggio niewielu z jego setki zobaczy brzegi kontynentu.

- Pozostała część oddziału - kontynuował dowódca - podej-
dzie pod Cont. Jako straż przednia wyruszy Wang z trzema
dziesiątkami z setki Serana. Jego zadaniem jest oczyszczenie
trasy z patroli Iberyjczyków. Nie wolno dopuścić, aby choć
jeden ich żołnierz zdołał zbiec. Zatrzymamy się w tych górach
- pokazał na mapę. - Stąd jest już tylko krok do fortu. Sygna-
łem do rozpoczęcia akcji będzie wymarsz posiłków przeciw
Dettowi. Musimy działać szybko. Cont powinien zostać zdoby-
ty, a oddział wycofany przed powrotem wojska. To wszystko.
Są pytania? - zwrócił się do obecnych.

Odpowiedziało mu milczenie. Nie było o co pytać.

Rozpoczęli przed świtem. Kilka minut trwało zwinięcie
obozu, po czym wyznaczeni żołnierze pod dowództwem Wan-
ga wyruszyli w drogę. W międzyczasie wróciły ostatnie z roze-
słanych patroli. Okolica była czysta, śladów mutów nie znale-
ziono. Stavsky z ulgą przytroczył hełm do plecaka. Ciężkie
żelastwo nie pozwoliło mu zmrużyć oka przez całą noc.

Główna część oddziału ruszyła pół godziny po patrolu
Wanga. Pierwszy brzask zarysował czarne pasmo gór na hory-
zoncie, gdy setka Dett odłączyła się od reszty, by podążać w
stronę przystani. Długi wąż uzbrojonych sylwetek zamykał
sam Dett. Stavsky patrzył za nimi, gdy znikali w gąszczu kol-
czastych krzewów. Kiedy ostatni z komandosów skrył się
wśród gałęzi, setnik przystanął i obejrzał się. Ani on, ani nikt z
przyglądających się wymarszowi nie wiedział, że widzą się po
raz ostatni.

W szklach lornetki widział wyraźnie wypełzające z bramy
znajome sylwety transporterów. Sunęły jeden za drugim wą-

skim traktem, który wiódł w stronę wybrzeża. Naliczył ich dwadzieścia. A więc blisko połowa załogi opuściła fort. Atak powinien się udać. Te same myśli zaprzętały widać głowę Serana, bo odezwał się cichym głosem:

- Wieczorem zaczynamy...

Leżeli na skalnej półce na wysokości około trzydziestu metrów nad ciągnącą się u stóp góry równiną. W odległości mniej więcej pół kilometra od ich kryjówki piętrzyły się mury fortu Cont. Widoczność była dobra, mgła podniosła się i tylko delikatny opar mącił trochę ostrość obrazu. Przez silne szkła lornety, w którą wyposażył Stavsky'ego Faggio, widać było nawet twarze wartowników, przechadzających się wzdłuż linii zasieków z drutu kolczastego wokół zewnętrznego pierścienia bunkrów. Tych zasieków poprzednio nie było, zanotował w myśli, musiały zostać założone po jego ucieczce.

Transportery zniknęły w tumanie wzbitego z mielonej gąsienicami ziemi kurzu i obaj zwiadowcy wrócili do obozu. Tu wezwał ich do siebie Faggio. Seran złożył dokładną relację z rozpoznania. Setnik uważnie wysłuchał jego sprawozdania, po czym powiedział:

- Uderzymy dziś wieczorem. Ściągnij do mnie Wanga i Klessa. Trzeba wydać dyspozycje.

Po chwili obaj wezwani dziesiątnicy zjawili się w namiocie Faggia.

- Dett już działa - rozpoczął dowódca. - Dwadzieścia pancererek opuściło Cont. Zaczniemy akcję o północy. Kless z połową mojej setki obejdzie fort od zachodu. Tamtędy biegnie światłowod łączności ze sztabem Strefy Południe. Zniszczycie go i zamkniecie główny trakt. Ja z resztą setki rozpocznę od południa, od strony głównej bramy. Zaatakujemy pierwsi, by odwrócić uwagę od właściwego natarcia, które poprowadzi Seran. Uderzysz od północy - zwrócił się do setnika - tam fortyfikacje są najsłabsze. Wyłącz z ataku dziesiątkę Wanga. Ci wyruszą po przełamaniu obrony. Ich zadaniem będzie odszukanie

miotaczy i uwolnienie Płodnej. Stavsky pójdzie z nimi.

- Mam pytanie - odezwał się Seran. - Zostawiasz całą wschodnią stronę odsłoniętą. Teren jest co prawda trudny i transportery nie przejdą, ale pojedynczy żołnierze mogą się przemknąć. Co będzie, jeśli zabiorą miotacze i uciekną z nimi?

- Kless był tam dziś na rozpoznaniu - odpowiedział Faggio.

- Z tamtej strony nie ma wyjścia z fortu. Jeśli będą chcieli uciekać, uczynią to bramą zachodnią, która również nie będzie atakowana i wpadną w ręce moich komandosów. Zanim zorientują się w pułapce, fort musi zostać zdobyty.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, to nie mamy po co wracać do Oliny. Po zdobyciu Contu - kontynuował Faggio - wycofujemy się na miejsce łądowania, ładujemy na tarnuki i odpływamy.

- A co z Dettem? - wtrącił się Stavsky.

- Dett, a raczej to, co zostanie z jego setki - zimno odparł Faggio - musi zdążyć przed naszym wypłynięciem. Inaczej zostaną tutaj.

- Zostawisz ich?

- Dostaliśmy zadanie do wykonania. Jego realizacja wymaga ofiar. Dett jest żołnierzem, tak jak my. Wiedział co go czeka, a mimo to nie zadawał głupich pytań.

Stavsky zamilkł. Właściwie znał tę odpowiedź, zanim zaczął pytać.

Siedział wraz z Wangiem w płytkim wykrocie. Wokół rozlokowali się żołnierze wyznaczonej dziesiątki. Przedpole huczało od wystrzałów. Po czterech godzinach walki atak oddziału Serana sforsował linię bunkrów i teraz pod wściekłym ogniem głównych umocnień fortu usiłował dostać się pod mury. Dostępu do bramy broniły trzy pancernki. Ukryte wśród skał, krzyżowym ogniem działek powstrzymywały kolejne próby szturmów. W świetle wstającego poranka widział, jak kilku komandosów czołgając się zachodzi je od tyłu. Po chwili jeden z

nich uklęknął i przełożył przez ramię długą rurę przeciwpancernego działka. Odrzut powalił go na ziemię, lecz jeden z transporterów zaczął dymić, po czym z tylnej jego części buchnął w niebo wysoki słup ognia. Drugi z pozostałych pojazdów obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i plunął potrójną smugą pocisków w stronę niespodziewanych napastników. Widać było jak ci, których nie dosięgnął ogień, odskakują pomiędzy skałki, strzelając w biegu. Małe obłoczki wykwitły na pancerzu transportera. Któryś z nich musiał trafić kierowcę, bo maszyna nagle zaczęła kręcić się w miejscu, ryjąc gaśnicami ziemię. Ostatnia pancierka, cofając się w stronę bramy, krótkimi seriami biła w kierunku ukrytych komandosów.

Kilkudziesięciu ludzi rzuciło się za nią. Zdzięciłowani pociskami transportera dopadli bramy, zanim zdołano ją zamknąć na powrót. Jednocześnie Seranowi udało się dostać pod mury fortu. Poleciały w górę kotwiczki z linkami i pierwsi żołnierze zaczęli wspinać się na mury.

Rozgorzała walka wewnątrz umocnień. Teraz górą byli komandosi. Na niewielkiej przestrzeni transportery straciły zdolność manewru i Iberyjczycy cofali się, wybijani bezlitośnie przez okrutnych żołnierzy Imperium.

Nadszedł czas działania dla Wanga i jego dziesiątki.

- Biegiem! - Poderwał żołnierzy dziesiątnik i oddział rzucił się w stronę bramy. Po minucie gonitwy na złamanie karku dopadli otwartych wrót. Minęli transporter, w którym trafiono kierowcę. Stał nieruchomo. Ciało strzelca bezwładnie zwisało z włazu wieżyczki. Wewnątrz fortu Stavsky ujrzał pancerkę, której udało się wycofać. Luki miała otwarte, a kilka metrów od niej leżała załoga - dwóch ludzi w brunatnych kombinezonach, z poderżniętymi gardłami.

Wbiegli między baraki. Główny budynek fortu był jakieś sto metrów przed nimi, gdy zza zakrętu wypęzła pancierka. Właz na wieży miała uchylony, a skulony w nim człowiek trzymał w rękach przedmiot, na widok którego Stavsky'ego oblał zimny

pot. Dziesiątka Wanga rozprysła się na boki, zanim tamten zdążył nacisnąć spust miotacza. Nie było czasu do namysłu. Neutralizator! - przemknęło przez głowę Paula i jednym ruchem wcisnął przycisk na pasie. Poczul, jak ziemia zachwiała mu się pod stopami. Musiał działać błyskawicznie. Za dwie minuty trzeba będzie wyłączyć neutralizator, albo pole ochronne zniszczy strukturę układu nerwowego jego ciała.

Odłożył karabin i skoczył w stronę transportera. Człowiek na wieżyczce nacisnął spust. Na ułamek sekundy otoczył go parzący, jaskrawy kokon. Wyszarpnął kuszę z kabury. Pierwsza lotka chybiła i miotacz syknął ponownie. Równocześnie transporter ruszył do przodu, chcąc gąsienicami zmiażdżyć niezniszczalnego napastnika. Strzelec zorientował się, że tego człowieka nie zlikwiduje przy pomocy miotacza, odrzucił go więc i próbował skryć się we wnętrzu wieży. Na jego nieszczęście zaczepił skafandrem o występ wjazdu. Ta chwila wystarczyła. Stavsky wystrzelił z bardzo bliska i żołnierz, wydawszy przeciągły kwik, szarpnął się w tył, po czym opadł, uczepony połą kombinezonu o zawias klapy, kołysząc się w rytm szarpnięć pojazdu.

Pancerka była tuż. Rzucił się do ucieczki, lecz klekot gąsienic już huczał za plecami. Nagle rozległ się głośny trzask i wszystko ucichło. Odwrócił się. Transporter płonął trafiony pociskiem jednego z komandosów Wanga. Odetchnął z ulgą i w tym momencie poczul, że świat rozpada się na kawałeczki. Dotarł do granicy odporności na działanie pola ochronnego. Ostatkiem woli sięgnął do pasa i ogarnęła go słodkawa ciemność.

Nie trwało to długo. Po kilku sekundach odzyskał władzę nad zmysłami, a pierwszą rzeczą jaką ujrzał, był miotacz w rękach Wanga.

- Odłóż to! - krzyknął widząc, że dziesiątnik majstruje przy korpucie broni.

- Co to jest? Widziałem, jak strzelali do ciebie - Wang nie-

chętnie położył miotacz na ziemi.

- To jedna z tych rzeczy, których szukamy. W ich rękach są jeszcze cztery.

- To znaczy, że nauczyli się tym posługiwać. - Dziesiętnik rozejrzał się. - Musimy się spieszyć.

Stavsky podniósł miotacz i przewiesił go przez plecy. Znajomy dotyk broni przyniósł ulgę, miał przez chwilę wrażenie, że budzi się z koszmarne snu...

Wang szarpnął go za rękaw.

- Idziemy dalej. Trzeba przeszukać główny budynek.

Wewnątrz kwatery dowództwa fortu trwała jeszcze walka. Echo wystrzałów dobiegało z głębi krętych korytarzy. Rozpoczęli gorączkowe przeszukiwanie jednego pomieszczenia za drugim. Parter był pusty, jeśli nie liczyć kilkunastu trupów, odzianych w brunatne i łaciate kurtki. Wbiegli na pierwsze piętro. Zza załomu korytarza przywitała ich seria z automatu. Dwóch żołnierzy osunęło się na ziemię, lecz zaraz poleciały granaty i strzelec umilkł. Stavsky ze swe go ukrycia we wnęce drzwi widział tylko jego drgające konwulsyjnie nogi. Skoczył naprzód.

Za węglem, który był osłoną zabitego Iberyjczyka, zobaczył ozdobnie kutą kratę. Korytarz za nią wyłożony był miękkim dywanem, a przy każdym z trojga drzwi stała donica z olbrzymim, kwitnącym krzewem.

- Kwatera Płodnych - usłyszał za uchem głos Wanga. Dziesiętnik zawiesił na zasuwie kraty wiązkę granatów, następnie wyrwał zawleczkę i skoczył w tył, pociągając za sobą Stavsky'ego.

Wybuch wstrząsnął budynkiem. Na głowy żołnierzy posypał się tynk. Droga była wolna.

Przeszli przez wyłamana furtkę. Po krótkiej chwili niezdecydowania Stavsky nacisnął klamkę pierwszego z brzegu pomieszczenia. Pokój był ciemny, lecz w głębi dostrzegł wysoką, kobiecą postać. Na widok znajomej sylwetki ścisnęło mu się

serce. To była Romy Johnson.

Po obozu nadciągaly ostatnie grupy uczestniczacych w akcji żołnierzy. Faggio, sam ranny w rękę, zarządził zbiórkę oddziału dla podsumowania strat. Wyprawa udała się połowicznie. Zdobyto dwa miotacze: jeden w forcie, drugi wpadł w ręce grupy Klessa, który okupił jego zdobycie stratą trzydziestu dwóch żołnierzy. Pozostałe, według słów Romy, zostały wywiezione do sztabu Strefy Południe i były poza zasięgiem ekspedycji. Dodatkową zdobyczą były dwie kobiety: Taa i Romy, którą Stavsky od razu wziął pod opiekę, by nie podzieliła losu Płodnej fortu Cont.

Straty były duże. Z dwóch setek, które wzięły udział w szturmie, ocalało około dziewięćdziesięciu ludzi, w tym dwudziestu rannych. Do tego należało doliczyć straty setki Detta, z której tylko niewielu miało szanse ocalenia. Pod warunkiem że zdążą.

Stavsky był przygnębiony. Jak dotąd nie udało mu się zrealizować planu neutralizacji miotaczy. W twierdzy nie było na to czasu, teraz broń przejął Faggio, w dodatku zniszczenie dwóch egzemplarzy nie rozwiązywało problemu. Trzy sztuki nadal groziły niebezpieczeństwem w nieodpowiedzialnych rękach. Temu niestety już nie potrafił zapobiec. Pozostawało mieć nadzieję, że baterie miotaczy wyczerpią się szybciej, niż Iberyjczycy zorientują się w możliwościach tej broni i opanują technologię jej produkcji.

Jedyną pociechą był fakt uwolnienia Romy. Wprawdzie nie groziło jej w rękach Iberyjczyków żadne poważne niebezpieczeństwo, jednak wiedział, że los, jaki przypadł jej w udziale, boleśnie zranił jej dumę. Nie potrafiła żyć w poniżeniu, jako automat do rodzenia dzieci. Jedno nosiła już w swym łonie. Był to efekt gwałtu, dokonanego na niej po schwytaniu astronautów przez oddział Zenda. Teraz najważniejsze było zapewnienie jej i dziecku przyzwoitych warunków życia - takich, na

jakie zasługiwała ostatnia kobieta minionej cywilizacji. Nie mogła na nie liczyć w Olinie.

Miał ciągle nadzieję, że uda mu się zniszczyć będącą w posiadaniu Faggia broń. Musiał rozegrać to tak, by zapewnić sobie i Romy możliwość ucieczki. Nie miał złudzeń, że Reten wybaczyłyby im taki czyn. Liczył na pomoc popleczników Kallii. Zorientował się już, że Saudyjczycy, podbici przez Imperium, tworzą frakcję w jego armii, niechętnie nastawioną do swych pogromców. Liczył, że potrafi to wykorzystać dla swych celów. Na razie miał pod ręką jednego. Rodeh nie ujawnił się od czasu pierwszego spotkania, lecz do tej pory nie było to konieczne. Być może w drodze powrotnej będzie musiał skorzystać z jego usług.

Kolumna żołnierzy Imperium ruszyła w drogę powrotną. Maszerowali tą samą trasą co poprzednio. Był to forsowny pochód. Ze względu na możliwość pościgu nie zarządzono ani jednego postoju, komandosi posilali się w marszu. Po ośmiu godzinach dotarli na brzeg morza. Do przybycia tarnuków pozostało jeszcze kilka godzin, więc Faggio zarządził odpoczynek. Zmordowani ludzie kładli się na wilgotnych kamieniach plaży, nie troszcząc się o przygotowanie choćby prowizorycznego posłania.

Odpoczynek nie wszystkim był dany. Dowódca polecił Seranowi rozstawienie wart. Szorstkie krzyki dziesiętników postawiły kilkunastu komandosów na nogi. Wstali niechętnie, klnąc i złorzecząc pod nosem, po czym rozeszli się na wyznaczone posterunki. Stavsky znalazł względnie zaciszne miejsca za dużym głazem, chroniącym przód powiewami mokrej bryzy od strony morza. Przsiedli wraz z Romy na rozłożonym pleddie. Kobieta oparła się plecami o kamień i przechyliła głowę do tyłu. Paul spojrział na nią. Te kilka miesięcy, które upłynęły od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, odcisnęło wyraźne piętno na całej jej postaci. Twarz o szarej cerze szpeciła biegnąca pionowo przez środek czoła bruzda, nadająca mu wyraz

wiecznego zatroskania. Ruchy miała trochę ociężałe, może ze względu na widoczną już ciążę, a w sylwetce widniał rys jakby rezygnacji i pogodzenia z losem. Dawniej energiczna, trochę gadatliwa kobieta o uszczypliwym poczuciu humoru dziś głównie milczała, na pytania odpowiadała pojedynczymi słowami lub monosylabami, pozwalając prowadzić się jak dziecko i decydować za siebie.

Musiała poczuć to spojrzenie, ponieważ podniosła głowę i zerknęła na niego.

- Co dalej, Paul? - Po raz pierwszy od czasu uwolnienia odezwała się bez ciągnięcia za język.

- Żyjemy. - Uśmiechnął się do niej, lecz nie odwzajemniła uśmiechu. - Żyjemy i będziemy żyć, jak każe instynkt samozachowawczy. Musimy ocalić coś z naszego człowieczeństwa w tej tu rzeczywistości, na którą zostaliśmy skazani.

- A co to jest nasze człowieczeństwo? - cicho spytała Romy. - Jesteśmy tu obcy. To jest ich czas, oni są ludźmi tego czasu, to jest ich teraźniejszość, ukształtowały ją wieki historii. A my? Kim my jesteśmy? Przybłędami z innego świata, ofiarami kretyńskich praw fizyki. Nasz czas minął, Paul, nasze było "wczoraj", tam zostali nasi przyjaciele, rodziny, cała rozumiała ludzkość. "Dziś" jest nieznane i wrogie, ponieważ to nie nasze "dziś". Pamiętasz Kodeks Kontaktu? Paragraf trzeci, punkt pierwszy: "Zabrania się jakiegokolwiek ingerencji w system norm prawnych i moralnych obcej cywilizacji, choćby był on sprzeczny z ogólnie przyjętym w świecie ludzi".

- Ten paragraf ma jeszcze punkt drugi: "Wymienioną, w punkcie pierwszym ingerencję dopuszcza się w sytuacjach, gdy system ten godzi bezpośrednio w bezpieczeństwo ekspedycji bądź Ziemi", Oni godzą w jedno i drugie!

- Nie jesteśmy ekspedycją, pilocie Stavsky. Jesteśmy byłymi astronautami, rentierami. Odcinamy kupony z osiągnięć naszej pięknej cywilizacji. Miejsce emerytów jest w domu starców, tam dożyją swych dni, nie będą wadzić nikomu i próbować

zawracać czasu.

- Jak to sobie wyobrażasz?

- Usuńmy się, Paul, odejźmy w jakieś niezamieszkane miejsce. Niech radzą sobie sami. Ich los został zdeterminowany przez tysiąc lat rozwoju, nie zmienimy tego we dwoje.

- Za późno. Nasze przybycie już zmąciło status quo, tego nie da się zatrzymać. Mają naszą broń, wiesz, co to znaczy? Jak myślisz, po co tu przyplłynęliśmy? Na kontynencie panuje wielkie mocarstwo, Imperium Zachodnie. To są jego żołnierze. Zgodziłem się na udział w tej wyprawie, by nie dopuścić do nowej katastrofy i choćbym miał zapłacić za to głową, zrealizuję ten cel. Imperium nie dostanie miotaczy.

- Mają tylko dwa... - wtrąciła Romy.

- Trzy pozostałe nie są tak groźne, przynajmniej w takiej skali, w jakiej mogłyby funkcjonować we władaniu armii z kontynentu. Iberyjczycy są na niższym szczeblu rozwoju i tak łatwo nie poradzą sobie z nimi. W dodatku miotacz Browna jest bez baterii. Jest szansa, że nie zdążą opanować ich konstrukcji, wcześniej zabraknie energii. Technolodzy Imperium mogą się z tym uporać, wierz mi. Nie możemy na to pozwolić - podniecał się własnymi słowami. Ukłękł przed kobietą i ujął ją za ramiona. Widok jej zmęczonej, zrezygnowanej twarzy ostudził jego zapał. - Później zrobimy, jak zechcesz. Prawdopodobnie i tak będziemy musieli uciekać.

Rozmowę przerwał jakiś ruch w obozie. Stavsky wychylił się z ukrycia. Od strony rozciągających się na wschodnim krańcu plaży zarośli zbliżała się niewielka grupka żołnierzy. Doszli właśnie do miejsca, gdzie rozlokowali się Faggio z Seranem. Stavsky podniósł się i ruszył w tamtym kierunku.

To były niedobitki oddziału Delta. Trzech obszarpanych, krwawiących z wielu ran żołnierzy zdawało relację z masakry, jaką urządzili im Iberyjczycy. Dobiegły go ostatnie słowa jednego z przybyszów:

- ...i udało się nam uciec. Kluczyliśmy po tych przeklętych

górach, aby zmylić pogoń, dlatego przybyliśmy dopiero teraz.

- Co z Dettem? - półgłosem spytał Serana Stavsky.

- Nie ma już Detta ani jego setki. Tych trzech to reszta oddziału.

- Jak się to odbyło?

- Dett uderzył niespodzianie na niczego nie przeczuwający garnizon portu i byłby zajął go prawie bez walki, gdyby nie wyraźny rozkaz Faggia. Pozwolił im na opamiętanie, potem przybyły posiłki z Contu i zepchnięto go do obrony. Początkowo mieli jeszcze szanse na wycofanie, jednak Dett nie chciał ściągać pościgu na miejsce lądowania, dlatego został. Tym trzem rozkazał wymknąć się z okrążenia. Wpadli w ręce Iberyjczyków. Gdy Dett dowiedział się o tym, poprowadził kontratak, by umożliwić im ucieczkę. Udało się, ale Dett zginął a z nim większość jego żołnierzy. Niedobitków zgarnęli Iberyjczycy. Carta mówił, że słyszeli salwy.

- Rozstrzelali ich - domyślił się Stavsky.

- Idź, prześpij się trochę. Za trzy godziny przybędą tarnuki. Musimy szybko się stąd zabierać.

- Nie obawiasz się pościgu?

- I tak nie możemy nic zrobić. Trzeba czekać. Miejmy nadzieję, że nie znajdą nas do tego czasu.

- Nie macie łączności z tarnukami?

- Jakiej łączności? Nie przeciągniesz światłowodu przez ocean.

Nie znali radia! To odkrycie wyjaśniło wiele dotychczasowych wątpliwości. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie widział wśród wyposażenia desantu niczego, co przypominałoby radiostację. To dlatego wiadomości rozchodziły się tak powoli, dlatego podczas pierwszego pobytu na Iberii tak łatwo wymykali się ścigającym. Ta informacja może przydać się na przyszłość, gdy znów będzie musiał zatroszczyć się o własną skórę.

Od nabrzeża oderwała się niewielka łódź i ciągnąc za sobą białą smugę piany, pomknęła w stronę kołyszących się na re-dzie tarnuków. Z miasta dochodziły głuchoe odgłosy detonacji i kłaśnięcia wystrzałów. Nad kompleksem koszar wznosił się czarny słuł dymu. Romy i Paul stali na pokładzie wśród tłoczających się w milczeniu żołnierzy i z niepokojem spoglądali w stronę zbliżającej się motorówki. W Olinie wrzała walka.

Z tarnuka rzucono linę i brudny, zarośnięty żołnierz z obandażowaną głową wspiął się na pokład statku.

- Przybyliście w samą porę. Reten rozkazał, abyście natychmiast lądowali - wydyszał w stronę Faggia i Wanga, którzy pierwsi znaleźli się przy nim.

- Co się stało? - krzyknął Faggio. - Kto z kim walczy?

- Tysięcznik Gronn wrócił z Okręgu na czele całej armii. Niespodziewanie uderzył na koszary. Pół garnizonu stanęło przy nim. Reszta wraz z Retenem broni się jeszcze, ale jest z nimi bardzo źle. Nikt nie wie, o co chodzi, Retem kazał rozstrzelać adiutanta, potem odwołał rozkaz, ale było już za późno. Gdy dowiedział się, że wróciliście, wstąpił w niego nowy duch, bo już całkiem był załamany. Kazał mi powtórzyć, abyście zabrali to, po co was wysłał i jak najszybciej dołączyli do niego. Nie wiem, coście takiego przywieźli, ale ta garstka nie odwróci kłeski. - Poślaniec sceptycznie rozejrzał się po otaczającym go kręgu żołnierzy.

- Odwróci, odwróci. - Faggio popatrzył na stłoczonych komandosów. Dojrzał Stavsky'ego.

- Chodź ze mną - rzucił w jego stronę i przepychając się przez tłum skierował do sterówki. Paul idąc za nim zobaczył, że to samo czynią Seran i Wang.

- Co wy na to? - spytał dowódca, gdy drzwi zamknęły się za ostatnim z nich.

- Ktoś: nas zdradził - mruknął Wang.

- To jasne, lecz możemy jeszcze wygrać tę grę. - Faggio zwrócił się do Stavsky'ego – Twoja kolej. Musisz nas uczyć, jak obsługuje się waszą broń.

- O tym nie było mowy w naszej umowie. - Paul wzruszył mionami. - Miałem tylko pomóc wam ją odszukać, i tyle.

- Nie będziemy o tym dyskutować, szkoda czasu. Wang, weź jakiegoś bystrego żołnierza i idźcie do ładowni. Wiesz, gdzie są miotacze. Stavsky nauczy was posługiwania się nimi. Gdyby nie chciał - wiesz, jak go do tego zmusić. Weź to - - podał dziesiętnikowi mały pistolet. - Załadowany psychotyną. Seran i ja zajmujemy się ładowaniem.

- Idziemy - powiedział stanowczym głosem Wang, kierując otrzymaną broń w stronę Paula.

Nie opierał się. Zrozumiał, że jest to być może ostatnia szansa na unieszkodliwienie miotaczy. Nie miał nigdy zamiaru przykładać ręki do planowanego przez Retena przewrotu, nie był również skłonny wyciągać go teraz z opresji. Przeszli przez pokład, skąd Wang przywołał jednego z komandosów swojej dziesiątki i we trójkę skierowali się w stronę luku ładowni. Stavsky przechwycił jeszcze zdziwione spojrzenie Romy, po czym zanurzyli się w ciemne wnętrze statku.

Kadłubem tarnuka wstrząsnął dreszcz. Ryknął motor i okręt nabierając rozpędu ruszył w stronę przystani. Nie widzieli już tego, ruch statku odczuli jako kołysanie pod stopami. Wang zaprowadził ich do ciasnego pomieszczenia, gdzie w półmroku Stavsky dojrzał leżące na regale miotacze. Wang ujął jeden z nich za lufę i podał mu.

- Pośpiesz się – powiedział. - Niedługo lądujemy.

Paul przyjrzał się broni, Wskaźnik naładowania pokazywał, że bateria jest jeszcze w jednej trzeciej wypełniona energią. To znaczyło dwie godziny nieprzerwanej emisji strumienia anty-

materii o maksymalnej szerokości kątowej. To znaczyło połowę kontynentu zamienioną w kwanty światła.

Zdecydował się. Położył miotacz na półce, wyrwał palec łącznika z gniazda w korpusie broni i dotknął nim stalowej konstrukcji regału. Silny błysk rozjaśnił na moment ładownię, a dłoń trzymającą wtyk ogarnęła nagle drętwa.

- Co to było? - Wang skoczył w stronę regału. - Co zrobiłeś?

Odepchnął dziesiętnika i sięgnął po drugi miotacz. Nie zdążył. Na kark spadł mu ciężar walącego się z impetem ciała. Drugi żołnierz przyszedł w sukurs swemu dowódcy. Razem upadli na ziemię. Komandos siadł na nim okrakiem i trzymając za gardło usiłował wydobyć nóż z pochwy na łydce. Stavsky wił się jak piskorz i rozpaczliwie starał się to uniemożliwić, gdy jego dłoń trafiła nagle na mały, podłużny przedmiot. Światłowa musiała wypaść z kieszeni w czasie upadku. Szarpnął się, zrzucając na chwilę napastnika i przeraźliwie gwizdnął. Komandos był już przy nim z nożem w ręce.

- Stój! - usłyszał głos Wanga. - Najpierw miotacze!

Zobaczył dziesiętnika, zbliżającego się z pistoletem skierowanym w jego kierunku.

Jakiś cień przesłonił jasny prostokąt drzwi. Głucho warknęło powietrze i Stavsky ujrzał, jak Wang osuwa się bezwładnie na podłogę. Ciężki bagnet wbił się w jego pierś aż po rękojeść.

Rodeh runął na plecy trzymającego Paula żołnierza. Rozgorzała krótka, straszna walka, przerywana charkotem konającego. Rodeh wstał z klęczek, wycierając odebrany komandosowi zakrwawiony sztylet w poję jego kurtki.

W tym momencie tarnuk zatrząsł się od uderzenia. Statki desantu dobiły do nabrzeża.

- Szybko za mną! - krzyknął Saudyjczyk.

- Mam tu jeszcze coś do zrobienia - Stavsky podszedł do regału. Rozładowanie drugiego miotacza zajęło kilka sekund. Zgarnął oba i wybiegł za żołnierzem na pokład. Silny zamach - i miotacze z pluskiem pogrzyły się w mętnej wodzie.

- Gdzie jest Romy!?! - wrzasnął, starając się przekrzywić huk wystrzałów. W tej chwili zobaczył ją, stojącą na uboczu, poza tłumem stłoczonych przy burtach i wyskakujących na brzeg komandosów.

- Wiejemy! – krzyknął. Pociągnął ją za Saudyczykiem, który zdecydowanymi ruchami przepchnął się między żołnierzami do burty.

Ludzka fala wyniosła ich na brzeg. Komandosi rozsypali się w porcie, zajęli stanowiska wśród rozrzuconych skrzyń i beczek. Rodeh, klucząc między stertami lin, poprowadził ich w stronę koszarowych zabudowań. Kilkakrotnie gwizdzące pociski przygniatały ich do ziemi i zmuszały do czołgania. W końcu dotarli do pierwszych baraków. Poszli wzdłuż muru okalającego kwaterę sztabu Retena. Po kilku minutach znaleźli małe, zamknięte ciężką kratą wejście. Rodeh pchnął ją. Znaleźli się w ciemnym korytarzu, prowadzącym w głąb budynku.

W miejscu, gdzie korytarz kończył się czymś w rodzaju hallu, zobaczyli kobiecą postać. Kalia z niecierpliwością wskazała na uchylone drzwi. Weszli do pomieszczenia znacznie odbiegającego wyglądem od żołnierskich izb, które Stavsky widział do tej pory. W całym wystroju wnętrza znać było kobiecą rękę. Małe okienko, zamknięte wykutą w kolistej desenie kratką, zdobiły doniczki z żółto kwitnącymi roślinami. Pokój przypominał charakterem kwaterę Płodnych w forcie Cont.

W kącie, częściowo zasłonięte szerokim łóżkiem, stały dwa wypchane plecaki. O jeden z nich opierał się lekki, smukły karabinek z metalową, składaną kolbą. Obok leżał pas z ładownicami. Kalia wskazała na te przedmioty.

- Wszystko przygotowane do ucieczki. Rodeh wyprowadzi was z miasta i wskaże drogę na Pustkowie. Tam będziecie bezpieczni. Weź ten list - podała pismo Stavsky'emu. - Oddasz go Pensowi, do którego odstawi was Rodeh. To były namiestnik Oliny, w jego sercu jest wystarczająco dużo zapiekłego żalu do Retena, by pomógł wam bez oporów. Później musicie radzić

sobie sami. Teraz pospieszcie się, Reten długo nie utrzyma koszar.

- To ty zdradziłaś Gronnowi plan Retena - domyślił się Paul.
- Udaremniłaś przewrót...

- Przeceniasz moje znaczenie, Stavsky. Tu działają potężniejsze siły niż intrygi słabej kobiety. Jestem pionkiem - pożytecznym, bo poinformowanym - lecz od działania są mocniejsi ode mnie. Zdobyliście dla Retena tę broń? - zmieniła temat.

- Zdobyliśmy, ale nie będzie mógł z niej skorzystać - uśmiechnął się milczący dotąd Rodeh. - Leży na dnie basenu portowego.

- Tym lepiej - kobieta wyszła na korytarz, nakazując gestem, aby szli za nią. Romy i Stavsky zarzucili plecaki na ramiona i wraz z Rodehem ruszyli za prowadzącą ich Płodną.

Na zewnątrz strzelanina przybierała na sile. Jakiś pocisk wielkiego kalibru musiał uderzyć w kwaterę dowództwa na wysokości pierwszego piętra, bo budynek zatrzęsł się od wybuchu, a na głowy idących posypał się drobny gruz. Parokrotnie minęli ich biegnący korytarzem żołnierze, Stavsky ścisnął wtedy mocniej karabin w ręce, lecz żaden z nich nie zwrócił uwagi na dziwną grupę.

Po kilku minutach wędrówki przez zakamarki gmachu Kalia stanęła przed ciemną niszą bez drzwi, z której prowadziły w dół strome schody.

- To jest zejście do podziemi. Tędy wyjdziecie poza granice miasta - powiedziała. - Macie przed sobą długą i trudną drogę. Idźcie i nigdy nie wracajcie.

Stavsky popatrzył za nią, jak szła korytarzem, aż zniknęła za zakrętem. Po raz pierwszy, wbrew sobie nawet, szczerze życzył jej powodzenia.

To było prawdziwe Pustkowie. W ciągu trzech dni podróży nie spotkali żywego stworzenia - człowieka ani zwierzęcia. O tym, że znajdują się na żyjącej planecie świadczyły rozsiane z

rzadka kępki suchej, mizernej roślinności, poza tym jedynie skały i wszechobecny piach. I wyciskająca ostatnie krople potu, wilgotna, ciężka duchota. Często teraz widzieli słońce - wielką, rozmazaną kulę o rozlanych konturach, której promienie z trudem przeciskały się przez zawieszistą atmosferę, napełniając ją żarem, który tamował oddech w piersiach.

Posuwali się coraz wolniej. Trzy ludzkie sylwetki w wojskowych, łąciatych kombinezonach z trudem brodziły przez sypki piach. Dwie z nich dźwigały wielkie plecaki - te szły o kilka kroków za prowadzącym je przewodnikiem. Już na pierwszym postoju Romy zrzuciła długą szatę Płodnej i przebrała się w znaleziony wśród przygotowanych przez Kalię rze czy mundur. Teraz, oprócz plecaka, niosła jeszcze karabin. Stavsky doszedł do wniosku, że broń będzie bardziej użyteczna w jej sprawnych rękach, sam zadowolił się niezawodną dotąd mikrokuszą. W miarę jak droga wyczerpywała ich siły, kilkakrotnie i on, i Rodeh proponowali kobiecie pomoc w dźwigan iu choćby plecaka, ta wszakże zacięła się w uporze i taszczyła sprzęt bez oglądania się na swój stan. Wyglądało jednak, że Pustkowie ją złamie. W ciągu ostatniej godziny potknęła się kilka razy i Stavsky musiał ją podtrzymywać, plecaka mimo to nie oddała.

Godzinę temu wypili ostatnie krople wody. Choć Rodeh zapewniał, że jeszcze przed wieczorem dotrą do chaty Lensa, nic na razie nie zwiastowało obecności jakichkolwiek mieszkańców pustynnej okolicy.

Teren obniżył się. Wśród kamieni i piasku zaczęły pojawiać się plamy brunatnoczerwonej ziemi, porośniętej bujniejszą nieco trawą. Od czasu do czasu napotykali samotne, rachityczne akacje. Był to widomy znak, że pustynia niebawem się skończy. Doszli do pojedynczej grupy skał, wyrastających wprost z równiny. Tu Rodeh zatrzymał się. Równocześnie Stavsky poczuł na twarzy chłodniejszy podmuch wiatru.

- Jesteśmy prawie na miejscu - Saudyjczyk wskazał przed

siebie. - Za tymi skałami znajduje się siedziba i teren łowiecki Lensa. Aby uniknąć nieporozumień, pójdę pierwszy. Tu nikt nie zagląda i namiestnik mógłby przestraszyć się nieznanym mu ludzi. Ruszycie, gdy wejdę między skały.

Popatrzyli za nim, jak wolno kroczy po chrzęszczącym gruncie i znika w wąskiej szczelinie między wypiętrzonymi kamiennymi olbrzymami. Dopiero wówczas ruszyli w jego ślady.

Widok, jaki roztoczył się przed ich zdumionymi oczyma, mógł przyprawić o zawrót głowy po tygodniowej wędrówce przez pustynne bezdroża. Zobaczyli wielką, zieloną kotlinę przeciętą pasmem rzeki, ginącej wśród otaczających oazę skał. Po obu jej brzegach ciągnęły się ruiny sporego miasteczka, w znacznej części wchłoniętego przez prąca ku wodzie roślinność. Flora w kotlinie była dość urozmaicona jak na ziemskie warunki. Wśród rozpanoszonego buszu, który tu bardziej niż gdziekolwiek dotąd zasługiwał na tę nazwę, trafiały się nawet smukłe pnie drzew, przypominających z daleka sosny. Właściwie do pełni szczęścia brakowało jednego - śpiewu ptaków. Głucha cisza, panująca w powietrzu, odrealniała ten swojski krajobraz, nadając mu pozory dekoracji czy makiety. Nawet pojawiające się z rzadka owady latały bez charakterystycznego brzęku skrzydeł, przesuwając się jak czarne punkty na tle zielonego gąszczu.

Na lewo, w odległości około stu kroków od nich, zobaczyli niski, kryty strzechą budynek, którego ściany wykonane były z nieociosanych kamiennych odłamków. Szczeliny między nimi niedbale zalepiono czerwoną gliną, zazielenioną gdzieś tam przez porastający ją mech. Z otworu w dachu wznosiła się pionowo wąska smużka dymu.

Przed chatą stało trzech mężczyzn. Jednym z nich był Rodeh; pozostałą dwójkę tworzył starszy człowiek o siwych włosach, odziany w futrzaną kurtkę bez rękawów, wywróconą włosami na wierzch i młodszy nieco, szpakowaty, którego ubiór

stanowił połatany wojskowy kombinezon. Obaj trzymali w rękach karabiny o długich lufach, skierowanych teraz ku ziemi.

Para uciekinierów zbliżyła się do nich, przywołana gestem Saudyjczyka. Stavsky podniósł dłoń w powitalnym geście, mężczyźni jednak nie poruszyli się. Po chwili starszy odwrócił się i schylając głowę wszedł przez niskie drzwi do wnętrza domu. Jego towarzysz i Rodeh uczynili to samo.

- Wygląda to na zaproszenie - mruknął Stavsky, spojrzawszy spod oka na Romy.

- Wobec tego chodźmy – odpowiedziała i ruszyła w stronę wejścia.

Wewnątrz chaty było ciemno i pachniało dymem, który wypełzał z paleniska ulokowanego na środku izby, pod stropem zbierał się w smugę i ulatywał przez otwór w poszyciu dachu. Na ścianach wisiały szare i kasztanowe skóry jakichś zwierząt. Ich kształt i kolor nie przypominały Stavsky'emu żadnego ze znanych z przeszłości przedstawicieli fauny. Nie miał czasu dłużej zastanawiać się nad tym, bo poproszono ich, by usiedli. Uczynił to Rodeh, wskazując kamienną ławę przy palenisku, gospodarze nie raczyli zaszczycić gości nawet spojrzaniem.

Stavsky z ulgą zrzucił plecak, pomógł Romy zrobić to samo, po czym usiedli na wskazanym miejscu. W dalszym ciągu nie padło ani jedno słowo, ciszę mąciło tylko bulgotanie gotującej się w osmolonym kociołku zawieszistej zupy. Milczenie przetrwał w końcu siwowłosa mężczyzna.

- Wielka jest potęga Imperium i surowe jego prawa - powiedział w przestrzeń. - Nie ma w nim miejsca dla starych i słabych ani dla odszczepieńców, chodzących własnymi ścieżkami. Wszystko ma wyznaczoną rolę, każdy zna przedział, w którym przyszło mu żyć. Ale to tylko fasada, wypróchniały od środka potężny pień. Jeszcze rośnie, strzela zielonymi liśćmi, zagarnia coraz więcej nieba między gałęzie, ale już gnije, jego korzenie z trudem trzymają się ziemi, aż runie i nie podniesie się nigdy. Coraz mniej ludzi ciągnie kierat wielkiego mocar-

stwa, klonowanie stało się podstawą utrzymania liczebności społeczeństwa, choć wciąż ubywa osobników nadających się do powielenia i coraz dłuższe serie klonów zasiedlają krainy kontynentu. Zaniechano nawet zasady rozdzielania w przestrzemi owoców jednego pnia, klonowani bracia siadają do wspólnego stołu i śpiją w jednej kwaterze, nie ma już dla nich miejsc w oddalonych od siebie garnizonach, bo tam również spotkają własne kopie. I to jest nieszczęście tej cywilizacji, albowiem płodna kobieta i zdolny posiać Życie mężczyzna mogą powstać tylko z łona innej płodnej, której klonować nie można. Imperium słabnie, jego siły utrzymują się wyłącznie dzięki nowym podbojom, bo zdobywa się Płodne i mężczyźni do armii, lecz nadchodzi dzień, gdy na Pustkowie będzie nas więcej niż w grodach i fortach - i to będzie koniec. Bo Pustkowie to nędza i starość, to czekanie na nieuchronną śmierć. Zanim przyjdzie, trzeba jeszcze zrobić coś dla Imperium. Imperium potrzebuje mięsa - łowcy z Pustkowie dostarczą je. Nie mogą odejść w niebyt nie spłaciwszy długu, długu za zaszczyty, przywileje i stanowiska, które już zostawili młodszym. Pustkowie uczą pokory. Tu widać jak na dłoni, że śmierć nadciąga - ta indywidualna: moja, Rodeha, wasza - i śmierć straszniejsza jeszcze : powolne konanie ludzkości.

Stavsky słuchał przemowy zaskoczony, nie spodziewał się usłyszeć takich słów w ciemnej, zadymionej chałupie. Wiedział co prawda, kim był niegdyś jej gospodarz, lecz otoczenie sprawiało wrażenie takiego prymitywizmu, że niemal o tym zapomniał. Tyrada, którą Lens wygłosił na powitanie, świadczyła, że miał teraz wiele czasu na myślenie. Jego psychika musiała się zmienić pod wpływem odosobnienia, bowiem w niczym nie przypominała sposobu rozumowania jego następców w Olinie. Trochę przypominało to prorocstwa D'ooro, ale tamto były zupełnie inne istoty...

- Mam dla ciebie list od Kalii - odezwał się po dłuższej chwili.

Lens drgnął, jakby zbudził się ze snu, i spojrzął na niego.

- Kalia... – powiedział w zamyśleniu. - Czy ta harda Saudyjka dalej spiskuje przeciw Imperium?

- Z coraz lepszym skutkiem - uśmiechnął się Stavsky. – Rodeh powie ci więcej. Myślę, że również z listu dowiesz się ciekawych rzeczy.

Mężczyzna wziął pismo, rozerwał kopertę i pograżył się w czytaniu. Tymczasem jego towarzysz zdjął garnek z paleniska. Wyszedł na chwilę i wrócił z pięcioma miskami, które zaraz napełnił zupą, podając je najpierw przybyszom. Następnie postawił naczynie przed zaczytanym Pensem, a ze swego zaczął popijać gorący wywar. Wybierał z niego palcami kawałki mięsa, które żuł starannie, delektując się ich smakiem. Stavsky nieufnie zajrzał do miski. Zupa była gęsta i tłusta, z dużą ilością mięsnych wkładek. Przełamał w sobie odruch odrazy i przełknął kilka łyków, odsuwając mięso na bok. Ciągłe miał w pamięci polowanie na wyspie, słyszał również o losie jeńców. Do tej pory nigdy nie jadł niczego, co mogło być sporządzone z łupów wojennych lub tych szczególnego rodzaju myśliwskich trofeów.

- Nie smakuje ci? - odezwał się milczący dotąd młodszy mężczyzna na widok Paula grzebiącego w talerzu.

- Z jakiego zwierzęcia zrobiłeś to danie? Z muta?

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Nie, skąd wzięlibyśmy muta na Pustkowiu? To szczur - wyjaśnił.

- Szczur? - Stavsky zerknął na miskę i stwierdził, że wcale nie jest taki głodny, jak początkowo sądził. - I wy to jecie?

Szpakowaty spojrzął na niego ze zdziwieniem.

- A cóż mielibyśmy jeść? Jesteśmy przecież łowcami!

Lens podniósł wzrok znad kartki i powiedział:

- Oni mają prawo nie wiedzieć, Hoddar. Wyjaśnij mu, co tu robimy. Później dam ci do przeczytania list Kalii, wtedy zrozumiesz.

- Jesteśmy łowcami szczurów - powiedział Hoddar, spoglądając na przybyszów dziwnym wzrokiem - jak wszyscy na Pustkowiu.

- Mieszkają tu inni ludzie?

- Mieszkają. Tacy, którzy z racji wieku lub kalectwa nie są zdolni do służby. Polują na szczury i handlują mięsem oraz skórą z grodami Imperium.

Istotnie, Stavsky uświadomił sobie, że nigdzie w Olinie nie widział starców ani ludzi okaleczonych, co było dość dziwne w państwie prowadzącym ustawiczne wojny.

Jeszcze coś zwróciło jego uwagę. Popatrzył na pokryte skórą ściany. Miały prawie półtora metra długości.

- Czy są tu jeszcze inne zwierzęta? - spytał.

Hoddar pokręcił przecząco głową

- Tylko gady, lecz ich mięso jest niejadalne. - W takim razie czyje skóry tu wiszą?

- Jak to, czyje? - zdziwił się mężczyzna. - Szczurze.

Wyszli o świcie. Wczoraj pożegnali Rodeha, który postanowił wracać do Oliny, mimo iż nie mógł wiedzieć, co go tam czeka. Wieczorem Lens dał do zrozumienia, że muszą poszukać sobie własnego miejsca osiedlenia. Stavsky nie chciał wnikać w motywy jego decyzji, tym bardziej, że nie miał zamiaru zostać na zawsze w chacie łowców. Odprowadzał ich Hoddar. To on doradził Stavsky'emu, aby przeprawili się przez rzekę i znaleźli sobie jakiś kąs na drugiej stronie. Terytorium łowieckie Lensa sięgało lewego brzegu, dalej kotlina była niezamieszka. Tak przynajmniej twierdził Hoddar, który wielokrotnie w pogoni za zwierzyną przeprawiał się przez wodę.

Zarośla skończyły się i wyszli na podmokłą łąkę, ciągnącą się do samego brzegu. Rzeka w tym miejscu była płytka, przeprawa nie mogła więc sprawić żadnych trudności. Na prawo, w odległości jakichś trzystu metrów, białaty wśród zieleni pierwsze zabudowania miasteczka.

- Dalej musicie radzić sobie sami - powiedział łowca. - Nie umrzecie z głodu, w ruinach po tamtej stronie żyje mnóstwo szczurów. Tylko uważajcie, one bywają niebezpieczne.

Stavsky miał ochotę powiedzieć coś na pożegnanie, lecz Hoddar już zniknął w gęstwinie i tylko szelest rozchylanych gałęzi zdradzał trasę jego wędrówki.

- Nareszcie sami - odezwał się, gdy odgłos kroków łowcy ucichł, stłumiony odległością- To jest najlepsze, co mogło nas spotkać w tym zwariowanym świecie.

Romy nie zareagowała W ogóle od czasu przybycia do kotliny powiedziała tylko parę słów, jakby to, co się z nimi stanie, przestało ją obchodzić. Zrezygnował więc z próby nawiązania rozmowy i tylko skinął dłonią, by szła za nim.

Jedno za drugim weszli w rzekę. Woda sięgała do kolan i była wyjątkowo czysta, dopiero ich kroki zmąciły ją nieco, gdy spod stóp wzbił się z dna żółtawy muł. Paul nabrał w garść zimnego płynu i powąchał. Pachniała lekko zgnilizną i bagnem, nie wyczuł żadnego zapachu chemicznych domieszek. Zdobył się na odwagę i wypił mały haust. Smakowała również zwyczajnie.

- Jeśli nie płynie przez jakieś promieniotwórcze okolice, nie powinna nam zaszkodzić mruknał - Przynajmniej nie zginiemy z pragnienia .

Pierwszą noc spędzili w buszu, piekąc na ogniu kawał szczurzego mięsa, które otrzymali na drodze od Lensa. Stavsky pozbył się już uprzedzeń do tego źródła pokarmu, Romy było wszystko jedno. Na drugi dzień rozpoczęli poszukiwania odpowiedniego miejsca na budowę domu. Znaleźli w końcu niewielką polankę u stóp samotnej skały, która wydała im się miejscem wystarczająco zacisznym, by pomyśleć o założeniu siedziby.

Dni upływały im teraz na wytężonej pracy. Romy odzyskała trochę dawnej energii, pracowali więc ramię w ramię, ścinając drzewa i grubsze konary, znosząc kamienie i wyrównując teren

pod budowę domu. Na szczęście Kalia wyposażyła ich w siekiery i łopatki nie musieli więc zaczynać nowego życia od poziomu epoki kamiennej. Mimo to robota szła mozolnie. W szkole służb specjalnych nie było lekcji ciesielstwa ani murarki.

W tym czasie żyli jak wegetarianie. Mieli wprawdzie trochę zapasów suszonego mięsa i sucharów, podarowanych jeszcze przez Kalię, jednak podstawą ich żywienia stały się rośliny, które wyszukiwała Romy; pichcili na ich bazie różne zupki i wywary. Parę razy pochorowali się od takich eksperymentów, lecz ustalili w końcu listę roślin, od biedy mogących zastąpić warzywa. Nie próbowali jeszcze polować. Stavsky odkładał to do chwili ukończenia budowy, chciał jak najprędzej doprowadzić rzecz do końca, nie tracąc czasu na wyprawy do miasta.

W końcu dom był gotowy. Z zadowoleniem oglądali własne dzieło, choć po prawdzie nic było za bardzo czym się chwalić. Stavsky, projektując w myślach budynek, wzorował się na siedzibie Lensa, dlatego chata była jakby pomniejszoną kopią tego, co widzieli po drugiej stronie rzeki. Składała się z dwóch izb. Jedną, mniejszą, przeznaczyli na pomieszczenie gospodarcze. Tam przygotowywali posiłki, tam znajdował się również skład żywności i wyposażenia. Druga służyła za sypialnię i pokój mieszkalny.

Jeszcze tego samego dnia Stavsky zdecydował wybrać się do miasta. Miał zamiar spróbować polowania, poza tym liczył, że może znajdzie w ruinach jakieś sprzęty, które przydadzą się do ich skromnego mieszkania. Postanowił zabrać ze sobą karabin. W czasie budowy domu z konieczności musiał pomagać sobie unieruchomioną ręką, co miało ten zbawienny skutek, że rozgimnastykował staw barkowy i dwa palce: wskazujący oraz kciuk. Wprawdzie ręka nadal nie chciała zginać się w łokciu ani w zgruchotanym przegubie, nie miał również czucia w pozostałych palcach, ale zakres ruchu, jaki odzyskał, pozwalał na wykonywanie prostych czynności, umożliwiał również posłu-

giwanie się strzelbą.

Kuszę zostawił Romy. Trzeba było oszczędzać lotki, zostało ich około sześćdziesięciu i nie było nadziei na uzupełnienie zapasu. Amunicji do karabinu mieli dużo, poza tym zawsze można było przeprowić się przez rzekę i prosić Lensa o nowy zapas. Były namiestnik utrzymywał przecież handlowe kontakty ze światem i chyba nie odmówiłby pomocy.

Od miasta dzieliło ich do około dziesięciu kilometrów. Za dwie godziny powinien znaleźć się w ruinach, jeśli po drodze nie wynikną jakieś dodatkowe kłopoty. Zabrał ze sobą żywność na dwa dni, gdyż liczył się z tym, że nie zdąży wrócić przed zmrokiem i będzie musiał pozostać w mieście do jutra.

Dzień był mglisty i parny. Ciężkie powietrze mocno dawało się we znaki, już po pierwszych kilometrach kąpał się we własnym pocie. Postanowił zatrzymać się na odpoczynek nad rzeką. Usłużna wyobraźnia podsunęła miraż kąpieli, co sprawiło, że przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej dotrzeć do wody. Wprawdzie nadkładał trochę drogi, bowiem rzeka płynęła szerokim łukiem i początkowo, by wcześniej dotrzeć do celu, miał zamiar iść po jego cięciwie, teraz jednak, zmęczony upałem, zrezygnował z tego. Po kilku minutach pospiesznego marszu był na miejscu. Szum pieniącej się wśród nadbrzeżnych kamieni wody podziałął na niego jak ostroga. W biegu zrzucił ubranie, zmagając się z opornymi zamkami i klnąc przy tym soczyście, by po chwili z rozkoszą zanurzyć się w falach. Woda była płytka. Położył się na dnie, wystawiwszy na powierzchnię tylko twarz. Czuł, jak całe zmęczenie spływa z niego, jakby zmywał je wartki prąd rzeki. Z żalem uświadomił sobie, że nie może poświęcić więcej czasu na rozkoszne lenistwo. Minuty płynęły nieubłagane i trzeba było zbierać się do dalszej drogi. Niechętnie ubrał się i założył plecak na ramiona.

Zdecydował, że pójdzie brzegiem rzeki. Cofanie się na poprzedni szlak nie miało sensu, droga była prawie ta sama, a lekki powiew od wody czynił ją znośniejszą.

Coś małego wyprysnęło spod stóp i jak błyskawica dało su-
sa między kamienie. Cofnął się gwałtownie i zawadzając bu-
tem o jakiś występ, runął na plecy. Zmełł w zębach nie wypo-
wie dziane przekleństwo. Wśród głązów siedziała malutka,
szara jaszczurka, wystraszona jeszcze bardziej niż człowiek,
którego tak przerażała. Uśmiechnął się do niej. Popatrzyła na
niego wylupiastymi oczami, jakby dziwiąc się wizycie. Powoli
wyciągnął rękę. Zwierzątko zamarło w bezruchu, po czym
smyknęło w trawę.

Spotkanie jaszczurki wprowadziło Stavsky'ego w dobry humor.
Pozbierał się szybko i rażno ruszył w dalszą drogę. Po półtorej
godziny forsownego marszu dotarł do pierwszych zabudowań.
Dwie rzeczy rzuciły mu się w oczy: po pierwsze - domy nie
były zniszczone wojną, jedynie czas doprowadził je do ruiny.
Druga obserwacja była bardziej znacząca. Mimo że miasteczko
było niewielkie, zbudowano je jak centrum metropolii. Brak
było małych domków, typowych dla tej wielkości osiedli, od
razu wchodziło się między wysokie budynki, wyrastające
wprost z buszu. Stavsky znał takie miasta. Spędził w nich całe
dorosłe życie przed startem wyprawy.

Wszedł ostrożnie między domy. Ulica była pusta. Przez
dziury w zniszczonej betonowej nawierzchni wyzierały zielone
kępy chwastów. Minał pierwsze skrzyżowanie. Za zakrętem
dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Odwrócił się w tym kierunku i
zamarł. Dwadzieścia kroków od niego siedziało zwierzę. Wy-
glądało nawet sympatycznie w charakterystycznej dla wszyst-
kich gryzoni pozie. W przednich łapach trzymało gałąź, którą
widocznie ogryzało, zanim pojawił się człowiek. Tylko jedno
nie pasowało do znanych z przeszłości obrazków: siedzące
zwierzę miało wysokość dziesięcioletniego dziecka i metrowej
długości łasy ogon.

Wolniutko zdjął z szyi karabin. Odciągnął zamek i począł
unosić broń do ramienia. Szczur opadł na przednie kończyny i
wyrzucił z gardła dźwięk podobny do tego, jaki wydaje metal

trący o szkło. Chwilę stali tak obaj, po czym zwierzę błyskawicznie ruszyło do przodu. Równocześnie huknął strzał. Szczur przekoziółkował przez głowę, jak gdyby potknął się o niewidzialną przeszkodę i upadł na bok, przebijając łapami w agonii.

Stavsky podszedł bliżej. Ogarnęło go mieszane uczucie zdziwienia, szacunku i odrazy. Wyobraził sobie, co by było, gdyby nie trafił za pierwszym strzałem. Widok potężnych, szerokich na trzy palce siekaczy pomiędzy czarnymi wargami potwora przyprawił go o zimny dreszcz.

Właściwie mógł już wracać. I tak będzie miał kłopoty z transportem ciężkiej tuszy. Tylko ciekawość zatrzymywała go jeszcze w nieście. Postanowił przejść się ulicami oraz zajrzeć do paru domów. Może uda się trafić na coś interesującego lub chociażby przydatnego w ich gospodarstwie. Popatrzył w perspektywę ulicy, na którą zwabił go widok szczura. Był to raczej rodzaj podjazdu do kompleksu niskich gmachów, zamykających jego wylot półkolistą, rotundą. Wiedział z doświadczenia, że nie były to budynki mieszkalne. Musiała się tu mieścić siedziba jednej z tych instytucji, o których istnieniu docierały do powszechnej wiadomości tylko bardzo skąpe informacje. A więc, dzięki zwierzęciu, znalazł się w samym sercu osiedla.

Wejście do głównego budynku zamykały oszklone dawniej drzwi. Teraz pustą plastikową framugę wypełniały pajęczyny, kołysał je lekki podmuch przeciągu. Przez dłuższą chwilę usiłował otworzyć zamek, jednak od wieków nie uruchamiany nawet nie drgnął pod naciskiem ręki. W końcu zrezygnował i przelazł do środka przez dziurę po wybitej szybie. Posadzkę hallu pokrywała kilkucentymetrowa warstwa drobnego pyłu, kroki człowieka wzbijały małe obłoczki, wyciskając w miąższości powłóce pierwsze od stuleci ślady.

Wiedział że nie ma czego szukać na powierzchni. Jeśli cokolwiek ocalało, musiało znajdować się w podziemiach. Tego typu obiekty budowane były raczej w głąb niż ponad ziemię.

Wejście do dolnych kondygnacji znalazł dość łatwo. Winda nie działała, ruszył więc w dół schodami.

Reaktor zasilający sieć energetyczną funkcjonował do tej pory, strop i ściany jarzyły się bladym światłem, co rozjaśniało nieco ciemności. Korytarz pierwszego piętra zasłany był białymi prostokątami papieru. Próbował podnieść jeden z nich, lecz kartka rozsypała się pod dotknięciem palców. Większość drzwi wychodzących na korytarz była zamknięta, w pozostałych znalazł tylko taki sam bałagan jak wszędzie.

Dwie następne kondygnacje również nie przyniosły nic nowego, oprócz zmęczenia. Poczul także głód, postanowił więc, że przejdzie jeszcze jedną i odpocznie. Czwarte podziemne piętro wyglądało jednak tak, że zapomniał o znużeniu. Przed wszystkim było bardzo widno. Na twarzy poczul lekki powiew, działała więc klimatyzacja. No i ten porządek – wyglądało, jakby ludzie dopiero co opuścili znajdujące się tu biura. Tym razem udało się otworzyć wszystkie zamki. Pokoje nie zawierały nic szczególnego, tutaj również papier nie wytrzymał próby czasu.

Dopiero piąte z kolei pomieszczenie odbiegało wyglądem od dotychczas odwiedzonych. Była to duża sala z amfiteatralnie ustawionymi fotelami, które półkolem otaczały niewysokie podium. Całą ścianę nad nim wypełniał olbrzymi ekran. Z boku znajdował się pulpit z czerniejącymi rzędami przycisków. Podszedł bliżej. W lewym górnym rogu pulpitu jarzył się czerwony punkcik.

Poczul dreszcz emocji. To małe światełko świadczyło o tym, że komputer działa i jest gotowy do pracy. Odszukał przycisk z napisem "POWER" i po chwili wahania wcisnął go. Światełko zmieniło się na zielone, ekran zajaśniał siną poświatą, przez jego powierzchnię przebiegło kilka falistych linii. W dolnej części pojawił się pulsujący, biały punkt - sygnał gotowości. Co dalej? W głowie miał pustkę. O co miał pytać tę maszynę, której działanie miało sens w innej epoce, a dziś stało

się tylko bezużyteczną zabawą. Nacisnął na klawiaturze ENTER. Na ekran wypłynęły wolno litery i symbole cyfrowe, informujące o zawartości pamięci komputera. Śledził tę żółtą wstążkę, nic rozumiejąc z tego wiele. Komputer posługiwał się kryptonimami, których znaczenie znali tylko korzystający niegdyś z niego ludzie. W końcu przestał rejestrować sens wyrazów sunących przed oczami i począł zastanawiać się, co robić dalej. Trzeba jakoś wykorzystać to urządzenie, a także fakt działania siłowni. Pomyślał nawet, że mogliby przenieść się tutaj. Mieliby przynajmniej jakiś kontakt z dobrami cywilizacji, do której należeli.

Nagle podświadomość odebrała znajomy sygnał. Otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał przytomniej na ekran. Tu jednak płynęły już nowe, nieznane symbole. Stop! Powtórzyć od... właśnie - odkąd? Na chybił-trafił wystukał numer porządkowy. Litery zmieniły się w żółte pasmo, przez sekundę mknące do tyłu, i znów popłynęły powoli. W napięciu czytał pojawiające się wyrazy.

Jest! Pozycja 48. Zatrzymał czytnik. Na ekranie widniał tylko jeden wyraz: TRIADA. Kryptonim operacji, która sprawiła, że dziś był tym, czym był. W pamięci miał podniosłe słowa, jakimi żegnał ich komendant operacji, generał McKinney. Było tam o forpocztach cywilizacji i pionierach kosmosu, o zaszczytnym obowiązku oraz dobru ludzkości... Pamiętał jego nalaną twarz na ekranie, gdy siedzieli już w fotelach sterowni, opatuleni grubymi, próżniowymi skafandrami. Pamiętał, że nudził się straszliwie, czekając z utęsknieniem, aż biegnące w rogu cyferki przemienią się w zera i kabiną statku wstrząśnie dreszcz uruchamianych silników. A potem od trzech orbitalnych red oderwały się trzy identyczne gwiazdki i nabierając szybkości poczęły oddalać się w głębiny przestrzeni. Co było dalej? Znał odpowiedź dotyczącą "Magellana". Co stało się z pozostałymi?

Wystukał szybko odczytany z ekranu numer katalogowy:

NK 330613A. Fosforyzujący prostokąt zszarzał, a potem pojawił się napis: ARCHIWUM. Stavsky zaklął. Znaczyło to, że materiału już nie ma w bezpośredniej pamięci komputera. Trzeba go odszukać i wprowadzić na nowo. Tylko gdzie szukać tego cholernego archiwum? Przebiegł wzrokiem po klawiaturze. Zauważył że po lewej stronie pulpitu znajduje się pionowy rząd brązowych przycisków, oznaczonych literowymi skrótami. Na najwyższym widniały litery WD. Wcisnął go. Na ekranie pojawiła się znajoma mapa świata. Ta od kilku stuleci nieaktualna. Gdzieś w centrum Indii błyszczał zielony punkt ze świecącym napisem "Thar". Tak, pamiętał tę bazę. Zbudowano ją na skraju pustyni, jako centrum szkolenia azjatyckiej Agencji Saturna. Więc oni również maczali palce w tej awanturze!

Wcisnął po kolei następne klawisze, a ekran wyświetlał nowe obrazy: mapy, wykresy, tabele danych... Dziewiąty przycisk, oznaczony literami SRC, przywołał na ekran to, na co czekał Stavsky: pionowy przekrój przez podziemne piętra bazy i ukazujące się z boku plany poszczególnych kondygnacji. Było ich jedenaście. Przy siódmej zatrzymał obraz. Jedno z pomieszczeń, oznaczone cyferką 3, w legendzie pod schematem rozszyfrował jako archiwum.

Zbiegł po schodach, skacząc po trzy stopnie. Na siódmej kondygnacji panowały ciemności. Jedyne w głębi korytarza paliła się na ścianie pojedyncza tafla. Po omacku odszukał zapamiętane z planu drzwi. Były zamknięte. Bezskutecznie szarpnął klamkę, mechanizm ani drgnął. Odczekał chwilę, aż wzrok przyzwyczaił się do mroku, po czym zdjął z ramienia karabin.

Po trzecim strzale drzwi puściły. Pchnął je barkiem i cofnął się osłepiony blaskiem. Stał na progu małego, jasno oświetlonego pokoiku. Na wprost niego znajdował się pulpit podobny do tego, jaki widział w sali na czwartym piętrze. Przed pulpitem stał obrotowy fotelik.

Wszedł do środka. Usiadł w fotelu i przyjrzał się klawiatu-

rze. Przyciski w trzech górnych rzędach oznaczone były literami alfabetu, pozostałe znaczyły arabskie i rzymskie cyfry oraz znaki graficzne. Zdecydowanym ruchem wcisnął dziewięć z nich, tworzących zapamiętany symbol: NK 330613A. W pół sekundy po naciśnięciu litery zamykającej ciąg znaków rozległ się szmer, po czym do umieszczonego z prawej strony pulpitu podajnika wypadł mały sześcian.

Teraz należało wprowadzić dane do maszyny. Jak to zrobić, nie miał pojęcia. Znów pognął po schodach, tym razem do góry. Zziąjany wbiegł do sali z końcówką komputera.

Operatornia znajdowała się piętro niżej. Nogi trzęsły się pod nim ze zmęczenia, gdy dopadł wreszcie upragnionych drzwi. Ponownie musiał użyć karabinu, by zwolnić sprężynę, długo nie chciały puścić zaśniedziałe zawiasy, w końcu dostał się do środka. Salka informatyków zmieniła się bardzo od czasu, gdy opuścił Ziemię. Na szczęście nad stołem operatorskim wisiał czytelny jeszcze schemat. Szybko odnalazł gniazdo łącznika pamięci i wcisnął w nie uzyskaną w archiwum kostkę. Weszła gadko z cichym szcękaniem.

Teraz mógł wrócić do sali narad, jak ją nazwał w myślach. Sprawne uruchomienie nieczynnej od tylu lat maszyny podniosło go na duchu i wpłynęło uspokajająco na napięte nerwy. Powoli wszedł po schodach, podziwiając w duszy twórców centrum. Ich urządzenia były ciągle sprawne, mimo upływu czasu i kataklizmu, jaki nawiedził świat. Na miejscu zdjął plecak, odstawił na bok karabin i usiadł wygodnie w fotelu za klawiaturą. Na ekranie ciągle widniał schemat podziemi. Skasował go, następnie starannie wystukał numer katalogowy programu "Triada" i uruchomił prezentację. Przez szarą płaszczyznę popłynęły szeregi słów, przetykane korowodem danych liczbowych. Od czasu do czasu pojawiały się filmowe migawki z przygotowań do lotu. Patrzył nieuważnie, znał to przecież na pamięć. Czekał na dane z okresu po starcie. Boleśnie zakłut widok uśmiechniętych, znajomych twarzy. Potem start i dalsza

relacja pojawiła się już tylko w formie zapisu słownego. Po krótkiej informacji o początkowej fazie lotu, ekranie pojawiła się notka: "PODZIAŁ NA PROGRAMY INDYWIDUALNE: DSS MAGELLAN - NK 330613A-I, DSS KOLUMB - NK 330613A-II, DSS VASCO DA GAMA - NK 330613A-III".

Losy "Magellana" znał - były jego własnymi. Wywołał zapis "Kolumba". Szybko czytał ukazujący się tekst: „...cel osiągnięto. W ekosferze trzy planety. Śladów życia nie stwierdzono. Zbadano wszystkie planety układu. Wyniki: NK 330613A-II/1."

Nie interesowały o wyniki badań obcych układów słonecznych. Wcisnął klawisz CONTINUE i czytał dalej: "Po 737 dniach 5 godzinach 59 minutach pobytu w układzie zarządzono powrót. Lądowanie: przylądek Canaveral, 2343.05.07. Łączny czas wyprawy: 5539 dni 6 godzin 36 minut. Szczegółowe dane lotu: NK 330613-II/2, NK 330613-II/3." Znowy pojawiły się zdjęcia: migawki z lądowania i wesołe twarze astronautów. Później ekran ściemniał i po chwili błysnął napis KONIEC.

A więc wrócili... Piętnaście lat w kosmosie, a potem sława, zaszczyty i spokojny żywot bogatych rentierów. Chyba, że przerwała go ta wojna... Mógłby to nawet ustalić, komputer na pewno odnotował ów fakt w pamięci, lecz czuł jakąś niechęć do grzebania w tym mrocznym fragmencie historii.

Wpisał kod "Vasco da Gama". Na ekranie zajaśniały pierwsze wyrazy. Zaczął czytać - i wydało mu się, że pomylił kody. Skasował zapis i ponownie wystukał zestaw cyfr i liter, tym razem starając się dokładnie uderzać przyciski.

Nie, to nie pomyłka. Czytał: "Po 2563 dniach 18 godzinach 03 minutach lotu awaria generatora cięciwy. Szczegółowy zapis: NK 330613A-III/2. Zarządzono powrót."

Wywołał ten zapis. A więc stało się to samo, co spotkało "Magellana". Przyczyna awarii identyczna. To nie mógł być przypadek, wszystko wskazywało na błąd konstrukcyjny. Dlaczego w takim razie wrócił bezpiecznie "Kolumb"? Trudno

dziś zgadywać. Wiadomość o awarii "Vasco da Gamy" i "Magellana" dotarła na Ziemię przed powrotem bliźniaczego statku, dlatego więc w relacji nie było żadnej wzmianki o przeprowadzonych badaniach generatora?

Nakazał komputerowi kontynuację odczytu podstawowego. Dalej była już tylko astronomiczna liczba dni, dzielących statek od lądowania. Przeliczył to szybko, wyszło mu 1138 lat i niecałe dwa miesiące. Patrzył na wypisane na ekranie cyfry i nagle coś zaświtało mu w głowie. Wywołał kod zapisu "Magellana". Niecierpliwie przeleciał opis lotu początkowego. W końcu pojawiła się ta liczba. Zamienił dni na lata i aż podniósł się z fotela. Ich statek wylądował po 1136 latach i jedenastu miesiącach od momentu awarii. Gorączkowo policzył czas pobytu na Ziemi. Tułali się po świecie prawie siedem miesięcy. Czyli... za osiem miesięcy wróci na ojczystą planetę DSS "Vasco da Gama".

Żył jak w transie. Jeszcze podczas pierwszego pobytu w Thar ustalił, że ośrodkiem prowadzącym lot "Vasco da Gamy" była baza Pabing w środkowym Tybecie. Korzystając z komputera, sporządził dokładną, aktualną mapę kontynentu i zaznaczył na niej położenie bazy. Powziął zamiar dotarcia tam jak najprędzej, na przeszkodzie stała jednak ciąża Romy. Kobieta spodziewała się rozwiązania za trzy miesiące, Stavsky postanowił więc zaczekać.

Romy zaakceptowała jego plan. W oboje wstąpiła nadzieja – nie będą już tak rozpaczliwie sami, przylecą ludzie tacy jak oni, założą wspólnie osadę, gdzieś daleko od wynaturzonych współczesnych społeczeństw. Nie dopuszczali do siebie myśli, że "Vasco" może nie wrócić, że w kosmosie czyha na niego wiele niebezpieczeństw - przyjęli za fakt oczywisty, że powrót statku musi zakończyć się szczęśliwie. W ich sytuacji tylko ta wiara była do przyjęcia.

Często teraz odwiedzał Thar. Za którymś razem znalazł w podziemnym garażu łazik. Pojazd był w zupełnie dobrym stanie, wprawdzie całkowicie zmurszały siedzenia, lecz konstrukcja, wykonana z nieznanego mu stopu, była prawie nienaruszona. Również tworzywo, z którego zrobiono opony, przetrwało, tylko kilka drobnych pęknięć świadczyło o ich wieku. Znalazł także pełny pojemnik prętów spirenowych, niemal zupełnie rozładowanych, ale zawarta w nich resztką energii powinna na drogę do Pabingu wystarczyć. Rozwiązało to sprawę transportu, bowiem ogromna przestrzeń, jaką miał do przebycia, stawiła wyprawę pod znakiem zapytania.

Kilka dni temu mieli gości. Odwiedził ich Hoddar, którego życzliwość odczuli już przy pierwszym spotkaniu, czego o

opryskliwym i zgorzkniałym Lensie nie można było powiedzieć. Hoddar przywiózł trochę amunicji i żywności, ale był to tylko pretekst do złożenia wizyty. Był najwyraźniej ciekaw, jak poradzili sobie przybysze na nowym gospodarstwie. Poza tym chciał podzielić się wiadomościami, jakie przywiózł kupiecki konwój, przybyły z Oliny. Według informacji kupców oddziały wierne Retenowi zostały rozbite, namiestnik zginął, wysadziwszy się w powietrze razem z załogą kwatery głównej, a niedobitki pod dowództwem Serana schroniły się na Pustkowie, uciekając przed komandosami Gronna. Hoddar doradzał ostrożność, wprawdzie było mało prawdopodobne, że Seran schroni się tak blisko Oliny, ale nie wiadomo, co mogło mu przyjść do głowy. Po tym, co zrobił Stavsky, na radosne spotkanie z setnikiem nie powinni liczyć.

Łowca opuścił chatę przed wieczorem. Na pożegnanie obiecał dostarczać towary w zamian za szczurze skóry i mięso. Taki układ bardzo odpowiadał Stavsky'emu, dotąd borykali się z wieloma kłopotami, związanymi z najprostszymi codziennymi sprawami. Pomoc Hoddara przyda się przede wszystkim po wyjeździe Paula. Wprawdzie Romy nie była pierwszą lepszą niezaradną kobieciną, lecz przyjście na świat dziecka skomplikuje jej i tak nie najłatwiejszą sytuację.

Narodziny nowego człowieka były wyjątkowym elementem w życiu Pustkowie. Wspomniał o tym Hoddar, mówiąc:

- Jeśli przeżyje, będzie pierwszym urodzonym tu człowiekiem od początku świata.

Stavsky chciał sprostować, że ziemia ta słyneła niegdyś z ilości urodzin, lecz zmilczał. Dla łowcy historia zaczynała się w miejscu, gdzie dobiegł kresu ich czas.

Od trzech tygodni nieprzerwanie padały deszcze. Niewielka dotąd rzeczka wylała w rozległe połacie bagnistych rozlewisk. Ochłodziło się znacznie. Niektóre gatunki krzewów zaczęły tracić liście, cały busz zabarwił się różnymi odcieniami żółci,

czerwieni i brązu. Równy z nadejściem pory deszczowej Romy urodziła dziewczynkę. Dziecko było drobniutkie, lecz zdrowe i wesole. Po krótkiej naradzie nadali jej imię: Anna. W domu zapanowała teraz inna atmosfera. Wszystkie sprawy podporządkowano niemowlęciu, odeszły w niepamięć stresi wywołane ich położeniem, nawet zbliżający się termin wyjazdu stracił na znaczeniu. Czas jednak płynął i pewnego dnia Stavsky uświadomił sobie, że nie może dłużej czekać. Do wyliczonego terminu pozostało niespełna cztery miesiące, a przed nim jawiła się długa i trudna droga przez pustynię i dziewicze góry - droga, której cel był równie niepewny jak ona sama.

Przygotowania były zakończone. Oprócz zapasu żywności i wody, którą napełnił duży zbiornik, znaleziony w mieście i zainstalowany na łożyku, zabierał trochę ciepłej odzieży, wykonanej ze skór upolowanych szczurów. Jego uzbrojenie stanowił wielkokalibrowy karabin automatyczny, dostarczony w swoim czasie przez utrzymującego z nimi częste kontakty Hoddara, oraz kusza. Lekki karabinek zostawiał Romy, na którą spadł teraz obowiązek zdobywania żywności. Miał trochę skrupułów, że zostawia ją samą z niemowlęciem, lecz powrót załogi "Vasco da Gamy" był okolicznością, dla której musieli podjąć ryzyko.

Noc ledwie zaczęła szarzeć, gdy zaszumił silnik łożyka. Stavsky wyjechał wcześniej, by jak największą odległość przebyć za dnia. Miał zamiar jechać bez większych postojów, dopóki teren będzie płaski, liczył się bowiem ze znacznym zwolnieniem tempa, gdy na drodze staną Himalaje.

Pojazd podskakiwał na wybojach, trząsł się niemiłosiernie i skrzypiał resorami, sunął jednak pewnie i wytrwale naprzód. Dawno już zniknęły za horyzontem otaczające ich oazę skały i wokół rozciągała się bezkresna pustynia, niemal zupełnie pozbawiona roślinności. Kwaśne deszcze, które przeciągnęły nad okolicą, raczej zniszczyły, niż ożywiły ubogą florę. Teraz również siąpił drobny kapuśniaczek, zamieniając wplecione mię-

dzy kamieniste rumowiska łachy piasku w kałuże grząskiego błota, w którym szerokie koła łązika co rusz zapadały się prawie po osie. Stavsky wciskał wtedy akcelerator do oporu, spod kół bryzgały strumienie lepkiej mazi i pojazd z wyciem silnika wypelzał na twardszy grunt, gdzie mógł znów nabrać szybkości. Kilkakrotnie zdawało się, że utknie na dobre; wówczas Paul wysiadał i wykopywał łązik z błota przy pomocy sypanych pod koła kamieni i żwiru, które znosił w wiadrze z najbliższego suchego wzniesienia. Po paru takich akcjach jego ubranie było jedną glinianą skorupą, a w butach przelewał się gęsty żur. Był zmęczony. Marzył o nadejściu nocy, gdy będzie mógł zatrzymać wóz i rozbić obozowisko. Było już dobrze po południu, gdy wydało mu się, że we mgle otulającej horyzont widzi jakiś ruch. Przyjrzał się uważnie, ale nic już nie dostrzegł, zrzucił to więc na karb zmęczenia i przestał o tym myśleć. Postanowił, że pojedzie jeszcze dwie - trzy godziny i zatrzyma się na noc.

Trwało to jednak dłużej, niż zaplanował. Okolice, przez którą jechał od dłuższego czasu, nie nadawała się do założenia biwaku. Zaczęto zmierzchać, gdy w końcu znalazł kawałek względnie suchego i osłoniętego terenu. Rozciągnął skórzaną płachtę na czterech drążkach i pod sporządzonym w ten sposób prowizorycznym dachem rozłożył swoje legowisko. Następnie rozniecił małe ognisko, używając na rozpałkę zeschniętych badyli i gałązek rachitycznych krzaczków. Nabiedził się przy tym, bowiem drzewo zamokło i nie chciało się palić. Po posiłku z ulgą wyciągnął się na skórach i wsłuchał w ciche stukanie kropli o dach szałas. Monotonny odgłos ukołysał go - już w półśnie zarejestrował daleki dźwięk, który zmaćił ciszę nocy. Otworzył oczy i wsłuchał się w tę ciszę. Dźwięk nie powtórzył się. Doszedł do wniosku, że był to tylko sen. Któż bowiem w samym sercu bezludnej pustyni mógłby strzelać z karabinu.

Po dziewięciu dobach wędrówki teren zmienił się. Łazik

wjechał między wzniesienia porośnięte rzadkim krzewami - widomy znak, że pustynia została w tyle. Któregoś dnia w od-dali zamajaczyły potężne szczyty. Na ten widok w Stavsky'ego wstąpił nowy duch. Wprawdzie najtrudniejszy etap miał jeszcze przed sobą, lecz widok gór uświadomił mu, że każdy prze-byty kilometr zbliża go do celu.

Od jakiegoś czasu był pewien, że nie jest sam. Kilkakrotnie widział nocą nikłe światło ogniska, dwa razy elektryzowały jego uwagę dalekie kłaśnięcia wystrzałów i wreszcie wczoraj: dojeżdżał właśnie do większego skupiska karłowatych drzewek, gdy ujrzał leżący wśród kamieni tłumok. Zatrzymał łązik i podszedł bliżej.

Żołnierz właściwie nie miał głowy - rozłupana eksplodują-cym pociskiem czaszka tworzyła wymieszaną z mózgiem i krwią miazgę, której szarobrunatne kupki znaczyły ziemię w promieniu metra od skurczonego embrionalnie ciała. Miał na sobie kompletny, choć podniszczony skafander komandosa, nawet szeroki bagnet wisiał jeszcze przy skórzanym pasie. Stavsky wywnioskował z tego, że nie był to łowca z Pustkowia - ci nie byli tak porządnie umundurowani. Skąd wziął się żołnierz Imperium setki mil od zamieszkanego wybrzeża? Możli-wości były dwie: albo był członkiem grupy Serana, albo ściga-jących go oddziałów Gronna. Spotkanie kogokolwiek z nich było równie niebezpieczne. Z dwojga złego wołał już żołnierzy zwycięskiego tysięcznika, chociaż po głębszym zastanowieniu uznał za mało prawdopodobne, by pościg zapędził się tak dale-ko. Możliwe, że to sam Seran likwiduje buntujących się pod-władnych. W każdym razie od tej pory posuwał się naprzód z największą ostrożnością, unikając hałasu i palenia ognia. Na szczęście przestało padać i nie marzył już tak bardzo, gdy usi-łował nocami zasnąć, zakopany szczurze skóry.

Wzniesienia pogórza stawały się coraz bardziej strome i w końcu przed łązikiem wyrosły skały. Stracił sporo czasu, nim udało się znaleźć możliwy do przebycia przejazd. Przy pomocy

komputerowej mapy ustalił wcześniej trasę, którą miał zamiar pokonać góry, jednak - czy to plan nie był zbyt dokładny, czy łaźnik zboczył z wyznaczonego szlaku - nie potrafił odszukać przełęczy otwierającej drogę przez pasmo szczytów. Dlatego piał się teraz po stromym stoku w stronę głębokiego siodła i modlił się w duchu, by niezawodny dotąd wehikuł nic odmówił posłuszeństwa. Kilka razy pojazd trafił na luźne piargi; osuwał się wówczas z hurkotem kamieni i rżeniem silnika, po czym ponownie rozpoczynał mozolną wspinaczkę.

Noc zastała go w połowie zbocza. Spędził ją na fotelu łaźnika pod skalnym okapem. Był tak zmęczony, że zasnął na siedząco, rezygnując z kolacji, choć ostatni posiłek zjadł rano. Obudził się skostniały z zimna, długo nie mógł wyprostować zdrętwiałych od całonocnego skurczu nóg. Bez apetytu zżuł kawałek wędzonego mięsa, popił lodowatą wodą ze zbiornika. Czuł się źle. Od kilku dni trawiła go gorączka. Wilgotne ubranie lepiło się do ciała, wstrząsały nim dreszcze. Zmusił się do kilku podskoków, lecz nie na wiele się to zdało, w podłym więc humorze usiadł za kierownicą łaźnika i wolno ruszył w drogę.

W południe dotarł do przełęczy. Teraz jazda poszła sprawniej. Natrafił na starą, od stuleci nieużywaną ścieżkę, która wiła się serpentynami w dół do rozległej doliny u stóp przebytego masywu. Po godzinie zjazdu odkrył ślady dawnej góralskiej wsi, uczeplonej zbocza po obu stronach drogi. Z glinianych chałup zostały tylko prostokąty czerwonych klepisk, a o bytności ludzi świadczyły na wpół zasypane pyłem resztki naczyń i plastikowych pojemników.

Zaczął padać mokry śnieg z deszczem. Powietrze nasiąkło wilgocią i ciężki obłok mgły otulił kotlinę w dole. Musiał zwolnić, ponieważ widoczność zmniejszyła się do kilku metrów, zaś wąska dróżka biegła teraz skrajem kilkunastometrowego urwiska. To z powodu mgły nie zauważył dwóch skulonych wśród kamieni postaci. Uświadomił to sobie, gdy za plecami usłyszał okrzyk:

- Stój!

Podziałało jak smagnięcie batem. Wtulił się w oparcie fotela i wcisnął akcelerator do deski. Łazik zarzucił gwałtownie, na moment zawisł lewym kołem nad przepaścią, po czym skoczył do przodu. Za nim rozległy się zmieszane głosy, huknął strzał. Przed maską zamajaczyła sylwetka z wymierzoną bronią. Nie miał zamiaru jej omijać, nie było zresztą gdzie. Usłyszał głucho stuknięcie i na szybie pojazdu wykwitło kilka krwawych plam. Poczuł jeszcze, jak koła łazika podskoczyły miękko, lecz już musiał skoncentrować się na prowadzeniu maszyny. Góry zadudniły echem wystrzałów. Coś zagwizdało koło ucha i w tej chwili poczuł na plecach zimną, moką strugę. Pierwszą myślą było: "Dostałem!", jednak momentalnie zorientował się, że to nie jego trafiono. Z wybitej kulą dziury w zbiorniku woda sikała wprost na jego kark. Zaklął siarczyście, usiłując umknąć spod lodowatego strumienia. Łazik wpadł w poślizg, a Stavsky ujrzał nagle przed sobą pionową ścianę. Odbił rozpaczliwie kierownicą. Poczuł, jak koła pojazdu tracą oparcie i poleciał w dół na złamanie karku. Na szczęście stok nie był w tym miejscu zbyt stromy. Pojechał w lawinie kamieni, w tumanie pyłu i bryzgach rozmięklej ziemi. Jazda wkrótce się skończyła - łazik łomotnął w coś przodem, rozległ się zgrzyt i pojazd znieruchomiał; przewieszony przez skalny próg miał powietrze tylnymi kołami.

Siedział oszołomiony, nie bardzo wiedząc, co się stało. Na plecach czuł jakby mokry plaster, w uszach szumiało w rytm pulsującej krwi. Poruszył się. Wyglądało na to, że nie ma poważniejszych obrażeń. Teraz dopiero uświadomił sobie, że jest mu przeraźliwie zimno. Ciągle tkwił pod strużką wody z przedziurawionego zbiornika. Wstrząsnął nim dreszcz. Przełożył nogi przez burtę łazika i wysiadł. Spojrzał w górę na zbocze urwiska, po którym przed chwilą zjechał. Jego górny kraniec szczelnie spowijała mgła, lecz usłyszał w niej głosy. Powodowany instynktem ukrył się za pojazdem i w tym momencie

wokoło zagwizdały pojedyncze kule. Wkrótce jednak ścigający musieli dojść do wniosku, że uciekinier nie mógł wyjść cało z takiego upadku, bo strzelanina ustała, a nikt jakoś nie kwapił się ze sprawdzeniem jej skuteczności. Głosy umilkły i Stavsky usłyszał oddalające się kroki. Przezornie pozostał jeszcze w ukryciu, choć i bez tego nie sposób było dojrzeć go w gęstej mgłę.

Dopiero po godzinie zdecydował się na jakiegokolwiek działanie. Najpierw obejrzał łaźnik. Wyglądał na nieuszkodzony. Silnik zaskoczył przy pierwszej próbie, lecz podwozie wsparte było na kamiennej ławie, tak że tylko przednie koła dotykały gruntu, bezsilnie złościąc w nim coraz głębsze koleiny. Wyłączył motor. Z kolei przyjrzał się uszkodzonemu zbiornikowi. Woda wyciekła z niego poniżej poziomu otworu, co oznaczało, że stracił prawie dwie trzecie cennego płynu. Zatkał dziurę kawałkiem szmaty, by w dalszej drodze nie rozchlapywać tej resztki, która mu została.

Spróbował uwolnić łaźnik z pułapki. Po jakimś czasie zdołał wyrwać spod ramy pojazdu kilka kamieni, na których wspierało się podwozie. Następnie, uwiesiwszy się całym ciężarem na wzniesionej w powietrze tylnej burcie, rozhuśtał wóz, doprowadzając do jego osunięcia po skalnej grzędzie, aż jedno z tylnych kół oparło się na ziemi. Ponownie zasiadł za kierownicą. Po kilku próbach, gdy na przemian wrzucał to pierwszy, to wsteczny bieg, przeszkoda została pokonana. Mógł jechać dalej, tylko dokąd? Zupełnie nie wiedział, gdzie się znalazł. Orientację utrudniała mgła, która kłębiła się wokół na podobieństwo burego dymu. We mgle pojawiały się, jak gdyby z nicości, ogromne, białe płatki śniegu, topniejąc zanim dotknęły kamienistej gleby. Na dodatek drobny deszcz do reszty nasącał wodą ubranie, ciężkie już i sztywne jak z folii.

Ruszył przed siebie w dół po przekątnej stoku. Miał nadzieję, że natrafi w końcu na coś, co pozwoli zorientować się w terenie. Jedyнным wskaźnikiem, który umożliwiał z grubsza

utrzymanie właściwego kierunku, była busola na pasie. Jakimś cudem prawie całe wyposażenie pasa ocalało, mimo różnych perypetii, jakie dotąd przeszedł. Stracił tylko chronometr, jeszcze na Iberii, podczas ucieczki z fortu Cont, ale już od dawna doskonale radził sobie bez niego.

Pochyłość zmniejszyła się i mógł skierować łazik wprost do doliny. Tutaj, u stóp góry, mgła znacznie rzadła, jakby wyjechał z gęstych chmur. Przed sobą zobaczył szeroką górską rzekę, a w oddali, nad jej brzegiem, bielejące ściany zabudowań. Ruszył w tamtym kierunku. Była to samotna, zrujnowana zagroda, ocalał tylko niewielki budynek z białego kamienia, z jednym malutkim otworem okiennym. Wyglądał na kurnik. Jego wnętrze było puste, tylko na glinianym klepisku poniewierały się resztki zbutwiałych, drewnianych konstrukcji. Na szczęście ocalał dach, chociaż Stavsky z powątpiewaniem obejrzał drewniane krokwie, które wyglądały, jakby najłżejszy podmuch wiatru miał je rozsypać w proch. W końcu doszedł do wniosku, że skoro wytrzymały tyle lat, to wytrzymają jeszcze dzień lub dwa. Postanowił zrobić tu dłuższy postój, ponieważ czuł, że jeśli będzie kontynuował podróż w takim stanie, wykończy się na zapalenie płuc. Miał również zamiar przeczekać ewentualny pościg owych nieznanych napastników, choć wyglądało, że uwierzyli w jego śmierć. Do tej pory nie zastanawiał się, kim byli. Teraz doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej byli to ludzie Serana. Świadczył o tym język, w jakim mówili, oraz znalezione wcześniej ślady. Dziwne, że zapędzili się tak daleko, musiał ich Gronn mocno przycisnąć. Nawet łowcy nie zapuszczali się nigdy w Himalaje, ich tereny ciągnęły się szerokim pasem wzdłuż zamieszkanego wybrzeża, obejmowały ruiny dawnych miast, gdzie znajdowali najczęściej zwierzyny. Tu nie mieli czego szukać. Seran musiał być bardzo zdesperowany, skoro zawędrował w te niegościnne strony, gdzie trudno było nawet o wodę. Czyżby również miał zamiar przekroczyć góry, by szukać szczęścia w Tybecie? Jeśli tak, to

Stavsky będzie musiał bardzo uważać, by ich ścieżki nie przecięły się przypadkiem, tym bardziej, że drogę obrali tę samą.

Ukrył łazik w ruinach i rozłokował bagaże w domku. Po raz pierwszy od początku wędrówki poczuł się bezpieczny. Zapadł zmrok, rozpalił więc pośrodku klepiska ognisko, zasłoniwszy uprzednio skórą wszystkie otwory, aby jego blask nie spowodował mu na kark nieproszonych gości. Było ciepło i sucho. Powiesił nad ogniem kociołek napełniony wodą i kawałkami suszonego mięsa, po czym, przebrawszy się w suche ubranie, wyciągnął się na pościeli, czekając na pierwszy od kilku dni ciepły posiłek.

Szeroka, pofałdowana równina rozciągała się przed maską łazika, który dzielnie parł do przodu przez pokryty rudą traw płaskowyż. Góry zostały z tyłu, a wraz z nimi kraina wiecznej mgły. Powietrze było nieporównanie czystsze niż po tamtej stronie Himalajów, przez żółtawe chmury często przeszerało słońce. Dzięki temu udało mu się określić w końcu swe położenie. Ustalił według mapy, iż oddalił się od wytyczonego szlaku o około sto kilometrów na zachód. Ta okoliczność była mu na rękę, bowiem w dawnych czasach, na północ od miejsca, gdzie się w tej chwili znajdował, przebiegał tybetański odcinek transzajatyckiej autostrady. Mijała ona w niewielkiej odległości port kosmiczny w Pabingu i gdyby znajdowała się w przyzwoitym stanie, znacznie ułatwiłaby dalszą podróż. Nadłóżyłby wprawdzie nieco drogi, lecz na pewno zajęłoby to mniej czasu, niż gdyby pchał się dalej bezdrożami.

Już następnego dnia przed południem dojechał do celu. Szara, betonowa wstęga spinała krańce płaskowyżu aż po zamglony horyzont. Nawierzchnia była mocno spękana, przez szczeliny w betonie przedzierała się stepowa roślinność, cierpliwie krusząc jedną z nielicznych ocalałych jeszcze budowli, które pamiętały czasy dawnej świetności. W porównaniu z bezdrożami, które dotąd trzęsły łazikiem, jazda niszczącą autostradą

wydała się Stavsky'emu luksusem. Wóz pomknął z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, łomocąc oponami na dziurach i progach nawierzchni i gwizdząc pracującym na wysokich obrotach silnikiem.

Żółte tablice z czerwonymi literami napisów wziął początkowo za znaki drogowe. Dopiero później, gdy już je minął, dotarł do jego świadomości ich nietypowy dla regulujących ruch symboli wygląd. Zatrzymał łązik i zawrócił. Wzrok go nie mylił. To nie były znaki drogowe. Czerwony tekst w trzech językach oznajmiał to samo: "UWAGA! STREFA SKAŻONA 100 KM". Gapił się bezmyślnie na krzyczące jaskrawym szkarłatem litery, jakby ich sens jeszcze do niego nie dotarł. A sens był jasny. W całym Tybecie był tylko jeden obiekt wart uderzenia neutronowego. Kosmodrom w Pabingu.

Teraz miał już pewność. Stracił cztery dni na jej zdobycie. Cztery dni spędzone na jeździe od jednego żółtego palika do drugiego, aż zamknął się krąg wokół tak długo oczekiwanego celu wędrówki. Dziś miał go przed sobą, a wewnątrz czaiła się śmierć. Początkowo łudził się jeszcze, że promieniowanie wygasło w ciągu wieków. Dwukrotnie próbował wedrzeć się w zakłete koło i dwukrotnie licznik na pasie zmuszał go do odwrotu. Wiedział, dlaczego tak się dzieje. Port posiadał wielki skład paliwa tachionowego. Wybuch ładunku neutronowego rozpoczął niekontrolowaną, powolną syntezę tachionów, przy równoczesnej przemianie neutronów w kwanty gamma. W ten sposób udało się zapewnić, zapewne nie celowo, praktycznie nieskończoną emisję promieniowania.

Zatrzymał się na wzgórzu wśród kępy suchych krzewów, skąd zaczął swą czterodniową wędrówkę wokół bazy. W głowie miał pustkę, zupełnie nie wiedział, co ma dalej robić. Do powrotu "Vasco da Gamy" został niecały miesiąc. W tej chwili zapewne wchodzą w peryferie Układu i powoli dociera do. Niech prawda o wydarzeniach na Ziemi. Wiedział, o czym rozmawiają. Przeżył to osobiście.

Potem wylądują. Może tu, a może gdzie indziej, w dowolnym innym miejscu planety. Jeśli będzie miał szczęście, zobaczy ognisty punkt, jak mknie łukiem po niebie i ginie za horyzontem. Czuł, że przeszłość staje na drodze jego zamierzeniom, że rozpadają się kolejne elementy układanego przez wiele miesięcy planu. I nagle... W morzu beznadziei zaświtała iskierka. Była jeszcze szansa. Bardzo nikła, obwarowana wieloma "jeżeli", lecz istniała. "Jeżeli" - ładunki nie trafiły bezpośrednio w bazę, było bardzo prawdopodobne, że urządzenia naprowadza-

nia ocalały, "jeżeli" czas nie dokończył dzieła zniszczenia. "Jeżeli" - komputer w Thar dokładnie wyliczył czas powrotu i "jeżeli" nic się załodze "Vasco" po drodze nie przytrafiło, mógł spróbować dotrzeć do stacji naprowadzania i sprowadzić statek na kosmodrom. "Jeżeli" - po wylądowaniu załoga w porę zorientuje się w sytuacji i udzieli mu odpowiednio szybko pomocy - przeżyje tę szaloną operację. "Jeżeli" - promieniowanie będzie dostatecznie słabe, a jego organizm wystarczająco silny, aby zdążył wykonać wszystko, co zamierzył. "Jeżeli" którekolwiek z wymienionych zastrzeżeń zawiedzie, pożegna się z tym niewesołym światem, zostawiając w dodatku na pastwę losu nieświadomą niczego załogę statku i osamotnioną Romy na dokładkę.

Zabrał się do obliczeń. Ich wynik skazywał go na trzy tygodnie oczekiwania. Dwudziestego czwartego dnia powinien usiąść za kierownicą łazika pognać pełną mocą silnika w stronę portu. Będzie miał dokładnie dobę na nawiązanie łączności ze statkiem i sprowadzenie go do lądowania. W tym czasie "Vasco" powinien być na orbicie stacjonarnej. Jeśli on nie zainkasuje do tej pory zbyt dużej dawki, wszystko powinno zakończyć się happy endem. Tylko te cholerne „jeżeli”...

Postanowił założyć obóz. Rozbił swój namiot - daszek, dołożył mu ściany z gałęzi i trawy, po czym wybrał się na poszukiwanie wody. Trzy kilometry na południe znalazł nieduże jezioro, w którym woda wydawała się zdatna do picia. Napełnił zbiornik, odwracając go wybitym przez pocisk otworem do góry. Pojemnik mieścił około czterystu litrów, nie będzie więc musiał powtarzać tej czynności. Po powrocie przejrzał zapas żywności. Nie zostało tego wiele, jednak żyjąc oszczędnie powinien dotrzeć do czasu przylotu w nienajgorszej kondycji. Trzeba będzie rozejrzeć się po okolicy, może trafi na jakieś jadalne rośliny, bowiem odczuwał dotkliwy brak witamin. Bolały i krwawiły dziąsła - widomy znak szkorbutu. Nic dziwnego, od kilku miesięcy jego głównym pokarmem była polewka

wędzonym lub suszonym mięsie. Pocięsział się jednak, że nie potrwa to długo, jakkolwiek los by go nie czekał. Jeśli plan się nie powiedzie, żadne witaminy nie będą mu już potrzebne.

Wiedział o nich od wczoraj. Wiedział również, że nie uniknie spotkania, jego zarośla były jedynym miejscem w okolicy, gdzie można się ukryć. Każde ich opuszczenie oznaczało wyjście na otwartą przestrzeń, a tam mieliby go jak na patelni. Ze swego stanowiska widział ich dokładnie: trzy obłe tankietki i długi wąż piechurów w łaciatych kombinezonach, przemieszczający się powoli wzdłuż linii palików. Nie przekroczyli jej - to znaczyło, że wiedzieli, co jest po drugiej stronie. Chyba nawet zetknął się z ich określeniem takich miejsc. Ognisko Śmierci? Tak, właśnie tak to nazywali. Co za diabelski przypadek ich tu przygnął? Sądził, że ich drogi rozeszły się ostatecznie w Himalajach, Tybet był przecież olbrzymią krainą, a jednak znów się spotkali. I to w takim momencie! Pojutrze miały wyliczony termin, jutro miał zamiar rozpocząć... To chyba przeznaczenie - westchnął ciężko, obserwując zbliżające się dolinę sylwetki. Były jeszcze daleko, lecz wyraźnie zmierzały stronę jego kryjówek. Musiał ich zatrzymać, choć przez parę godzin, aby skrócić do minimum czas pobytu w strefie. Pospiesznie załadował sprzęt do łazika, po czym ustawił go na skraju zarośli. Wyciągnął zza fotela ciężki automat i opuściwszy przednią szybę zainstalował go na masce pojazdu. Na koniec zamaskował to wszystko gałęziami i usiadł za kierownicą, przytulając policzek do chłodnego korpusu broni.

Miał zamiar zacząć pierwszy, gdy tylko nabierze pewności, że Seran nie zmieni niespodziewanie trasy marszu. Dawało to przewagę zaskoczenia: zanim przeciwnik zorientuje się, jaka siła go zaatakowała, upłynie nieco drogocennego czasu. Później nie potrwa to długo. Pozostanie tylko dodać gazu i zanurzyć się w śmiertelnie niebezpieczną strefę. Komandosi nie pójda za nim, tego był pewien. Dobrze wiedzą, co tam jest.

Teraz! Pierwsze serie wywołały popłoch wśród zaskoczonych żołnierzy. Roztrysnęli się na boki, szukając schronienia między nierównościami terenu. Najpierw otworzyły ogień tankietki, lecz ze sposobu jego prowadzenia widać było, że nie bardzo wiedzą, do czego strzelać.

Panikę opanowano szybko, szybciej niż się spodziewał. Zauważył, że komandosi rozpełzają się w półokrąg i usiłują otoczyć jego stanowisko. Ten sam manewr powtórzyły tankietki. Zrozumiał, że nie ma na co czekać. Długą serią przyduślił do ziemi czołgających się żołnierzy i uruchomił silnik. Łazik wyskoczył z krzaków i pomknął w stronę linii palików. Wokoło zaświstały pociski. Na szczęście od tyłu chronił go zbiornik, z którego teraz woda lała się kilkunastoma otworami. Nie martwił się tym, ważniejsze było umknięcie pościgowi. Za plecami słyszał warkot silników tankietek. Były znacznie wolniejsze od łazika, dlatego ich dowódcy, nie przypuszczając, że szalony kierowca zmierza wprost w Ognisko Śmierci, starali się odciąć mu wszystkie pozostałe drogi odwrotu. Żaden z żołnierzy nie domyślił się, jak bardzo jest to na rękę uciekinierowi. Gdy łazik minął granicę strefy, strzelanina raptownie ustała. Zaskoczeni komandosi patrzyli w ślad za oddalającym się pojazdem, którego kierowca dobrowolnie wybrał sobie rodzaj śmierci, nie podjąwszy nawet próby przerwania pierścienia okrążenia.

Niskie budynki bazy wychynęły zza wzniesienia. Za nimi rozciągała się olbrzymia, betonowa połać portu kosmicznego. Nie było widać żadnych zewnętrznych skutków wybuchu, chociaż geiger terkotał jak oszalały. Mimo woli musiał przyznać, że atak był majstersztykiem. Zapewne użyto ładunku zdetonowanego w atmosferze, emitującego silnie skupioną wiązkę promieniowania. Cel był jasno określony: zniszczenie ludzi, nie lądowiska. Gdyby nie tachiony, zamiar powiódłby się w stu procentach. I gdyby ocalał ktoś zdolny do przejęcia portu po wojnie... Zatrzymał łazik przed oszkloną wieżą kontrolną.

Otwartymi drzwiami kołysał powiew wiatru. Wewnątrz wszystko, począwszy od metalowych schodków, a skończywszy na pulpicie łączności, pokrywała gruba poducha pyłu. Odgarnął go i przyjrzał się desce rozdzielczej. Była typowa, jej obsługa nie powinna sprawić większych trudności.

Było bardzo cicho i tylko uporczywy terkot licznika zakłócał spokój. Ze złością szarpnął zatrzaski pasa i odrzucił przyrząd w kąt pomieszczenia. Zdawał sobie sprawę i bez niego, co bezustannie przenika jego tkanki. Czuł swędzące mrowienie w dłoniach i dudnienie krwi w uszach... Nie chciał o tym myśleć. Odszukał na pulpicie przycisk lokalizacji i wdusił go. Na ekranie monitora pojawił się schemat orbit stacjonarnych, którymi dysponował kosmodrom. Stos energetyczny był więc w porządku. Przyjrzał się obrazowi. Orbity były puste, statku jeszcze nie było w zasięgu naziemnych anten. Wolał dodać to "jeszcze", inaczej mógłby już zacząć - jak to było w tym starym dowcipie? - powoli czołgać się na cmentarz.

Coś zakłócało tok jego myśli. Przysłuchiwał się uważnie. Z kąta dobiegało ciche brzęczenie - to ten przeklęty licznik! Poszedł tam z rosnącą w gardle wściekłością i jednym uderzeniem obcasa rozgniół natarczywy przedmiot. Chrupnęło metalicznie, po czym zapadła cisza. Teraz mógł spokojnie zająć się sprawdzaniem wyposażenia wieży.

Włączył penetrator. Koncentryczne łuki orbit zaczęły stopniowo maleć, ekran obejmował coraz większą część przestrzeni. Rzucił okiem przez szyby kabiny. Na głównym budynku antena penetratora kołysała się rytmicznie, a jej czasza rosła. Ponownie skierował wzrok na monitor. W samą porę - w dolnej części ekranu pojawił się żółty punkt. Nerozumna, histeryczna radość ścisnęła mu krtań. Śmiał się i krzyczał, biegał po dyspozytorni, jakby szczęście pozbawiło go rozumu. Ten punkt to był statek!

Pospiesznie uruchomił anteny kierunkowe i włączył nasłuch. Przejechał wskaźnikiem po całej skali, jednak głośnik

szumiał tylko monotonnie. Bliski był już przejścia z radości wprost w czarną rozpacz, gdy uzmysłowił sobie, że działając w takim tempie nigdy nie nawiąże łączności ze statkiem. Jeszcze raz ujął suwak i tym razem wolniutko powtórzył całą operację od początku. W pewnym momencie w głośniku coś pisnęło. Skierował wskaźnik w to samo miejsce, lecz odbiornik milczał. Co u diabła? Z rozmachem łupnął się w czoło. Precyzer! Przesunął potencjometr mocy do oporu i chwycił pokrętło precyzyjnego namiaru. Aż podskoczył, gdy kabiną wstrząsnął potężny głos:

- DSS "Vasco da Gama", operacja "Triada", wzywa Ziemię!

- Jestem! - krzyczał do mikrofonu, wciskając raz po raz klawisz nadawania. - Jestem, do cholery!

Głos jednak powtarzał wciąż, nie słysząc pełnego rozpaczliwego wołania:

- "Vasco da Gama" do Ziemi, nadaje nawigator Narjarah Singh!

Dlaczego go nie słyszą? Kilka razy walnął pięścią w przycisk nadajnika, lecz lampka pracy nie chciała, się zapalić. Awaria! Co teraz? Spokojnie, chłopie, masz jeszcze dużo czasu, zdążysz uruchomić nadajnik. Najpierw spróbujemy włączyć automatyczne naprowadzanie... Także nie działa? A więc uszkodzenie głównego obwodu wyjścia!

Zbiegł po schodach na dół. Rozdzielnia znajdowała się obok budynku głównego. Nim do niej dobiegł, chwycił go pierwszy atak torsji. Wymiotował aż do krwi. Zgięty w pół z trudem dowlókł się do drzwi rozdzielni. Były zamknięte na zwyczajną kłódkę. Nie zastanawiał się długo. Nabrał już wprawy w otwieraniu pocziwych ziemskich zamków. Seria z automatu rozniosła kłódkę na metalowe szczapy.

Po pięciu godzinach pracy, przerywanej powracającymi nudnościami, znalazł uszkodzenie - skorodowaną płytkę jednego z pomocniczych zabezpieczeń. Długo zeszkrobywał nożem grubą warstwę zielonkawego nalotu, aż odsłonił zupełnie lśniącą

cą czerwono-siarkową siatkę połączeń. W trzech miejscach znalazł przerwy w obwodzie. Znowu chwycił go skurcze żołądka. Zwinął się z bólu, lecz jednocześnie chłodno analizował sposoby usunięcia awarii. Wreszcie wymyślił. Wyrwał z instalacji łazika pęk przewodów i połączył dwa z nich z prętem spiro-nym. Natężenie prądu w łuku wywołanym zwarcie powinno wystarczyć na wtopienie w płytkę cienkiego drucika.

Potężny wstrząs odrzucił go do tyłu. Na kilka chwil stracił czucie w palcach. Gdy doszedł trochę do siebie, obejrzał uszkodzony obwód. Płytkę była wygięta, a w miejscu, gdzie przyłożył końce przewodów, widniała czarna, wypalona dziura.

Usiadł ciężko na ziemi, jakby opuściły go wszystkie siły. Czyżby cały wysiłek i śmiertelne ryzyko, które podjął, poszły na marne? Czuł się coraz gorzej, otoczenie odpychało, jakby otoczył go niewidzialny kokon. Jeszcze raz spróbował skupić się. Gdzieś w pobliżu musi być podręczny magazyn podzespołów, Przecież awarie w ośrodku kontroli nie mogły trwać długo. Zmusił się do wysiłku i wstał. Postanowił rozejrzeć się po rozdzielni.

Nie musiał długo szukać, w kącie za przełącznikami znalazł regał z porządnie poukładanymi elementami zamiennymi. Przy każdym z nich widniał symbol oznaczenia. Wrócił na miejsce awarii, w gnieździe, z którego wyjął uszkodzoną płytkę, odczytał jej numer, taki sam odnalazł na regale. Smętnie pokiwał głową nad własną bezmyślnością. Od tego powinien być zacząć.

Naprawa potrwała kilka sekund. Wcisnął płytkę w gniazdo - wsunęła się lekko z cichym szcęknięciem. Dopiero teraz opadło z niego całe napięcie, jednocześnie poczuł, jak bardzo jest chory. Zakręciło mu się w głowie, musiał oprzeć się o ścianę. Zapra-gnął położyć się teraz i zasnąć. Potrzeba snu była tak silna, że nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, osunął się z wolna na

ziemię.

Silny ból pulsował w skroniach. Głowa pęczniała jak wolno pompowany balon. Bardzo nie chciał się obudzić, odsuwał od siebie ten ból, choć przenikał już płuca i żołądek. Tylko dzięki silnej woli zdołał otworzyć oczy. Bezmyślnie wodził wzrokiem po urządzeniach rozdzielni, nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Powoli wracały wspomnienia wydarzeń, które go tu przywiodły. Powinien zaraz wrócić do dyspozytorni i wywołać "Vasco". Spróbował wstać, jednak nogi odmówiły posłuszeństwa, Zdołał jedynie uklęknąć i pomagając sobie prawą ręką, rozpoczął mozolną wędrówkę w stronę wieży kontrolnej.

Schody... Tysiące, miliony schodów... Gdyby można było spojrzeć w górę, zobaczyć, gdzie się kończą - o ileż łatwiejsza byłaby ta wspinaczka... Jeszcze... jeden... i jeszcze... Już próg... Co miałem zrobić...? Włączyć nadawanie... Zielony przycisk na konsoli... działa! Teraz mikrofon... Jezu, dlaczego nie mogę wydobyć głosu...?! Przecież muszę im... powiedzieć... Nie mogę... Automat naprowadzania... nie sięgnę... rany, nie sięgnę... Stavsky... chłopie... to już ostatni wysiłek... potem... wrócą... ludzie...

- Singh, mam! Jest fala! Ktoś nadaje z Ziemi!

- Co to za dźwięk? Jakby chrapało jakieś zwierzę... Gdzie pracuje ten nadajnik?

- Trudno ustalić, straszne zakłócenia... Mać kosmiczna, Haruki, popatrz na monitor!

Na ekranie pokładowego komputera błysnął czerwony punkt, kreślący na tle konturów Ziemi cienką linię trajektorii. Kosmodrom Pabing podjął naprowadzanie.

KONIEC

Gliwice – Krynica 1985 r.